

Campa
w sakwach

CZYLI ROWEREM
NA DACH ŚWIATA

PIOTR STRZEŻYSZ



Szlaki ludzi ciekawych



Bezdroża

Piotr Strzeżysz

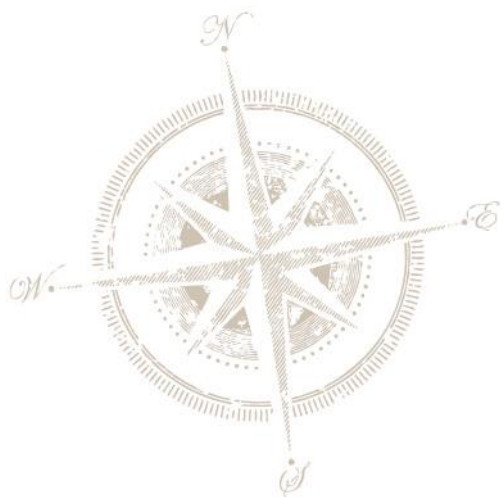
Campa w sakwach

czyli rowerem na dach świata



Są na świecie ludzie, którzy przypominają wędrownie ptaki. Są szczęśliwe i osiągają wewnętrzny spokój tylko wtedy, kiedy są w ruchu.

Mojej Mamie





Część pierwsza: Lato

Początek

Czy wspomnienia rejestrują czas?

Raczej tylko chwile.

Nieruchome, zamglone, jak wytarte, nieznacznie wyretuszowane obrazki w kolorze sepii ze starego albumu wspomnień.

A pomiędzy nimi puste przestrzenie zapomnianych dni.

Kiedy je zestawimy, powstanie *collage*.

Kolaż.

Pierwsze wspomnienie: przestrzeń, rower i wiatr.

Właściwie przez te wszystkie lata niewiele się zmieniło.

Podobno na początku jeździłem na czterech kółkach. Tak mówi mama. Wierzę jej, choć moja pamięć nie zarejestrowała żadnego czterokołowego wspomnienia. Na pierwszym obrazku wyciągniętym z zelzalego kufra pamięci, widzę już dwukołowy rower, którym objeżdżałem rodzinne Trąbki, vel Hutę Czechi. Mnóstwo przestrzeni dookoła, stawy, pola uprawne, lasy, puste, wijące się po horyzont wstęgi piaszczystych szutrowych dróg. Otwarta przestrzeń, za którą

zawsze tęskniłem. Nieograniczona, niepowstrzymana, wolna, biegnąca przed siebie do granic horyzontu, „tam, gdzie niewyraźny, przysłonięty mgiełką ścieg łączy ziemię z niebem na najdalszym krańcu świata²”.

Świat.

Jego *limes* z roku na rok przesuwany, jakbym po każdej podróży, tej bliższej i dalszej, dokładał kolejny klocek do układanki, zwanej życiem.

Zawsze krzywię się lekko, kiedy po powrocie z kolejnego kraju, ktoś mnie pyta: a gdzie teraz? Nigdy nie wiem na pewno... Patrę na mapę i w pewnej chwili decyduję się na ten albo inny kraj, bez głębszego uzasadnienia, bez dorabiania ideologii, bez tłumaczenia, ważne, aby znów być w drodze, aby znów być... Na mapy mógłbym patrzeć bez końca, skaluję je w wyobraźni, kreśląc wymaginowane ślady nieprzebytych jeszcze szlaków, rozpoczynając wędrówkę, zanim tak na dobre ruszę się z miejsca. Ta podróż zresztą zaczęła się już ponad trzydzieści lat temu. A najpiękniejsze jest w niej to, że nie wiadomo, kiedy i gdzie się skończy.

Wiosną 2006 roku postanowiłem, że latem pojadę do Tybetu. Rok wcześniej zwiedzałem rowerem Ladakh, krainę w północnych Indiach, stanowiącą najdalej na zachód wysunięty fragment Wyżyny Tybetańskiej. Doskonale czuję się w pustynnym, trudnym terenie, nazywanym często przez ludzi niegościnnym, a nawet pozbawionym życia, gdzie dzika, nieujarzmiona surowa przyroda uświadamia, jak człowiek niewiele znaczy. Otwarta przestrzeń w jakimkolwiek kraju za każdym razem napełnia mnie przemożnym uczuciem wolności. Wyzwała i doświadcza. Przywraca do życia, nadaje mu kształt i tożsamość, niczym nie ogranicza. Przesuwając horyzont myśli, wypełniam je otaczającym mnie krajobrazem, chłonąc tyle, ile zapragnę, ile zdołam dostrzec, oswoić, przetrwać.

Mógłbym napisać, że Tybet był jakby naturalną konsekwencją poprzedniej podróży, jej swego rodzaju dopełnieniem, choć właściwie stanowił tylko kolejny klocek w układance, a nawet dwa, tyle że na początku podróży jeszcze o tym nie wiedziałem.

Plan był prosty. Dolecieć do Pekinu, stamtąd, przez Lanzhou i Xining, dostać się autobusem albo pociągiem do Golmudu, by następnie spróbować dojechać do Lhasy. I na tym plan się kończył. Resztę, jak zwykle, pozostawiłem na pastwę zastanych okoliczności. Rozważałem kilka opcji. Albo droga do Nepalu, albo powrót do Pekinu. Najważniejsze i jednocześnie najmniej pewne było samo dotarcie do Tybetu. Z dostępnych źródeł internetowych wynikało, że dostanie się w pojedynkę do Lhasy, do tego bez odpowiednich zezwoleń, graniczy z cudem i jest w zasadzie niemożliwe. Dowiedziałem się zatem, że aby wjechać do Tybetu, należy uzyskać specjalny *permit*, gdyż bez niego nie będę mógł kupić biletu ani na samolot, ani na pociąg.

Nie ma problemu, pomyślałem, przecież i tak zamierzałem pojechać

rowerem. Zmroziła mnie jednak informacja, że każdy cudzoziemiec odwiedzający Lhasę musi być członkiem grupy turystycznej, do tego posiadającej paszporty tego samego państwa. Co więcej, potrzebne byłoby mi również dodatkowe pozwolenie na podróżowanie po samym Tybecie. Oficjalna strona ambasady Chińskiej Republiki Ludowej w Polsce potwierdzała te informacje. Można z niej było wyczytać, że każdy, kto chce zwiedzić Tybet, musi być uczestnikiem wycieczki do tego regionu, organizowanej przez polskie biuro podróży, a liczba jej uczestników musi wynosić przynajmniej pięć osób. Zainteresowani powinni spełnić wymagania dotyczące uzyskania turystycznej wizy grupowej. Najpierw jednak muszą otrzymać zgodę Biura Turystyki Tybetańskiego Regionu Autonomicznego Chińskiej Republiki Ludowej.

Te rewelacje nie wyczerpywały oczywiście całej listy nakazów, zakazów, zaleceń i porad, które można było znaleźć na różnych podróżniczych stronach internetowych. Tak więc, poza zdobyciem kompanów do podróży, powinienem również zarezerwować z kilkutygodniowym wyprzedzeniem hotele, a cały program wycieczki skonsultować z chińskim biurem turystycznym, odpowiednio wcześniej przed przyjazdem. Owe biuro, za kosmiczną opłatą, dorzuciłoby nam (mnie i moim potencjalnym współtowarzyszom) swojego przewodnika, który nie odstępowałby nas podczas zwiedzania miasta i okolic. Wycieczki poza Lhasę miałyby się wiązać z dodatkowymi opłatami za wynajęcie kolejnego przewodnika, nowych pozwoleń i odpowiedniego środka transportu.

Ponieważ wszystkie te informacje nie zdołały mnie zniechęcić, znajomi podtykali mi jeszcze linki do stron, na których mogłem poczytać o konsekwencjach bycia przyłapanym na nielegalnej jeździe po Tybecie... Zresztą, nawet z pozwoleniami nie powinienem się nigdzie wybierać, bo oficjalne strony głosiły, że jazda rowerem po „Dachu Świata” jest nielegalna. Może i rzeczywiście wybrałbym owego lata inne otwarte przestrzenie, gdybym nie natknął się na rowerowy przewodnik *Tibet Overland* autorstwa Kyma McConnell’a, w którym wyczytałem, że jednak są tacy, którym udało się przejechać Tybet i do tego w pojedynkę.

Oczywiście, wiązało się to z wieloma napotkanymi po drodze problemami, ale jak dla mnie, dodało to tylko szczypty pikanterii i tym bardziej utwierdziło w słuszności mojego wyboru.

Pozostało powziąć decyzję, którą drogą mam dojechać do Lhasy. Według zebranych przeze mnie informacji istniały cztery opcje: trasa północna z Golmudu (tzw. „Autostrada Qinghai–Tybet”), południowa z Nepalu (zwana „Autostradą Przyjaźni”), wschodnia z Chengdu („Autostrada Sichuan–Tybet”) i najdłuższa, najbardziej niebezpieczna i najtrudniejsza „autostrada” z wymienionych, czyli zachodnia droga dojazdowa z Kaszgaru („Xinjiang–Lhasa”)³.

Z informacji, jakich dostarczał przewodnik, najpewniejszą drogą,

gwarantującą niejako dotarcie do Tybetu bez konieczności płacenia horrendalnych opłat za pozwolenia, była droga z Golmudu. Opcja z zachodu była dla mnie nie do przyjęcia, ze względu na ograniczony czas, jakim dysponowałem, a na całą trasę, długości prawie trzech tysięcy kilometrów z Kaszgaru do Lhasy na wysokościach nierzadko przekraczających 5000 m n.p.m., musiałbym przeznaczyć około dwóch miesięcy. Do tego konieczne byłoby doliczenie co najmniej tygodnia na dotarcie do Kaszgaru i na powrót z Lhasy do Polski.

Trasa z Chengdu wiązała się z trudnymi do uniknięcia, gęsto rozszanymi po drodze posterunkami, na których prawdopodobnie wymagano by okazania stosownych pozwoleń. Perspektywa bycia zmuszonym do nocnych przepraw po okolicznych wzgórzach w celu uniknięcia płacenia haraczu (a takie historie opisywał Kym McConnell w przewodniku) albo, co gorsza, bycia zawróconym, sprawiła, że kierunek wschodni również odrzuciłem. Poza tym znaczna część „autostrady” z Chengdu prowadziła poza Wyżyną Tybetańską.

Najbezpieczniejszą wydawała się droga z Nepalu, ale również wtedy musiałbym doliczyć dodatkowe koszty związane z przekroczeniem granicy w Dram. Niemożliwe bowiem było pokonanie jej w pojedynkę. Musiałbym wjechać do Tybetu w wynajętym jeepie, jako uczestnik zorganizowanej w Katmandu wycieczki, by po przekroczeniu granicy oddzielić się od „grupy” i dalej samemu kontynuować jazdę do Lhasy. Jak się okazało, była to praktyka stosowana dość często wśród rowerowych turystów i kilku takich, którzy zapłacili w Katmandu za przekroczenie granicy, udało mi się po drodze spotkać. Ale zanim do tego doszło, musiało jeszcze upłynąć kilka miesięcy niepewności, czy w ogóle do Tybetu wjadę.

Z czterech dostępnych opcji dostania się do Lhasy drogą lądową, pozostała zatem licząca około dwa tysiące kilometrów droga północna z Golmudu, osiągająca w najwyższym punkcie 5160 m n.p.m. (przełęcz Tanggu). Cienka linia na mapie wyglądała zachęcająco. Jedynym problemem mogło być dotarcie do Golmudu. Ciekawą alternatywą wydawał się pociąg z Pekinu.

Pierwszego lipca 2006 roku otworzono bowiem w Chinach najwyżej na świecie położoną linię kolejową, łączącą stolicę Chin z Lhasą. Inwestycja, rozpoczęta w 2001 roku, pochłonęła prawie cztery miliardy dolarów amerykańskich. Według informacji z Internetu, najtańszy bilet na miejsce siedzące miałby kosztować pięćdziesiąt dolarów. Biorąc pod uwagę długość podróży – czterdzieści osiem godzin – rozsądniejsze wydawało się kupić bilet na miejsce leżące. Do dyspozycji były dwa rodzaje biletów: w przedziale czteroosobowym, za równowartość około stu pięćdziesięciu dolarów, albo sześcioosobowym, za około sto dolarów. Porównując te ceny z cenami biletów lotniczych (przelet na trasie Pekin–Lhasa to wydatek co najmniej tysiąc pięćset złotych plus opłaty za pozwolenie na wjazd do Tybetu), wydawały się one bardzo konkurencyjne.

Niestety, bezskutecznie próbowałem kupić bilet na pociąg przez Internet i dowiedzieć się czegoś o możliwościach przewozu roweru. Szczerze mówiąc i tak nie liczyłem zbyt wiele, że uda mi się zarezerwować bilet na dopiero co oddaną do użytku tak ponętą i rozpalającą wyobraźnię trasę z Pekinu do Lhasy. Zdawałem sobie sprawę, że bilety na pierwsze tygodnie jej funkcjonowania są już pewnie od dawna wykupione. Bądź co bądź, chodziło tu przecież o podróż pociągiem, na odcinku stanowiącym z jednej strony mistrzowskie osiągnięcie sztuki inżynierskiej, a z drugiej, poprowadzonym przez jedne z najpiękniejszych i ciągle dziewiczych krajobrazów świata.

Postanowiłem więc zdać się na przysłowiowy łut szczęścia i spróbować kupić bilet już na miejscu w Pekinie. Tydzień przed wyjazdem odebrałem chińską wizę (w roku 2006 wiza turystyczna przyznawana była bezpłatnie), na wszelki wypadek nie zdradzając we wniosku wizowym, że wybieram się do Tybetu.

Pozostawało już tylko dokupić kilka drobniaków, trochę nowych rowerowych części i przygotować odpowiednio rower. Od lat, przed każdą podróżą, oddaję go w dobre ręce pana Zbigniewa Przybyszewskiego z serwisu rowerowego w Warszawie, mieszczącego się przy ulicy Anielewicza. Ten bardzo serdeczny i niezmiernie życzliwy człowiek całe serce wkłada w swoją pracę, będąc uosobieniem sumienności, staranności i profesjonalizmu. Za każdym razem, kiedy z jego ręki odbieram rower, niezmiernie nie mogę się nadziwić, że mój dwukołowy rumak znów wygląda jak nowy.

Siódmego lipca 2006 roku wsiadłem do samolotu ukraińskich linii lotniczych Aerosvit, lecącego do Kijowa, by tam przesiąść się na lot do Pekinu. Na lotnisku w Warszawie musiałem niestety dopłacić sto pięćdziesiąt złotych za siedem kilogramów nadbagażu. Przy dopuszczalnym limicie trzydziestu kilogramów na loty międzykontynentalne, zabierając ze sobą rower, nadpłata za nadbagaż jest właściwie nieunikniona. Niektóre linie traktują jednośląd jako dodatkowy sprzęt sportowy, za który pobierana jest zryczałtowana opłata, niezależnie od jego wagi. Tym razem jednak służbista przy stanowisku odprawy uparł się, że mam zapłacić za każdy kilogram ponad dopuszczalny limit. Odszedłem więc na moment z kolejki i przepakowałem trochę bagaże, upychając do jednej z sakw wszystkie najcięższe rzeczy, uważając, aby były dopuszczalne w bagażu podręcznym. Prawie wszystkie ubrania założyłem na siebie, a kieszenie wypchałem najróżniejszymi drobiazgami: latarką, bandażami, lekarstwami, sznurkami, dętkami i innymi imponderabiliami, które potem musiałem wygrzebać przy bramce kontrolnej, prowadzącej do hali lotniska. W dwóch parach spodni, a właściwie trzech, doliczając rowerowe legginsy, bluzie polarowej i dwóch kurtkach, dźwigając za sobą wypchaną do granic możliwości sakwę i torbę fotograficzną wyglądałem trochę dziwnie, zważywszy, że na zewnątrz było prawie trzydzieści stopni ciepła.

Stojąc w kolejce zlany potem, standardowo oczekiwałem jakichś problemów. I słusznie. Pracownicy lotniska zupełnie zignorowali fakt, że na kilka dobrych minut wstrzymałem odprawę i skrupulatnie kazali mi wyciągać wszystko z kieszeni, sakwy i fotograficznej torby, do której zmieściło się jeszcze trochę rowerowych części: między innymi była tam zwinięta opona, klocki hamulcowe, odkręcone pedały i mała pompka. Widzę, że ta ostatnia wzbudziła zainteresowanie.

– Po co pan zabiera pompkę na pokład? – spytała funkcjonariuszka służby granicznej.

Żeby sobie dopompować powietrza, bo mi go zaraz zabraknie, pomyślałem, wkładając na siebie drugi polar, który został już odpowiednio wymacany i sprawdzony. Głośno odburknąłem:

– Po to samo, co oponę i pedały – i w tej samej chwili pożałowałem swoich słów, bo kobieta przybrała taki wyraz twarzy, jakby za moment sama miała mnie napompować, choć i bez tego, w kilku warstwach ubrań, wyglądałem jak przybysz z Matplanety. Prawdziwy kosmita. Pan Sigma. Miło mi. Niestety nie znam matzakłęcia i nie jestem w stanie się teleportować, proszę więc już łaskawie wpuścić mnie na pokład, obiecuję, że nikogo nie będę straszył ani pompką, ani pedałami, ani niczym innym i schowam wszystko na samo dno sakwy, przykrywając garnkiem i skarpetkami.

Zmieniwszy ton głosu, wytłumaczyłem, że jadę do Chin i w głównym bagażu jedzie ze mną rower. To wyraźnie zadowoliło panią służbistkę, bowiem oddała mi bez słowa pompkę a ja mogłem się wreszcie w spokoju dopompować.



Rozdział 1

O szóstej rano następnego dnia wylądowaliśmy na lotnisku w Pekinie. Różnica czasu między Polską a Chinami wynosiła sześć godzin. Świtało. Znów droga, pomyślałem. Mimowolny uśmiech pojawił się na twarzy.

Ciepłe, kojące oczekiwanie nieznanego.

Miłe ściskanie w żołądku.

Czuję, jak mocno bije serce.

Pulsuje.

Najmocniej przypomina o sobie na początku podróży. Kiedy jeszcze nic się nie zdarzyło, kiedy jeszcze wszystko wydarzyć się może. Jak otwarta księga z pustymi stronami, którą teraz dzień po dniu będę zapisywał.

Zabrałem wszystkie części bagażu na wózek i ruszyłem poszukać jakiegoś zacisznego kąta, aby przygotować rower do drogi i spakować bagaże. W jednym z pustych korytarzy rozłożyłem pod ścianą dużą folię i wypakowałem na nią wszystkie rzeczy: ubrania na jedną kupkę, części do roweru i klucze na drugą, sprzęt do gotowania i garść osobistych rzeczy na trzecią. Do tego kilka drobiazgów, torba z aparatem fotograficznym, karimata, śpiwór i namiot. Obok,

owinięty w kartonowe strzępy, rozłożony na części rower. Uśmiecham się. Cały mój dom razem z meblami upchany w czterech niewielkich sakwach. Dobra, krzepiąca myśl, jak niewiele potrzeba do życia.

Właściwie to ciągle zabieram ze sobą te same rzeczy, niektóre już od kilkunastu lat. Oczywiście, czasem trzeba coś wymienić, zreperować, dokupić, ale w praktyce jest to ten sam zestaw niezbędnych drobiazgów, bez których doskonale radzę sobie w mieście i choć bez nich podróż może nie byłaby niemożliwa, ale na pewno trudniejsza. Wrzucone do trzech czarnych worów w kącie pokoju, tkwią zapomniane między jednym wyjazdem a drugim, nieprzydatne, zapomniane, niepotrzebne w mieście – niezastąpione, nieodzowne w drodze.

Przez nikogo nie niepokojony, zabrałem się do pracy. Wśród rozłożonych rzeczy odnalazłem potrzebne klucze i rozpocząłem składanie roweru. Dokładnie poskręcałem wszystkie części, żeby ich potem nie gubić na szutrowych, wyboistych drogach, dokręciłem pedały, sprawdziłem działanie hamulców, ustawiłem siodełko, kierownicę, dopompowałem koła i nasmarowałem łańcuch. Pozostało spakować sakwy – ciuchy mniej więcej razem, szczoteczka z pastą i mydłem, a garnek z kuchenką i sztućcami. Reszta jak popadnie. I tak potem każdego dnia większość rzeczy wyciąga się przed rozłożeniem namiotu, więc po kilku przepakowaniach już się nie pamięta, co gdzie jest. Zresztą to, co najpotrzebniejsze, najczęściej i tak dziwnym trafem ląduje najgłębiej.

Spojrzałem na spakowany rower. Wyglądał dostojnie. No, to jesteśmy gotowi, pomyślałem.

Po wyjściu z hali lotniska od razu dopadli mnie taksówkarze, oferujący podwiezienie do centrum. O dziwo, nie było w nich ani krzty natręctwa, żadnego nagabywania, ponawiania prośby, żadnego pociągania za rękaw i towarzyszenia mi przez najbliższy kilometr, bo a nuż się rozmyślę i dam namówić na transport do miasta. Wystarczyło raz stanowczo powiedzieć „nie” i więcej się nie narzucali. Cóż za różnica w porównaniu z poprzednim wyjazdem do Indii! Tam w miastach od natrętów nie mogłem się odgonić.

Mam rower. Jestem niezależny. Do centrum dwadzieścia pięć kilometrów, dojadę w godzinę. Tak przynajmniej mi się wydawało. Przejechałem kilkaset metrów i stanąłem przed pierwszym skrzyżowaniem. Bezradnie patrzyłem na ogromny drogowskaz. Chińskie niezrozumiałe znaczki w postaci figur geometrycznych, łuków, zygzaków i esów floresów wyglądały cudownie, ale nie pomogły mi wcale w decyzji, w którą stronę mam teraz jechać. Myślałem, że będę sprytny i uda mi się porównać je z tymi, które miałem na planie miasta, ale po kilku minutach bezowocnych prób porównywania kwadracików, kółek i trójkątów poddałem się.



Dwie perspektywy rowerowej wyprawy – letnia i zimowa

Dobra, przestaję być samodzielny i udawać, że coś z tych piktogramów rozumiem, pomyślałem. Trzeba zapytać tubylca. Pierwsze skonfrontowanie książkowych informacji o skrytych, niezbyt chętnie pomocnych i niemówiących po angielsku Chińczykach raczej nie podniosło mnie na duchu. Rzeczywistość pokrywała się z czytаныmi historiami co do joty. Zaczepiłem najbliższego przechodnia, pytając najprostszym angielskim, jaki mogłem z siebie wykrzesać, jak

dojechać do centrum. Przechodzień ów nie tylko nie odpowiedział na moje pytanie, ale zupełnie mnie zignorował, przechodząc obok tak, jakby mnie wcale nie zauważył. Zgoda, pomyślałem, mógł nie znać języka, ale wyraz mojej twarzy „może-mi-pan-pomóc”, chyba był aż nadto wyrazisty. Hmmm, może zdanie było zbyt skomplikowane i powinienem być po prostu zapytać:

– Centrum? – wskazując jednocześnie ręką odpowiedni, moim zdaniem, kierunek.

Oparłem rower o ścianę i czyhałem na następną ofiarę. Wolnym krokiem zbliżał się staruszek. O, starszy człowiek na pewno pomoże, niechybnie się ucieszy, że może się jeszcze do czegoś przydać. Prawie zaszedłem mu drogę i pytam o kierunek do centrum. Dziadek uśmiechnął się, dotknął ręką ucha, a potem ust i z niegasnącym uśmiechem poszedł dalej. Niemowa czy co? Kiedy kolejne dwie pary podobnie zignorowały moją osobę, zdecydowałem się wsiąść na rower i skręcić w lewo. Decyzja okazała się słuszna, za kilka kilometrów na ruchliwej drodze pojawiły się dające się odczytać litery. Do centrum pozostało piętnaście kilometrów.

Lekko ospały, spod półprzymkniętych powiek, chłonałem otaczającą mnie rzeczywistość, niezbyt pewnie odnajdując się na bardzo ruchliwej ulicy. Z sarkastycznym uśmiechem stwierdziłem, że na chińskich drogach, podobnie jak w innych azjatyckich krajach, zadomowiła się kultura trąbienia.

– Uwaga, nadjeżdżam! – grzmi nadjeżdżająca ciężarówka, trąbiąc donośnym dźwiękiem klaksonu prosto w ucho. Jeszcze nie do końca przyzwyczajony do zmienionego środka ciężkości roweru, manewrowałem zygzakami między innymi jednośladami i coraz częściej pojawiającymi się na drodze pieszymi. Obciążony bagażem rower rozpędzić nie jest łatwo, ale kiedy już nabierze prędkości, to siłą pędu mknie niewiele wolniej od przejeżdżających samochodów.

Ruch na drodze gęstniał coraz bardziej, a im bliżej centrum, tym więcej pojawiało się rowerzystów. Nawet nie zdałem sobie sprawy, w którym momencie stałem się częścią wielkiej, szarej, dwukołowej masy, która sunęła dookoła mnie poboczem drogi. Uśmiechałem się szeroko na lewo i prawo do przejeżdżających osób, ale nikt nie odwzajemniał mojego entuzjazmu. Wydawało się, że wszyscy się gdzieś spieszą. Niektórzy pewnie do pracy, inni na zakupy. Właściwie to nawet ze swoim przeładowanym rowerem i w kolorowej kurtce zbytnio się nie wyróżniałem. Po drodze bowiem mknęły inne, ciekawsze okazy. Obok mnie raźnie pedałowal szczupły mężczyzna, wioząc na ramie kolegę, a na bagażniku kobietę z dwojgiem dzieci. Zaraz za nimi przemknęły żywe kurczaki, przywiązane głowami w dół do kierownicy. Niektórzy ciągnęli wózki, z których wystawały świeże platy mięsa, a z zawieszonych po bokach roweru wielkich, wiklinowych koszy dało się czasem słyszeć zdławione odgłosy żywego inwentarza.

Rozglądałem się wokoło, próbując wypatrzeć jakąś nazwę ulicy albo

drogowskaz, który wskazałby mi dalszą drogę. Zamierzałem pojechać prosto na dworzec i sprawdzić rozkład jazdy do Lanzhou. Niestety, na drogowskazach i ogromnych tablicach tylko chińskie znaki!

– Gdzie ja właściwie jestem? – lekko zdezorientowany zatrzymałem się przed kolejnymi światłami i próbowałem określić swoje położenie względem planu miasta.

Stojąc prawie na środku skrzyżowania, rozglądając się na wszystkie strony ze strapioną miną i rozłożoną, powiewającą przede mną ogromnych rozmiarów mapą, musiałem wyglądać jak ktoś, kto właśnie się zgubił i chciałby zapytać o drogę. Niestety, Chińczycy okazali się zupełnymi ignorantami w dziedzinie odczytywania pozawerbalnej mowy ciała. Z całego tłumu ruszających na zielonym świetle rowerzystów i motocyklistów jedynie kilka osób rzuciło mi ukradkowe, puste, bezbarwne spojrzenie. Może to wstyd, a może strach, na pewno zadziałało rozproszenie odpowiedzialności, przecież z całej masy chińskich rowerzystów i przechodniów nikt się nie zatrzymał. Wpadłem na prosty i chytry plan. Muszę wskazać kogoś palcem, zapytać konkretną osobę, zwrócić się do niej bezpośrednio, pomyślałem.

– *Hello, sir, can you help me?* – spytałem stojącego obok rowerzystę. Uśmiechnął się nieśmiało. To nic, że jeszcze paliło się czerwone światło. Ruszył do przodu wyjątkowo szybko, a za nim rozpędziła się reszta ogromnej, szarej rowerowej masy. Pani z gwizdkiem na skrzyżowaniu wyraźnie ponaglała, aby ruszać.

O, to jednak mnie widać! – przemknęło mi przez myśl, ale nie było szans, aby podjechać do stojącej na środku skrzyżowania kobiety, otoczonej teraz przez jadące w obie strony pojazdy. Nacisnąłem na pedały i postanowiłem spróbować szczęścia po drugiej stronie ulicy. Zszedłem na chodnik. Pieszy tak łatwo nie ucieknie!

– O, jest ofiara! Ta w szarym garniturku wygląda na sekretarkę, może nawet zna trochę angielski – z pewną miną zrobiłem krok do przodu.

– *Hello, hello!* Proszę pani! – Szara myszka z tekturową teczką pod pachą nawet na mnie nie spojrzała. Druga ominęła podejrzliwie, wreszcie trzecia zatrzymała się i z uwagą spojrzała na plan miasta.

– Dworzec, autobus, pociąg, ja, jechać, Lanzhou, chcieć, nie wiedzieć jestem gdzie – mieszaniną angielskiego i międzynarodowego języka migowego (wzruszanie ramionami, rozkładanie rąk w bezradnym geście, unoszenie brwi, uśmiech nieszkodliwego wariata) próbuję nawiązać nić porozumienia.

– Dworzec, pociąg, autobus, gdzie być? – podtykam pod nos nazwę ulicy, zapisaną chińskimi znaczkami i wzruszam ramionami. Kobieta też zaczęła wzruszać i nagle z jej ust wypłynął potok tak soczyście barwnych dźwięków, że na chwilę mnie zamurowało.

– Hurra! Mówią do mnie! – prawie krzyknąłem z radości. Tyle, że niestety po chińsku... Trudno, musiałem próbować dalej. Wyszedłem na ulicę i zacząłem machać na przejeżdżających rowerzystów. Omijali mnie sprawnie szerokim łukiem, zachowując przy tym tak absolutnie beznamiętną minę, jak gdyby omijali zwykłą dziurę w ziemi.

Kiedy już zacząłem się z lekka niecierpliwić i rozglądać za kawałkiem drzewca, który mógłbym komuś włożyć między szprychy, zatrzymał się obok mnie młody rowerzysta i pięknym angielskim zapytał:

– Skąd jesteś?

– Z Polski – odpowiedziałem. Nie zdążyłem nic dodać, bo padło następne pytanie:

– A ile kosztował twój rower?

No tak, jakże mógłbym się spodziewać innego pytania? Przecież rower w Chinach to żywy składnik kultury. Wszechobecny. Będący tak immanentną częścią miejskiego krajobrazu, że nawet przez moment nie zdziwiła mnie ilość rowerzystów na drodze. Widok setek rozpędzających się dwukołowych pojazdów przed skrzyżowaniem tak współgrał z moim wyobrażeniem o Pekinie, że nie dostrzegłem w tym żadnej wyjątkowości, odmienności, egzotyki.

Pytanie spotkanego przed momentem Chińczyka trochę mnie zmieszało. Nie chciałem podać rzeczywistej ceny, bo byłaby dla niego pewnie zbyt wygórowana, a nie zamierzałem też opowiadać mu historii swojego życia i mówić, że na rower ten zbierałem długo i kosztował mnie wiele wyrzeczeń. Wypośredkowałem więc cenę, ale i tak chyba przesadziłem, bo brwi chłopaka przeniosły się prawie na czubek głowy. Odstawił swój rower na pobocze i podszedł do mojego. Ponaciskał z miną znawcy rączki hamulców i manetki, sprawdził twardość siodełka, a na koniec wymacał opony.

– *Good bike, good bike.* – Chętnie przejechałby się kawałek, ale spieszył się na spotkanie. Dowiedziałem się jednak od niego, gdzie jestem, a co najważniejsze, dostałem dokładne wskazówki, jak dojechać na dworzec autobusowy. Podziękowałem wylewnie, wsiałem na rower i wtopiłem w uliczny ruch.

Na kolejnym skrzyżowaniu pojawiły się „normalne” litery. Poczułem się, jakbym odnalazł ślad drogi na pustyni. Już nie musiałem pytać o drogę. Bez przeszkód dojechałem na dworzec autobusowy. Podszedłem do okienka, zaczynając od uśmiechu. Chyba trochę zwlekałem z wykrztuszeniem z siebie dopiero co wykutej na pamięć formułki „chciałbym pojechać do Lanzhou”, bo obok pojawiła się jakaś starsza pani i odepchnąwszy mnie bezpardonowo, rozpoczęła rozmowę z panią z okienka. Zaraz po niej pojawił się młody chłopak, który również zupełnie mnie zignorował. Poczekalem, aż zapłaci i zagadnąłem go o możliwość dojechania do Lanzhou. O dziwo, wydawał się chętny do pomocy, niestety bariera językowa uniemożliwiła jakąkolwiek komunikację. Pokazałem mu

kartkę z wymalowanymi znakami oznaczającymi miasta, do których chciałem dojechać. Kręci głową i coś mówi. A! Pociąg! Do rozmowy wtrąca się kolejny mężczyzna, zataczając ręką koło w powietrzu. Chyba ma na myśli samolot.

– *No bus Lanzhou* – mówi. – *Go plane*.

Jak to nie ma autobusu? – myślę. No tak. Łatwo mu powiedzieć, ale mój budżet na pewno nie wystarczy na podróż samolotem. Pozostał zatem pociąg. Właściwie to skąd przyszło mi do głowy, że wyjadę z Pekinu autobusem? W przewodniku nic nie było napisane o autobusowych połączeniach Pekin–Lanzhou, a jedynie informacja, że rowery przewożone są na dachu za darmo sprawiła, że pojechałem najpierw sprawdzić rozkład busów. Trudno, myślę, trzeba pojechać na dworzec kolejowy.

Przed budynkiem dworca kłębiło się mnóstwo ludzi, ale wśród całej tej ciżby nie mogłem dostrzec choćby jednego cudzoziemca. Mocno już zmęczony, liczyłem, że szybko dowiem się, jakie są możliwości połączeń i wreszcie pojedę rozejrzeć się za jakimś miejscem do spania.

Zostawiłem rower pod ścianą i wszedłem do przestronnej hali próbując odnaleźć kasy. Owszem, znalazłem je bez trudu, ale na ścianach wewnątrz budynku, na wszystkich okienkach i na wszystkich bez wyjątku tablicach informacyjnych otaczały mnie tylko chińskie znaczki!

Podszedłem do stolika, wyglądającego na punkt informacyjny i, wykorzystując chińskie rozmówki, zapytałem o pociąg do Lanzhou. Nastąpiła scena rodem z Monty Pythona, z tą różnicą, że moja książeczka była w innym języku. Choć właściwie mógłbym zabrać rozmówki węgierskie... Byłyby tak samo przydatne.

Troje umundurowanych Chińczyków wyglądało na lekko przestraszonych. Coś odpowiedzieli, ale równie dobrze mogliby odpowiedzieć w suahili albo w ndebele, jednym z narzeczy mieszkańców Zimbabwe, bo i tak nic bym nie zrozumiał. Cóż, znów bariera komunikacyjna. Wygląda na to, że nad chińską wymową będę musiał jeszcze mocno popracować.

Ponowiłem pytanie. Jeden z siedzących mężczyzn rozejrzał się nerwowo, napisał coś na kartce i podał mi ją bez słowa. Spojrzałem na pokrytą chińskimi znaczkami i trzycyfrową liczbą kartkę papieru. Logika służbistów była bez zarzutu. Skoro młodzieniec nie mówi, to może chociaż czyta. Chiński język jest językiem tonicznym, to znaczy, że wysokość tonu determinuje znaczenie słowa. Ton może być jednostajny, wznoszący, opadający, falujący i tak dalej. Zadając pytanie o pociąg do Lanzhou, mogłem trochę inaczej zaakcentować dane słowo i z moich ust mogło wyjść coś zupełnie niezrozumiałego. Ciekawe skądinąd, co zrozumieli funkcjonariusze. Może na przykład:

– Dlaczego macie na głowach takie śmieszne czapki?

Spojrzałem raz jeszcze na kartkę. Za wiele mi to nie pomoże, pomyślałem.

Przeniosłem wzrok na mundurowego, który wskazał na ustawioną niedaleko tablicę, mówiąc „train number”. O, to już jakiś konkret, odszukam na niej numer pociągu i będę wiedział... no właśnie, ale co? Skoro tablica pokryta jest chińskimi znaczkami, więc i tak nic z niej nie odczytam. Niemniej jednak, poszedłem we wskazanym kierunku.

Stałem przed czymś, co przypominało rozkład jazdy. Czułem się jak kompletny analfabeta. Znak Lanzhou, który znalazłem w przewodniku, nie przypominał żadnego z tych, które były na tablicy. Próbowałem pytać stojące obok osoby, ale moje pytania albo zupełnie ignorowali, albo kwitowali je wzruszeniem ramion.

No tak, pomyślałem, po raz kolejny doświadczam głęboko zakorzonego w chińskiej obyczajowości strachu przez „stracenie twarzy”, czyli *mianzi*. Kontakt z cudzoziemcem jest chyba najwymowniejszym tego przykładem. Lepiej milczeć, ignorować, ewentualnie głupio się uśmiechnąć albo udać przygłuchego, niż dać do zrozumienia, że się nie rozumie, albo nie wie i dać sobie przyprawić gombrowiczowską „gębę”.

Nie rezygnując, próbuję dowiedzieć się czegoś przy kasie. Ustawiam się w dość długiej kolejce i czekam na swoją kolej. Bingo, kasjer mówi po angielsku! Gęby więc mu nie przyprawię!

Niestety, dowiaduję się, że nie ma już biletów do Lanzhou na dziś i na jutro i najwcześniej mogę wyruszyć pojutrze. Pytam o cenę. Dwa tysiące sto juanów. Słucham? To chyba jakaś pomyłka, przecież to prawie dziewięćset złotych, myślę.

– Ale ja chcę kupić najtańszy bilet – mówię, czując na sobie napierającą z tyłu kolejkę.

– Nie ma najtańszych – odpowiada kasjer. Za sobą słyszę coraz głośniejsze pomruki.

– To może są bilety do Lhasy? – chwytam się ostatniej deski ratunku.

– Nie ma. Idź do biura podróży.

– A w biurze kupię? – pytam.

– Nie wiem, idź do biura – dorzuca zniecierpliwiony kasjer i widzę, że ręką przywołuje już do siebie kolejnego klienta.

Wycofałem się powoli i bezradnie rozejrzałem dookoła. Nie ma rady, muszę znaleźć kogoś mówiącego po angielsku, przecież chcę kupić bilet bez miejscówki, więc dlaczego kasjer nie może mi go sprzedać? Po kilkunastu próbach nawiązania kontaktu, wreszcie natrafiłem na dwóch młodych chłopców, którzy stwierdzili, że bardzo chętnie mi pomogą. Ustawiliśmy się w kolejce, aby odstać kolejne pół godziny.

Przedstawiliśmy się sobie i próbowaliśmy trochę porozmawiać. Ich imiona były dla mnie zupełnie nie do powtórzenia, ale oba kończyły się dźwiękiem przypominającym coś jakby „ming”. Jeden z nich był Małym Wojownikiem,

a drugi Daleką Górą. Moje żałosne próby poprawnej chińskiej wymowy Góry i Wojownika wywoływały tylko pobłażliwe uśmiechy. Dowiedziałem się, że imiona w Chinach najczęściej coś symbolizują i są niezmiernie ważne. Niosą znaczenie. Są odbiciem środowiska, osobowości albo epoki. Nie powinno więc dziwić, że osoby urodzone w czasie „rewolucji kulturalnej” mogą nosić imiona Czerwonogwardzista, Precz z Ameryką albo Wierny wobec Mao. Teraz natomiast nadaje się imiona Budujący Kraj albo Cztery Modernizacje. Oczywiście, występują też najzupełniej „normalne” imiona, na przykład Skromność, Moralność, Strażnik Domu (tak jak reżyser filmu *Spragnieni miłości*), Jasny albo Obłoczek. To ostatnie, to imię żeńskie. Z męskich imion, poza politycznymi konotacjami, często epatuje siłą, pieniądze, góry albo smoki lub tygrysy. Kobięce imiona to często nazwy kwiatów lub kamieni szlachetnych. W języku chińskim właściwie każdy znak chińskiego pisma może posłużyć jako składnik imienia, co teoretycznie daje ogromną liczbę możliwości. Rzadko się jednak zdarza, aby ktoś miał to samo imię, a jeśli już, to najczęściej jest to zupełny przypadek. Tym bardziej, że niestosowne jest użycie imienia znanej postaci, krewnego albo przodka.



Tybetańczycy podczas codziennych zajęć

Mały Wojownik i Daleka Góra bardzo się zdziwili, że chcą kupić bilet bez miejscówki, czyli *no seat*.

– To bardzo długa podróż, a w pociągu na pewno będzie ciasno – tłumaczył Wojownik.

– Nie ma problemu – odpowiadam. – W razie czego rozłożę na podłodze karimatę i zakopię się w śpiwór – tłumaczyłem swój punkt widzenia.

Obaj chłopcy pokręcili głowami z dezaprobatą, ale już dłużej nie rozmawialiśmy na ten temat. Wreszcie nadeszła nasza kolej. Ten sam kasjer, z tą samą zastygłą w geście zniecierpliwienia miną, sprzedał nam bilet do Lanzhou za jedną dziesiątą tego, co proponował wcześniej, czyli za dwieście dziesięć juań. Nic z tego nie rozumiałem, może przez pół godziny dodrukowali nowe bilety? Przecież jeszcze niedawno twierdził, że nie ma najtańszych. Nieważne. Liczyło się to, że mam bilet i jeszcze dziś wyjadę z miasta. Uszczęśliwiony prawie wyciąłem moich wybawców.

Daleka Góra musiał nas opuścić, bo spieszył się na pociąg, zostałem więc sam z Wojownikiem. Chłopiec zobowiązał się dotrzymać mi towarzystwa, aż do odjazdu mojego pociągu, co w praktyce równało się jeszcze czterem i pół godzinie czekania. Zaproponował, abyśmy poszli na peron.

– Chodź, pokażę Ci, skąd odjeżdża Twój pociąg.

Gdyby nie on, naprawdę nie wiem, jak trafiłbym na właściwe miejsce. Co prawda, co jakiś czas z megafonów wypowiedano komunikaty po angielsku, ale niewiele można z nich było zrozumieć. Na sam peron nie doszliśmy, zresztą i tak Wojownik chciał tylko pokazać mi poczekalnię.

Ponieważ byłem coraz bardziej głodny, zapytałem, czy nie miałby ochoty pójść ze mną coś zjeść, a może nawet mógłby doradzić mi jakieś odpowiednie miejsce na zasłużony posiłek.

– Bardzo chętnie – odpowiedział. – To samo właśnie miałem zaproponować. Przed dworcem jest mała restauracja, możemy iść do niej, ale nie jest zbyt ekskluzywna – dodał nieśmiało.

Być może, jako obcokrajowca, stereotypowo potraktował mnie jako kogoś posiadającego przy sobie dużo pieniędzy i jadającego w odpowiednio wyszukanych lokalach. Zdziwiłby się bardzo, gdyby się dowiedział, jak niewiele zabrałem gotówki na dwa miesiące pobytu w Chinach.

– Bardzo chętnie pójde z tobą tam, gdzie mnie zabierzesz – odpowiedziałem najzupełniej szczerze. Byłem taki wygłodzony, że miejsce naprawdę nie miało żadnego znaczenia.

Skierowaliśmy się ku wyjściu i prawie już byliśmy na zewnątrz hali, kiedy zaczepił nas umundurowany pracownik kolei. Wskazując to na rower, to na mnie, intensywnie przy tym gestykułując, podniesionym głosem tłumaczył coś Wojownikowi. Nawet bez znajomości chińskiego mogłem się zorientować, że chodzi mu o rower i mam się z nim jak najszybciej zabierać z hali dworca.

Chwilę to trwało, zanim Wojownik skończył rozmawiać (czy też

powiniennem napisać – przekrzykiwać się – gdyż w taki sposób zazwyczaj Chińczycy ze sobą rozmawiają; wydaje ci się, że się kłóca, a to tylko przyjacielska pogawędka), by za moment wytłumaczyć mi, że rower musi być nadany jako bagaż.

Chociaż z brzucha raz po raz wydobywały się salwy coraz cięższego kalibru, postanowiłem najpierw załatwić sprawę roweru, a dopiero potem zająć się wypełnieniem żołądka. Bez problemu znaleźliśmy budynek, leżący dosłownie obok dworca, który okazał się być hangarem, służącym do odprawy ponadwymiarowego bagażu.

– Bagaż nie – powiedział jeden z pracowników, co znaczyło, abym odpiął wszystkie sakwy.

Wyjąłem co cenniejsze rzeczy z toreb i umieściłem w małym plecaku. Zostawiłem sobie jeszcze karimatę i śpiwór. Cała reszta powędrowała do wielkich worów, zaciągniętych następnie szerokimi taśmami.

– Teraz iść płacić – dorzucił mężczyzna, podsumowując wypowiedź gromkim charknięciem i odpowiednio wymownym splunięciem. Na wszelki wypadek też zebrałem w ustach trochę gęstego płynu i z głośnym „ptfuu” pozbyłem się zawiesiny. Bagażowy uśmiechnął się. Zaraz mnie przytuli, pomyślałem, ale on tylko powtórzył:

– Teraz iść płacić.

Spluwanie w Chinach to nie jest takie sobie zwykłe spluwanie. Wykonywane jest z gracją i perfekcją, świadcząca o latach praktyki.

Weszliśmy do klimatyzowanego pomieszczenia, gdzie podetknięto mi do wypełnienia kwit bagażowy. Z pomocą Wojownika skrupulatnie wpisałem co trzeba, obok znajdujących się już na formularzu chińskich znaczków.

– Co ja bym bez ciebie zrobił? – głośno raz jeszcze podziękowałem.

Bilet za bagaż kosztował dwieście pięćdziesiąt juanów, czyli równowartość około stu złotych. Trochę dużo, ale ważne, że wszystko wydawało się być załatwione. Martwiłem się, czy aby na pewno rower dojedzie ze mną do Lanzhou, ale Wojownik zapewniał, że bagaż nie może zginąć, najwyżej dojedzie kilka dni później.

– Jak to kilka dni później? – zapytałem lekko zdezorientowany.

– No, zdarza się, że bagaże jadą innym pociągami i docierają na miejsce kilka dni później – powiedział Wojownik. – Ale nie martw się, nie zginą. A Lanzhou to piękne miasto, będziesz miał czas, aby je poznać.

Nie powiem, żeby mnie to bardzo uspokoiło, ale innego wyjścia nie miałem. Należało mieć nadzieję, że wszystko pójdzie zgodnie z planem. Na odchodne dostałem trzy kwitki, oczywiście pokryte chińskimi znaczkami, które w Lanzhou, w podobnym hangarze, miałem wymienić na swój bagaż. Na wszelki wypadek jeden z pracowników wypisał mi na kartce nazwę miejsca, gdzie miałem się zgłosić

po swoje rzeczy.

– To teraz idziemy coś zjeść – powiedziałem. Dochodziła czwarta, od dziesięciu godzin nie miałem niczego w ustach, poza wodą...

Restauracja, do której zaprowadził mnie Wojownik, rzeczywiście nie była szczytem wyrafinowania i higieny, ale nie miało to dla mnie żadnego znaczenia. Kiedy tylko weszliśmy do środka, intensywny zapach smażonych potraw dosłownie wypalił mi nozdrza; wzdrygnąłem się na samą myśl, ile papryczki zaraz pochłonę. Ostre jedzenie od dzieciństwa niezbyt mi służy, staram się więc go unikać w miarę możliwości. Wiedziałem, że zaraz wystawię żołądek i cały układ trawienny na ciężką próbę sił z nową florą bakteryjną, szczególnie, że dopiero co przyjechałem do Chin i jeszcze do nowego menu nie przywykłem.

Rozejrzałem się dookoła. Przy okrągłych stolikach siedzieli głównie mężczyźni, głośno zajadając z rozstawionych ciasno misek i talerzy. Ze wszystkich stron dobiegało radosne ciamkanie, siorbanie, okazjonalne plucie i donośne bekanie. Jest swojsko, pomyślałem, widząc jak sąsiad ze stolika dosłownie wsadza nos w miskę z rosółem, sprawnymi ruchami warg i języka wciągając niekończący się makaron.

– Co chcesz zjeść? – pytając, Wojownik wskazał pusty stół.

– Wszystko mi jedno, zdam się na ciebie, byle nie za ostro – ostatnie słowa powtórzyłem dwukrotnie.

– Dobrze, to niech będzie wołowina z warzywami – oznajmił Wojownik i poszedł zamówić posiłek.

Choć było bardzo jasno, nad głową migotała nam jarzeniówka, wydając z siebie dźwięki podobne do uwięzionej ćmy, obijającej się głucho i w panice o klosz nocnej lampy. Szybko jednak o niej zapomniałem, moją uwagę przykuwały bowiem pojawiające się na naszym stole coraz to nowe miski i talerze.

– Przecież mieliśmy zjeść tylko wołowinę z warzywami – zauważam, widząc kolejne danie przyniesione przez kelnera.

– Tak, ale do tego zjemy jeszcze pierożki, ryż i zupę – powiedział z uśmiechem Wojownik, a ja pomyślałem, że może w międzyczasie kogoś zaprosił i zaraz dołączą do nas jacyś jego znajomi.

– Ktoś jeszcze przyjdzie? – zapytałem.

– Nie – uśmiechnął się i wyjaśnił, że w Chinach zawsze się je w ten sposób. Każdego dania powinni spróbować wszyscy siedzący dookoła, dodając do miseczki ryżu małe porcje „dania głównego”, rozłożonego na środku stołu, często na dymiącym jeszcze półmisku.

Zabraliśmy się za jedzenie. Rozejrzałem się bezradnie za sztucami. Nic z tego – albo pałeczki, albo ręce. Z zupami jeszcze jakoś sobie poradzę, pomyślałem, sam zresztą lubię czasem posiorbać, gorzej będzie z ryżem, nikt go palcami nie jadł. Sięgnąłem niepewnie po dwie rozłożone przede mną pałeczki.

– Daj, pokażę ci – chińskie sztuce umieszczone w dłoni Wojownika wyglądały jak przedłużenie jego palców. Rzeczywiście, po kilku próbach nawet udało mi się coś wyłowić z najbliższej leżącego półmiska.

Najpierw przystawki. Nie wiem, co to było, na wszelki wypadek wołałem nie pytać. Przypominało rozdeptanego i zwęglonego karalucha, ale smakowało całkiem niezłe, przyjemnie chrzęszcząc między zębami.

– Chrum, chrum, ciam, ciam, mniam, mniam! Pyszne – mówię, szczerząc zęby w uśmiechu do Wojownika, wyobrażając sobie, że zajadam krakersy.

– Spróbuj tego – odpowiedział, podsuwając mi kolejną miskę. Siorb, siorb, posłusznie wciągałem w siebie kolejne porcje ze stołu.

Muszę przyznać, że wszystko, czego spróbowałem, było znakomite, do tego artystycznie udekorowane kolorowymi, aromatycznie pachnącymi przyprawami i wcale nie tak ostre, jak się tego początkowo obawiałem.

Jedzenie w Chinach jest czynnością społeczną. Podobnie jak załatwianie się, ale o tym miałem przekonać się później. Właściwe przygotowanie potraw oraz odpowiednia dieta służą nie tylko zaspokajaniu głodu i przyjemności podniebienia, ale utrzymują w harmonii cały organizm. Chińczycy są głęboko przekonani, że zdrowie i siła człowieka są ściśle związane z wyżywieniem. Kiedy człowiek zachoruje, zamiast szukać pomocy u lekarza i wydawać potem pieniądze na lekarstwa, lepiej jest się dobrze odżywiać, wtedy organizm sam się wzmocni i sam przezwycięży chorobę.

– W Polsce jest chińskie jedzenie? – między jednym karaluchem a drugim zapytał zniecierpliwiony Wojownik.

– Owszem, ale na dobrą restaurację, w której serwują prawdziwie orientalne jedzenie, mnie raczej nie stać – odpowiedziałem smutno, walcząc z utkwioną między zębami nogą robaka.

– Mamy za to w sklepach chińskie zupki – dodałem.

Chciałem jeszcze dodać, że u mnie na osiedlu jest „Chińczyk”, w którym można zjeść niedogotowany ryż z poćwiartowaną razem z kośćmi kurą i bliżej nieokreślonymi warzywami, ale ugryzłem się w język.

– A to prawda, że biali jedzą surowe mięso? – wypalił zniecierpliwiony Wojownik.

No i proszę. Zaraz zapyta, czy w Polsce biegają białe niedźwiedzie. Dla przeciętnego Europejczyka wszyscy Azjaci wciągają ryż, a dla przeciętnego Chińczyka każdy biały je ziemniaki, ewentualnie chleb z dodatkami. Azjaci jedzą psy i koty, a biali śmierdzące sery i surowe mięso.

– Tak, jemy, a wy jecie psy? – odparowałem.

– Tak, niektórzy jedzą – powiedział. – Ale przynajmniej je wcześniej gotują – dodał po wymownej przerwie.

Po sutym posiłku, wróciliśmy z Wojownikiem na dworzec i płataniną korytarzy dotarliśmy do wypełnionej po brzegi dworcowej poczekalni. Wszystkie

nieliczne miejsca siedzące były zajęte, zresztą na podłodze też nie zostało zbyt wiele miejsca i z niemałym trudem znaleźliśmy fragment, na którym udało się rozłożyć karimatę. Byłem bardzo wdzięczny Wojownikowi, który uparł się, że zostanie ze mną aż do mojego odjazdu.

Dookoła panował ogromny rozgardiasz. Ludzie wyglądali, jakby się o coś kłócili albo próbowali się nawzajem przekrzykiwać. Może usiedliśmy obok wycieczki niedosłyszających? Spojrzałem mimowolnie na Wojownika, ale z jego miny wyczytałem, że wszystko jest w porządku. Przysłuchując się rozbrzmiewającym dookoła rozmowom, można było odnieść wrażenie, że wszyscy mają do siebie jakieś żale, pretensje i próbują wzajemnie przekonać się o swojej racji. Raz po raz, dłuższa wypowiedź kończyła się soczystym charknięciem, a na podłogę lądowało z ust małe co nieco.

O wyznaczonej godzinie ruszyliśmy w stronę jednej ze znajdujących się po drugiej stronie hali bramek, przypominających te w warszawskim metrze. Każdej z bramek pilnowały cztery kobiety, a oprócz nich wzdłuż kolejki, która momentalnie utworzyła się przed wyjściem z hali, spacerowały kolejne cztery kobiety, odpowiedzialne za jej ustawianie. Każdy krok w bok albo zbyt gwałtowny krok do przodu, był natychmiast karany surowym spojrzeniem jednej ze służbistek. Aby udowodnić, że ciężko pracują, a nie tylko prezentują na sobie najnowszy model zgrabnie skrojonego, kolejowego munduru, panie nadgorliwie sprawdzały bilety. Mój sprawdzony był sześć razy, Wojownika siedem, ale z jego kamiennego i niewzruszonego wyrazu twarzy wywnioskowałem, że wcale nie uważał tego za wczesny objaw schizofrenii chińskich funkcjonariuszek. Zresztą wszyscy w kolejce, ze stoickim spokojem medytującego jogina, usłużnie pokazywali po raz enty swój bilet.

Nie tak łatwo wejść do chińskiego pociągu. Mój chiński przyjaciel musiał wykupić sobie specjalną wejściówkę, która upoważniała go do wejścia na peron w charakterze osoby odprowadzającej, a na sam peron zostaliśmy wpuszczeni dopiero po wjeździe pociągu, czyli około dwadzieścia minut przed jego odjazdem. Mój bilet był jeszcze dwukrotnie sprawdzany na peronie i po raz kolejny przed samym wejściem do wagonu. Oj, ciężko byłoby pojechać na gapę, pomyślałem.

Wojownik odprowadził mnie aż do drzwi pociągu, po czym pożegnaliśmy się w sposób tak wylewny, że ktoś z boku mógł łatwo pomylić się, co do mojej orientacji seksualnej. Tematu tego jednak z Wojownikiem nie poruszałem, więc o jego gustach nic napisać nie mogę. Tak czy inaczej, byłem mu niezmiernie wdzięczny za okazaną pomoc i życzliwość.



Witryna sklepowa w Lhasie

Pociąg ruszył bezgłośnie, dopiero po chwili dotarło do mnie, że jedziemy. Nieśmiało uniesiona ręka na pożegnanie, trochę żal, ale nie za mocny, przecież to tylko jedno z wielu spotkań, jakie jeszcze na mnie czekają. Drzwi zamknięte, pociąg rozpędzał się powoli, mimo wszystko lekki ścisk w żołądku, może to te karaluchy czy inne robaki, pewnie za słabo dosmażone.

– Proszę wejść do środka, nie stać tutaj, wejść dalej, dalej – usłyszałem od konduktora, który na wszelki wypadek, po raz kolejny sprawdził mój bilet.

Pociąg był niemiłosiernie zatłoczony. Z dużym wysiłkiem przepchnąłem się w stronę luźniejszego środka. Wagon składał się z jednego, długiego przedziału, wyłożonego miękkim, czerwonym dywanem i przedzielonego wąskim przejściem, z krzesłami umocowanymi symetrycznie naprzeciwko niewielkich stolików.

Wszystkie miejsca były już zajęte i powoli zaczęła się walka o zdobycie odpowiednio komfortowej przestrzeni do stania. Dookoła mnie siedziała grupa dziesięciolatków ubranych w jednakowo żółte podkoszulki. Jako że byłem jedynym obcokrajowcem w całym przedziale, nie minęło dużo czasu, kiedy zaczęły

się pierwsze zaczepki.

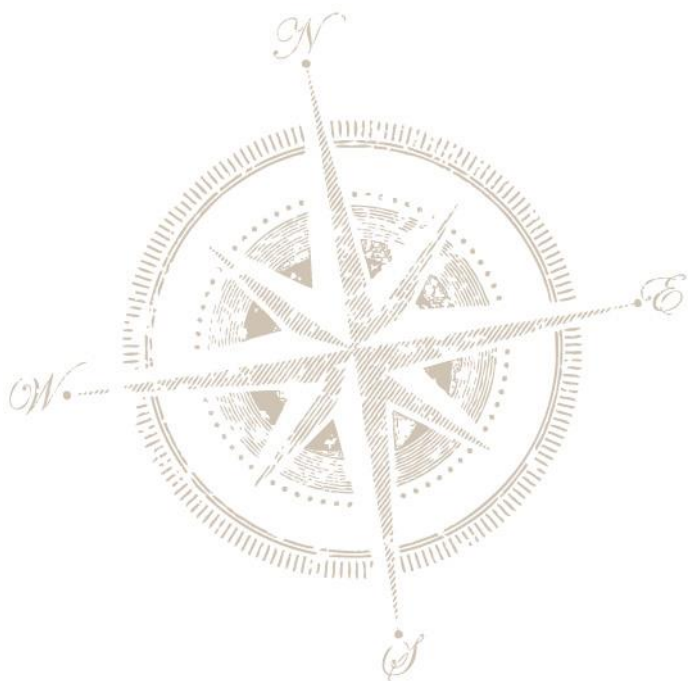
– *Hello, how are you?* – pytanie padało coraz częściej i w końcu odpowiedziałem, co wzbudziło niesamowity entuzjazm reszty. Piskliwe *hello, hello* osaczyło mnie teraz ze wszystkich stron, połączone z nieopisanym chichotem, wrzawą i ogólnym poruszeniem w całym wagonie. Byłem zbyt zmęczony, aby reagować inaczej, niż tylko uśmiechem i coraz większym przerażeniem napawała mnie myśl, jak ja w pozycji stojącej wytrzymam prawie dwadzieścia godzin, bo tyle miała trwać podróż.

O rozłożeniu karimaty i śpiwora mogłem tylko pomarzyć. Moim celem nadrzędnym stało się teraz przesunięcie łokciami i barkami stojącego obok pana, tak, abym mógł oprzeć się o siedzenie albo nawet spróbować potem usiąść na podłodze. Po kolejnym mocniejszym hamowaniu siła bezwładności cisnęła mnie razem z innymi do przodu. Wykorzystując sytuację, napałem mocniej całym ciałem, zrobiłem krok do przodu i błyskawicznym ruchem usiadłem, krzyżując nogi. Oczywiście, pan wracając na swoje poprzednie miejsce, za moment na mnie nadepnął, ale spojrzawszy w dół, mruknął coś tylko z niesmakiem. Jeszcze tylko karimata pod tyłek, ramiona na kolana i mogłem spróbować zasnąć. Niestety, przysypiałem tylko na moment, by za chwilę być lżej lub mocniej deptanym przez współtowarzyszy podróży.

Chyba nie wyglądałem zbyt zdrowo, bo po godzinie takiego przysypiania, na zmianę ze wstawaniem i jęczeniem, dziewczęta siedzące pod oknem zaprosiły mnie do siebie. Zgodziłem się bez wahania. Mogłem z nimi porozmawiać, byleby choć na chwilę usiąść i nie być deptanym po głowie. Nie zdradziłem, że jadę z rowerem, żeby nie prowokować nowych pytań. I tak wystarczająco już byłem nimi zasypywany.

– Jak masz na imię? A co to znaczy? Skąd jesteś? Dokąd jedziesz? A po co? A masz żonę? A masz dom? A lubisz ryż? A lubisz Chiny? A jesteś patriotą? – i tak dalej...

Jeśli chodzi o ich angielski, to całkiem nieźle sobie radziły. Wracały ze szkolnej wycieczki do Lanzhou, skąd pochodziły. Ciekawe, że ich wychowawcy jakoś nie wykazywali entuzjazmu, aby ze mną porozmawiać, może nie znali języka? Nie pytałem, bo jedyną rzeczą, o jakiej wtedy marzyłem, była chwila spokoju i kilka godzin snu. W końcu repertuar pytań się wyczerpał, ciekawość dziewcząt została jako tako zaspokojona, a ja mogłem mimochodem położyć głowę na stole i zamknąć oczy. Wciśnięty pomiędzy chude ciała, niepostrzeżenie dla siebie samego, zasnąłem. Zawieszeni na stukających leniwie kołach jawy i snu, powoli wjeżdżaliśmy w niebyt rozpostartej za oknem nocy.



Rozdział 2

Rankiem obudziły mnie lekkie poszturchiwania. Było już zupełnie jasno. Podniosłem głowę. Przedemną na stole stała plastikowa tacka, po brzegi wypełniona ryżem, warzywami i jakimś mięsem.

– To dla ciebie – usłyszałem od jednej z opiekunek. Z rozkoszą pałaszowałem gorący posiłek. Moi młodzi współtowarzysze podróży patrzyli na mnie z rozbawieniem, kiedy bezskutecznie próbowałem nabrać ryżu na pałeczki. W końcu dałem za wygraną i zacząłem jeść rękoma. Zresztą, o ich sposobie konsumpcji też nie mogłem powiedzieć, że był higieniczny i kulturalny. Kulturalny, oczywiście z punktu widzenia Europejczyka. Swoją drogą, dlaczego jedzenie sztućcami ma być czymś lepszym niż rękoma, nie mówiąc o pałeczkach... Niemniej jednak, wszystkie resztki z tacy dziewcząt bezpardonowo ładowały na dywan, by potem być zdeptywane przez stojących i przechodzących pasażerów. Tych ostatnich jakby było mniej, pewnie część wysiadła gdzieś po drodze.

Około południa rozpoczął się ciekawy spektakl. Otóż do przedziału wszedł mężczyzna, który zaczął zwijać puszysty kiedyś dywan, a za nim dwaj kolejni. Ci drudzy najpierw zamiatali podłogę, by następnie z pomocą zmiotki i szufelki, zebrać do plastikowych worków resztki jedzenia. Na koniec pojawiła się kobieta z mopem i w ten oto sposób przedział został wysprzątnięty, prawie razem z pasażerami, a na pewno ich butami i nogami do wysokości kostek. Tak czy inaczej, był to znak, że zbliżamy się do Lanzhou.

Punktualnie o piętnastej byliśmy na miejscu. Pożegnałem wesołą gromadkę w żółtych koszulkach, ignorując ich pytania, gdzie będę spał, a zapewniwszy

opiekunki o posiadaniu zdrowego rozsądku i przezorności w stopniu, który nie pozwoli mi się zgubić w wielkim mieście (o naiwności!), poszedłem odebrać rower i resztę bagaży.

Całe szczęście, że nazwę hali bagażowej miałem napisaną chińskimi znaczkami. Bez problemu znalazłem odpowiedni budynek i ze ściśniętym sercem, myśląc, co zrobię, jak bagażu nie będzie, wszedłem do środka.

Podążając w kierunku wskazanym przez stojącego u wejścia pracownika, ustawiłem się grzecznie w jednej z kolejek. Nie do końca byłem pewien, czy w dobrej, bo kolejki były aż cztery. Dwie z nich kończyły się przy okienkach, od których ludzie odchodzili z kwitkami, trzecia prowadziła do wejścia do hali. Czwarta, najkrótsza, kończyła się przy siedzącej za biurkiem bardzo poważnie wyglądającej pani, która sprawdzała kwitki.

Ci z kolejki do okienka ustawiali się potem do służbistki za biurkiem, tak więc i ja najpierw stanąłem po kwitek. Miałem już jeden papierek, który dostałem w Pekinie i z pewną miną, wręczyłem go pani z okienka. Dostałem nowy świstek, za który zapłaciłem osiem juań, a następnie, z należytą uwagą, potakując przy tym głową na znak zrozumienia, słuchałem dość długiego wywodu, oczywiście w języku chińskim.

Chyba się nawet domyśliłem, co kobieta chciała mi przekazać. Za chwilę moje przypuszczenia potwierdził pan z kolejki.

– Ty wyjść, ty wrócić piąta godzina, twój bagaż pociąg, twój bagaż piąta godzina – powiedział mężczyzna, a dla pewności, że zrozumiałem, podetknął mi pod nos zegarek, dobitnie pukając palcem na godzinie piątej.

– Ja rozumieć. Bagaż pociąg. Ja wrócić piąta godzina – wyglądało na to, że się dogadaliśmy.

Oczywiście, pomyślałem, przecież trochę musi potrwać, zanim przeniosą tutaj wszystkie pakunki z pociągu. Zadowolony z siebie udałem się na zewnątrz, poszukać przyjemnego miejsca na obiad. Zaraz za halą mieściła się restauracja. Zamówiłem coś na chybił trafił z chińskiego menu, upewniwszy się jeszcze, że na pewno nie będzie ostre.

– *Not spicy, not hot* – powiedziałem kilkakrotnie z różną intonacją.

– *Not spicy, not hot* – powtórzył kelner, szczerząc w uśmiechu śnieżnobiałe zęby.

Bardzo uprzejma i rzeczowa obsługa, pomyślałem.

Wydawało mi się, że zamówiłem tylko jedno danie, ryż z warzywami, ale kelner ciągle coś donosił. Na środku stolika postawił świeczkę, a na niej kociołek z czymś kolorowym i bulgoczącym. Potem jeszcze trzy miseczki z ryżem i warzywami, a na końcu zupę i zieloną herbatę.

Nalałem trochę sosu do miseczki z kleistym ryżem, wymieszałem wszystko starannie i próbowałem nabrać uformowaną kulkę na pałeczki. Nie wiem

dokładnie, co włożyłem do ust, ale poczułem, jakbym przepalił sobie język i podniebienie.

– Miało nie być *spicy, not spicy, not hot!* – mówię zażawiony do kelnera, który właśnie podszedł do stolika, dorzucając do kociołka jakieś podejrzenie wyglądające kawałki mięsa.

– *Not spicy, not hot* – odpowiedział kelner z tym samym rozbajającym uśmiechem.

No tak, wszystko jasne, kelner niczego nie zrozumiał. Po prostu nie chciał stracić twarzy, powtórzył więc tylko angielskie zdanie.

– *Cola pliiiz* – wycharczałem.

– *Cola pliiiz* – odpowiedział kelner z niezmaconym uśmiechem, ugiął się lekko i odszedł.

Po colę musiałem się pofatygować do ulicznego sprzedawcy, ale nawet dwie butelki zimnego odrdzewiacza nie zneutralizowały pieczenia.

Przed piątą wróciłem do hali po bagaż. Stałem w kolejce prowadzącej do wejścia do hali, ale nagle wszyscy dookoła zaczęli głośno protestować i pokazywać mi kolejkę do okienka. Próbowałem wytłumaczyć, że mam już nowy kwitek, ale bezskutecznie. Odstąłem więc swoje, a kiedy nadeszła moja kolej, podałem kwitek tej samej kobiecie, od której otrzymałem go dwie godziny wcześniej. Niesamowite, zabrała go i dostałem nowy! Za ten już jednak nie musiałem płacić.

Wróciłem do pierwszej kolejki. Na wszelki wypadek kwitek trzymałem w nienaturalnie wyciągniętej ręce, tak, aby był ciągle widoczny. Od czasu do czasu rzucałem ukradkowe spojrzenia i uśmiechałem się do sąsiadów. Niektórzy nawet odwzajemniali uśmiech, ale nikt mnie o nic nie pytał. Wydawanie bagażu przez pracujących w hali pracowników niemiłosiernie się przeciągało. Wreszcie mogłem podać swój kwitek. Jakież jednak było moje zdziwienie, kiedy to po obejrzeniu mojego papierka, pracownik mruknął coś pod nosem, machnął ręką, jakby się odpędzał od muchy i wziął kwitek od następnego pasażera. Stałem tak kilkanaście minut i ciągle mnie ignorowano.

Co robić? Rozglądałem się bezradnie, ale wszyscy przyjęli standardową pozę – w niczym nie możemy pomóc. Ludzie, nie chcę wam doprawić gęby, chcę tylko odebrać bagaże... Może powinienem podejść do pani za stolikiem? Ale jak opuszczę kolejkę, to już mnie pewnie do niej tak łatwo nie wpuszczą. Ratunku! Pomocy! Rozglądałem się błagalnym wzrokiem, pytając stojących najbliżej:

– Czy może mi pan pomóc? – ale ich twarze ciągle pozostawały puste, obojętne i bez wyrazu. Byłem już na krawędzi rozpacz, kiedy nagle zobaczyłem mężczyznę prowadzącego mój rower! Drugi pracownik niósł na plecach dwa wory z resztą bagażu.

Niczego nie brakowało. Przed halą spakowałem sakwy i ruszyłem na poszukiwanie hotelu. Z planu miasta wynikało, że jeden tani hostel znajduje się

bardzo blisko dworca, postanowiłem więc spróbować go znaleźć.

Z przechodzącego tłumu na chodniku, wybrałem młodą dziewczynę idącą z rozłożystym, różowym parasolem. Wybór okazał się strzałem w dziesiątkę. Była to studentka anglistyki i świetnie znała język.

– Mój profesor radzi, aby dawać się zaczepiać cudzoziemcom i szlifować z nimi język, oprowadzając ich po mieście – powiedziała z delikatnym uśmiechem. Pomyślałem, że tak atrakcyjna kobieta na pewno nie ma z tym większych problemów, choć za moment dodała, że nieczęsto zdarza jej się spotkać jakiegoś obcokrajowca na ulicy.

Zaprowadziła mnie pod same drzwi małego hoteliku. Za czterdzieści pięć juanów dostałem bardzo przestronny pokój na siódmym piętrze budynku. Umyłem się, przebrałem, z rozkoszą rozłożyłem na łóżku. Dopiero teraz poczułem, jak potwornie byłem zmęczony. Zasnąłem momentalnie.

Obudziło mnie krzątanie się pokojówki, która przyniosła na tacy termos z herbatą i szklanką. Postawiła wszystko na stoliku, ukloniła się lekko i wyszła. Jeszcze nie do końca rozbudzony, uniosłem się na łóżku. Na sąsiedniej ścianie promienie słońca malowały jaskrawożółte wzory. Spałem trzynaście godzin. Zza okna dobiegał hałas z ulicy. Wyszedłem na balkon. W dole krzyżowały się ze sobą zielone taksówki, riksze, ciężarówki i tłumy spieszących się we wszystkie strony ludzi.

Wyszedłem na zewnątrz, kierując się w stronę dworca autobusowego. Tym razem nie musiałem stać zbyt długo w kolejce, a pani w okienku kasowym była miła i cierpliwa.

– Chciałbym kupić bilet do Golmudu – powiedziałem – najlepiej na jutro.
– Nie ma autobusów do Golmudu, musi pan najpierw pojechać do Xining.
– W takim razie poproszę o bilet do Xining.
– Czy ma pan ubezpieczenie?
– Ubezpieczenie? – pytam zdziwiony. – Mam – mówię i wyciągam polisę kupioną jeszcze w Polsce.

– Nie, nie takie. Potrzebne jest panu polisa PCCI, to takie specjalne ubezpieczenie – tłumaczy cierpliwie kobieta. – Ale tutaj go pan nie kupi. Trzeba iść na inny dworzec, napiszę panu i narysuję na kartce, jak tam dojść.

Za chwilę dostałem papier pokryty chińskimi znaczkami i kilkoma liniami wyobrażającymi ulice. Następnie wysłuchałem instrukcji obsługi wyrysowanego planu i ruszyłem na poszukiwanie dworca.

Bez trudu znalazłem odpowiedni adres. Stałem w dość długiej kolejce i czekałem na swoją kolej.

– Poproszę o polisę PCCI – z miną pokerzysty stanąłem przed kasą.
– Tutaj nie sprzedajemy polis, musi pan iść do biura podróży.

 中国人寿保险公司甘肃省分公司 CHINA LIFE INSURANCE COMPANY GANSU BRANCH 旅游旅客人身保险单 POLICY OF TRAVELERS' ACCIDENT INSURANCE			
保单编号: NO 0001728 POLICY			
被保险人 NAME OF INSURED	STRZZZYSZ PIOTR ZBIGNIEW	性别 SEX	M
受益人及地址 BENEFICIARY WITH ADDRESS	波兰 AB9794 950 波兰		
保险金额 AMOUNT INSURED	THREE HUNDRED THOUSAND YUAN ONLY ¥300,000.00		
保险费 PREMIUM	FORTY YUAN ONLY ¥40.00		
地区范围 GEOGRAPHICAL AREA	中国境内		
保险期限 INSURED PERIOD	自 06 年 7 月 9 日零时起 20 日内有效 VALID FOR 20 DAYS FROM	出单日期 DATE	29
备注 REMARKS	超过 20 天每日加收 3 元; 40 元 + 元 = 1.4 元		

Ubezpieczenie na

transport publiczny w Chinach

– Jak to, przecież przysłano mnie tutaj z dworca autobusowego – zdziwiony obstawałem przy swoim. Może kobieta mnie nie zrozumiała?

– Potrzebuję ubezpieczenie na podróż autobusem. Chciałbym pojechać do Xining – dodałem.

– Tak, tak, rozumiem, ale tutaj nie ma ubezpieczeń, musi pan pójść do biura podróży – odpowiedziała spokojnie kasjerka i podała mi kartkę z adresem. – To niedaleko, dwie ulice stąd, tam pan kupi.

Poszedłem zatem we wskazane miejsce. Wszedłem do środka i zapytałem o polisę.

– Tak, oczywiście, że może pan kupić. Kosztuje czterdzieści pięć juanów. Proszę tylko wypełnić ten formularz – usłyszałem od pracownika. No, nareszcie, odetchnąłem z ulgą, koniec wędrowania po mieście. Przygotowany byłem na najgorsze, przeczuwając, że i z tego miejsca gdzieś mnie odeślą.

– Jedzie pan do Tybetu? – padło niespodziewane pytanie.

Oho, myślę, przejrzał mnie. Pewnie zresztą nie ja jeden zmierzałem na Dach Świata tą drogą. Z dobroduszej miny starszego mężczyzny nie wyczytałem żadnych złych intencji i chęci zadenuncjowania mnie lokalnym władzom, przyznałem więc, że tak, będę próbował się dostać do Tybetu.

– Tam jest pięknie, byłem kiedyś w Lhasie – widać było, że się lekko rozmarzył, a jednocześnie jakby zasmucił.

Wróciłem na dworzec i kupiłem bilet do Xining jeszcze na ten sam dzień.

Autobus był bardzo komfortowy, klimatyzowany, z rozkładanymi, wygodnymi fotelami. Rower zmieścił się do bagażnika. Podróż nie trwała długo i późnym popołudniem byliśmy w Xining. Niestety, z dworca, na którym wysiadłem, do Golmudu nie odjeżdżały żadne autobusy, musiałem udać się na drugi koniec miasta. Kasjerka na dworcu poradziła jechać autobusem linii nr 1. Nie mogła mi udzielić lepszej wskazówki. Znalazłem przystanek, z którego odjeżdżała jedyńka, upewniłem się, co do kierunku jazdy i czekałem spokojnie na swój autobus. Wreszcie nadszedł. Zachowując bezpieczną odległość, ruszyłem jego śladem. Ruch w mieście był duży, a na drodze gęsto ustawione światła, bez problemu więc utrzymywałem się za jadącym ślimaczym tempem pojazdem. Nie powiem, żeby jechało się przyjemnie. Nos, usta i oczy miałem pełne kurzu i spalin. Ulica bombardowała mnie kakofonią dźwięków: wyjących klaksonów, zgrzytów młotów pneumatycznych, syren i pisków hamulców.

Po około trzydziestu minutach znalazłem się przed ogromną fasadą dworca kolejowego. Autobusowy był tuż obok.

– Poproszę bilet do Golmudu – widzę, że moje pytanie wywołało lekką konsternację. Z wyrazu twarzy kasjerki wnioskuję, że nic nie rozumie. Kilkakrotnie powtórzyłem pytanie, aż w końcu wyjąłem mapę z chińskimi znaczkami.

– Aaa, Kermo? Tak, może pan kupić bilet.

– To wspaniale – odpowiadam i pytam o cenę.

Prawie tysiąc juanów? To chyba jakaś pomyłka albo jako obcokrajowcowi proponują mi najdroższy, najbardziej komfortowy bilet.

Twarda leżanka, twarde siedzenie, najtańszy bilet, stać, *no money*, biedny student, podtykałem kolejne papierki z przepisanyymi z przewodnika chińskimi znaczkami. Ale kobieta ciągle swoje – dziewięćset trzydzieści juanów. O nie, tyle nie mogę zapłacić. To już lepiej pojechać pociągiem.

Dworzec kolejowy przypominał ten z Pekinu. I na nim nie mogłem odnaleźć żadnych informacji po angielsku. W kasie dowiedziałem się, że nie ma biletów do Golmudu na najbliższe dwa tygodnie. Bezskutecznie próbowałem dowiedzieć się, czy może aby jednak... ale trwało to wieki, ludzie w kolejce coraz głośniej marudzili (i słusznie, bo zablokowałem całkiem sprawnie działający system „kupię-płacę-odchodzę”), co tylko wzmagало moją frustrację i podgrzewało nerwy. Dlaczego bowiem nie mogę kupić biletu bez miejscówki? Dlaczego nie mogę się dowiedzieć, czy można kupić bilet w pociągu? I dlaczego kobieta nie chce mi udzielić informacji, o której i z którego peronu odjeżdża pociąg?

Odszedłem zrezygnowany, solennie sobie obiecując, że przed następnym wyjazdem do Chin zapiszę się na przyspieszony kurs chińskiego. Chociaż i to pewnie niewiele by pomogło. Cóż z tego, że wykuję kilka z dwudziestu tysięcy istniejących znaków? Musiałbym jeszcze nauczyć się mówić, używając różnych tonów i, co najważniejsze, zdecydować, którą odmianę chińskiego mam zamiar

z głębiać. Mandaryńska funkcjonuje w Pekinie, ale w prowincji Guangdong jest używana odmiana kantońska. Poza tym jest jeszcze kilka innych, a w każdej mnóstwo dialektów, zwanych *fangyan*.

Nie pozostawało mi nic innego, jak znaleźć kogoś mówiącego po angielsku. Pomoc zaoferowała młoda dziewczyna o imieniu Jadeit. Stałem wraz z nią w kolejce do tego samego okienka.

Okazało się, że rzeczywiście nie ma już biletów do Golmu na najbliższe dni, co więcej, nie mogłem też kupić *wuzuo*, czyli biletu bez miejscówki. Dziwne, czyżby i tych sprzedawali określoną ilość?

– Pojedź autobusem – radzi Jadeit.

– Niestety, byłem już na dworcu, ale bilety są bardzo drogie. Nie stać mnie na bilet za tysiąc juanów – widzę, że dziewczyna jest wyraźnie zdziwiona.

– To niemożliwe – mówi. – Kosztuje nie więcej niż sto pięćdziesiąt – dodaje.

Za moment wszystko było jasne. Okazało się, że dworzec, na który najpierw poszedłem, był dworcem tylko dla autobusów lokalnych i prywatnych przewoźników, a międzymiastowy znajdował się po drugiej stronie rzeki.

Z pomocą nowej znajomej, za sto czterdzieści juanów kupiłem bilet na najbliższy autobus. Pozostały dwie godziny do odjazdu. Jadeit zaproponowała, że poczeka ze mną i chętnie pomoże mi w negocjacjach z kierowcą autobusu w sprawie przewozu roweru. W kasie bowiem nie potrafili odpowiedzieć na pytanie, czy będę mógł go zabrać.

– *Chi fan ma?* Czy jesteś głodny? – padło pytanie.

Chętnie przystałem na propozycję zjedzenia czegoś i już za chwilę wciągaliśmy makaron w pobliskiej restauracji. Poprosiłem, aby Jadeit pomogła mi zamówić jak najmniej ostre jedzenie, bo o zupełnym braku papryczki mogłem zapomnieć. Prawdziwemu kucharzowi nie przyszłoby przecież do głowy podać jakąkolwiek potrawę bez przypraw, ale mogłem być przynajmniej pewien, że tym razem nie zasmakuję chili czy badianu – gwiazdkowatego anyżu *bajiao*.

– Następnym razem spróbuj powiedzieć *bujao latiao* – doradziła Jadeit i dodała – Tutaj i tak nie jemy za ostro, gdybyś pojechał do Syczuanu, to zobaczyłbyś różnicę.

– Chyba na razie nie będę miał przyjemności porównania – odpowiedziałem, a na przechodzącym kelnerze wypróbowałem magiczną formułę.

Nie poszło mi dobrze. Spróbowałem naśladować intonację, jak umiałem najlepiej. Kelner najpierw się wystraszył, że chcę mu przyprawić gębę, zresztą miał taką minę, że mógłby od razu zagrać w adaptacji *Ferdydurke*, ale po kilku próbach załapał przekaz.

– *Bujao latiao* – powtórzył, a z jego miny widziałem, że nie potraktował mojej frazy jedynie jako pozdrowienia albo pytania o toaletę.

Zapisałem w notesie magiczną formułę, która, miałem nadzieję, pozwoli mi

zaoszczędzić na papierze toaletowym, choć tego miałem jeszcze spore zapasy.



Nieograniczone możliwości podróżowania po Tybecie

Poznana dziewczyna była bardzo drobna, wręcz filigranowa. Wyglądała najwyżej na piętnaście lat, ale w trakcie rozmowy okazało się, że ma dwadzieścia cztery. Było w niej coś bardzo kruchego, dziewczęcego, subtelnie rozplywającego się w popołudniowym, palącym słońcu. Jej karnacja, jak większości spotkanych przeze mnie Chinek, była bardzo jasna, przez co mocno kontrastowała z kruczoczarnymi, prostymi włosami. Podobnie jak spotkana poprzedniego dnia

dziewczyna w Lanzhou, i ona trzymała w dłoni różową parasolkę, obracając ją lekko w delikatnej dłoni. Opalenizna wśród kobiet nie jest w Chinach przedmiotem pożądania. Wręcz przeciwnie. Świadczy o braku smaku, wdzięku, elegancji. Błada, jasna, delikatna cera jest przejawem atrakcyjności i posiadania lepszego statusu społecznego. Opalone mogą być rumiane wieśniaczki na polu, ale nie szykowna, wytworna kobieta.

– Masz rodzeństwo? – spytała nagle.

– Nie mam. A Ty?

– Też nie – odpowiedziała jakby ze smutkiem. – Zawsze bardzo chciałam mieć brata, moi rodzice też starali się o chłopaka, ale wyszła dziewczynka, czyli ja.

– Może jeszcze kiedyś się postarają?

– Raczej już nie. Są starzy, poza tym, nie stać nas – dodała.

– Jak to nie stać?

– Za drugie dziecko trzeba zapłacić.

I tak oto dowiedziałem się, że polityka jednego dziecka ciągle jeszcze w Chinach funkcjonuje. Żeby mieć drugiego potomka, trzeba zapłacić i to słono. W miastach może to być suma nawet dwudziestu tysięcy dolarów amerykańskich. Można także postarać się o drugie dziecko, jeśli pierwsze jest niepełnosprawne albo cierpi na jakąś nieuleczalną chorobę. Są też inne metody, np. urodzenie dziecka i zarejestrowanie go poza Chińską Republiką Ludową, ale na to też są potrzebne pieniądze.

Najgorsze w tym wszystkim jest to, że w wyniku polityki jednego dziecka, najczęściej oczekuje się urodzenia chłopca, a dziewczynki, szczególnie na wsi, postrzegane są jako coś gorszego. Świadczy o tym chociażby nazywanie urodzonej dziewczynki *poyatou*, co znaczy „bezwartościowa służąca”. Wiele kobiet, dowiadując się, że nie będzie miało *dapangxiaozi*, dużego tłustego chłopca, decyduje się na aborcję albo przekazanie dziecka do adopcji.

Jednakże, pomimo całej tej kontroli urodzeń, każdego roku przybywa w Chinach około dziesięciu milionów nowych obywateli, a biorąc pod uwagę, że w tej chwili zamieszkuje ich około miliard trzysta milionów, z całą jaskrawością zdałem sobie sprawę, że znalazłem się w kraju, liczącym około czterdzieści razy więcej mieszkańców niż w Polsce.

– A dlaczego jedziesz rowerem? – kolejne pytanie wyrwało mnie z zamyślenia. – Przecież wygodniej byłoby autobusem albo samochodem.

– Może i wygodniej – odparłem – ale przecież nie dla wygod jadę do Tybetu.

Rower to wolniejsze odkrywanie, głębsze poznawanie, wolność wyboru, niezależność, samowystarczalność. Rower prowadzi cię do miejsc, o których nie wiedziało się, że istnieją, pomaga przeżyć chwile, o których nie myślało się, że mogą się wydarzyć. Nieplanowane, ulotne jak kurz nieprzebytych jeszcze dróg. Gdyby nie rower, umknęłyby niezauważone, przejechane, migawkowo dostrzeżone

z okna pędzącego autobusu albo jeepa. Bo są takie chwile, obrazy i spotkania, które zdarzają się tylko gdzieś pomiędzy, a rower pozwala im zaistnieć.

Nie wiem, czy zrozumiała, co mówiłem, ale patrzyła, jak najwierniejszy słuchacz, chłonąc dźwięki przy zapadającym zmierzchu.

Kwadrans przed osiemnastą byliśmy na dworcu. Dobrze, że jadeitowa dziewczyna była ze mną, bo kierowca nie znał angielskiego i początkowo nie chciał zabrać roweru. Jednakże kilka papierków z podobizną Mao okazało się mieć zaiste cudowną moc przekonywania. Po odkręceniu kół, skręceniu kierownicy i odczepieniu wszystkich bagaży, rower zmieścił się do dość ciasnego bagażnika. Pożegnałem się ciepło z dziewczyną i wszedłem do środka. Czekало mnie kilkanaście godzin jazdy na przedostatnim odcinku prowadzącym do Tybetu.

Autobus zamiast siedzeń miał łóżka, obleczone w brudne prześcieradła i przykryte grubymi, równie brudnymi kołdrami. Posłania ustawione były w trzech rzędach na dwóch poziomach. Moje było na parterze, na samym końcu pojazdu. W autobusie jechali sami Azjaci, niektórzy o dość egzotycznych rysach twarzy, w dodatku, poza dwiema kobietami, byli to sami mężczyźni. Sąsiad z boku zdjął buty, wystawił pod mój nos swoje aromatyczne stopy i zapalił papierosa. W ślad za nim poszedł, wyglądający na sto lat, leżący z przodu dziadek w futrzanej czapie i grubej na zabój kufajce. Zrobiło się trochę duszno, więc spróbowałem otworzyć okno, ale bezskutecznie. Uszczelnione kitem i dla pewności zabite gwoździami. Pewnie tak jak w kolei transsyberyjskiej – *uże zakryte na zimój*. Dobrze, że tylko czternaście godzin, dam radę, pomyślałem. Zakopałem się pod kołdrę. Nie wiem, co oni tam palili, bo zasnąłem momentalnie i spałem do rana jak kamień.



Rozdział 3

Podróż minęła zadziwiająco szybko. Około siódmej trzydzieści wysiadłem na ponurym, przygnębiająco pustym dworcu w Golmudzie. Rześki chłód poranka od razu wprowadził mnie w dobry nastrój. Do Tybetu została jedna prosta na południe.

Postanowiłem od razu sprawdzić możliwości otrzymania pozwolenia na dalszą podróż, a dopiero potem pojechać do hotelu. Jadąc wzdłuż bardzo szerokiej, czteropasmowej ulicy, wśród rzadkich rowerzystów i zielonych taksówek, znalazłem się przed budynkiem Biura Bezpieczeństwa Publicznego.

– Dzień dobry! Nie wie pan, czy w tym biurze będę mógł dostać pozwolenie na podróż po Tybecie? – zagadnąłem stojącego przy wejściu ubranego w garnitur mężczyznę.

– Do Tybetu? Nieee – odpowiedział przeciągając ostatnie słowo. – Musisz pojechać do Lhasy, my tutaj wydajemy pozwolenia tylko na „nasz” teren. Spróbuj pojechać do hotelu Golmud, do biura CITP, może tam dostaniesz.

W biurze CITP (China International Travel Service), na pierwszym piętrze hotelu, dowiedziałem się, że samego pozwolenia nie dostanę. Muszę wykupić udział w wycieczce do Lhasy i bilet na autobus, całość za jedyne tysiąc siedemset juanów. Po pertraktacjach, w drodze wyjątku, dowiedziałem się, że mogę kupić bilet za tysiąc sto, bez konieczności kupowania udziału w wycieczce. Może nawet i przystałbym na tę propozycję i kupił bilet, a dalej pojechał rowerem, ale dowiedziałem się, że i tak nie zobaczyłbym samego pozwolenia na podróż, bo przechowuje je kierowca, aby pokazać na punktach kontrolnych.



Tybet – niedostępna, odosobniona, bezkresna kraina, znajdująca się gdzieś poza czasem i przestrzenią

W biurze razem ze mną byli jeszcze: Koreanka, Japonka, Niemiec i para Anglików. Ci ostatni byli bardzo zainteresowani możliwością pojechania do Lhasy pociągiem. Aby móc w ogóle próbować kupić bilet na dworcu, według pani z biura należało mieć pozwolenie za, bagatela, tysiąc pięćset juanów, a jego cena zawierała ponoć trzydniowy pobyt w Lhasie, połączony z wycieczką po mieście.

– A ile kosztowałyby pozwolenie bez wycieczki i noclegów? – zapytała Angielka.

– Nie można kupić bez wycieczki i noclegów, bez wycieczki można kupić bilet na autobus – odpowiedziała na to młoda pracownica biura.

Przezabawną minę miała angielska para, która za nic nie mogła zrozumieć, dlaczego muszą kupować udział w wycieczce, z której nie zamierzają skorzystać. Japonka, Koreanka i Niemiec zdecydowali się na pociąg, natomiast Anglicy wybrali autobus. O piętnastej wszyscy mieli się spotkać w holu i pojechać na dworzec autobusowy po pozwolenia. Ja zamierzałem jeszcze pogłódkować i spróbować ominąć tę biurokratyczną machinę. Najpierw udałem się na dworzec kolejowy.

Pociąg wydaje się być bardzo wygodnym środkiem transportu do Tybetu, szczególnie dla osób, które przyjeżdżają na Wyżynę z terenów nizinnych, czyli na

dobrą sprawę dla większości turystów. Ze względu na wysokość, na jakiej położony jest Tybet, powietrze jest bardzo rozrzedzone i na skutek zmniejszonego ciśnienia, mogą pojawić się problemy zdrowotne, związane z brakiem odpowiedniej aklimatyzacji. Jazda pociągiem umożliwia stopniowe przyzwyczajenie organizmu do zmieniających się warunków i pod tym względem jest korzystniejsza od podróży samolotem.

Na dworcu kolejowym prawie nikogo nie było. Kasjerki jako tako mówiły po angielsku, ale o zakupie biletu do Lhasy mogłem zapomnieć.

– *Lhasa no tickets. Go travel agency. Hotel Golmud* – to mniej więcej tyle, ile mogłem się dowiedzieć.

Pojechałem więc na dworzec autobusowy. Ach, żebym choć trochę znał chiński! Jestem pewien, że dogadałbym się z jakimś kierowcą, aby przewiózł mnie przez pierwszy punkt kontrolny i dalej kontynuowałbym jazdę na rowerze. Na dworcu bilety do Lhasy kosztowały sześciokrotnie mniej, a dokładnie dwieście trzydzieści juanów, cena dość uderzająco niska w porównaniu z tą w biurze CITP, ale jako cudzoziemiec mogłem zapomnieć, że uda mi się samemu kupić bilet. Z kasy bowiem odsyłano mnie z powrotem do hotelu. Rozgoryczony wróciłem do biura i za czterdzieści juanów zakwaterowałem się w komfortowej jedyńce, z fotelami, kablówką i ogromnym łóżkiem.

Przed piętnastą zjawiłem się w holu i razem z resztą towarzystwa i panią z biura dwiema taksówkami pojechaliśmy po pozwolenie. Upragniony świstek został wręczony Niemcowi o imieniu Tobi, który mógł teraz pojechać z nim na dworzec kolejowy i spróbować kupić bilety do Lhasy.

– Ale dlaczego mamy tylko jeden *permit*? – spytał Tobi.

– Bo to jest pozwolenie dla grupy – odpowiedziała pani z biura.

– Ale my nie jesteśmy żadną grupą! Nie znamy się wcale! Poznaliśmy się dzisiaj w hotelu i w Lhasie się rozdzielimy!

– To jest grupowe pozwolenie, a wy jesteście grupą – służbistka uparcie obstawała przy swoim.

Tobi chciał jeszcze coś powiedzieć, ale w końcu machnął ręką, rzucił ze dwa razy „*fuck* coś tam, coś tam” i zrezygnowany wziął papierek. Przedyskutowaliśmy sprawę i wpadliśmy na pomysł, aby skserować pozwolenie dla reszty „grupy”.

Na skserowanym papierku dopisałem swoje nazwisko i raz jeszcze próbowałem na dworcu autobusowym kupić bilet w kasie, ale nic z tego nie wyszło. Nie udało mi się również dogadać z kierowcami autobusów, które, jak się dowiedziałem, miały jutro około południa wyruszyć do Lhasy. Już na miejscu w Tybecie dowiedziałem się, że kierowcy lokalnych autobusów bardzo niechętnie zabierają zagranicznych turystów, bowiem w razie chińskiej kontroli na drodze, mogą mieć z tego powodu duże problemy.

Nie pozostawało mi nic innego, jak zapłacić w biurze CITP haracz za podróż

do Tybetu i kupić bilet. Rozmyślałem jeszcze nad spróbowaniem przedarcia się rowerem przez leżące na drodze do Lhasy punkty kontrolne, szczególnie ten pierwszy, znajdujący się niedaleko na południe od Golmudu, ale w końcu rozsądek zwyciężył i zdecydowałem się na jazdę autobusem.

W bardzo kiepskim nastroju wróciłem wieczorem do hotelu. Reszta nowo poznanych znajomych wybrała się do pobliskiego pubu, ale ja absolutnie nie byłem w nastroju do zabawy i pustych rozmów nad butelką piwa. Chciałem już być daleko od tego szarego, nieprzyjaznego, pokrytego szerokimi ulicami miasta, daleko od granic, układów, spiętrzonych wyimaginowanych problemów, od gier i pozorów.

Pomyślałem, że gdyby na drodze do Tybetu nie było Golmudu, to na pewno Chińczycy postawiliby nowe miasto, w którym można by zbijać kokosy na turystach, każąc im płacić za wjazd do Tybetu. Do biletu, który kupiłem, nie dostałem oczywiście żadnego pozwolenia, podobno sam bilet już je zawierał. Ciekawe skądinąd, czy kierowcy autobusów dostają coś z tej „dodatkowej” opłaty.

Rankiem okazało się, że dwie dziewczyny i Tobi również pojedą autobusem, ponieważ na najbliższe dwa tygodnie bilety na pociąg do Lhasy były już wykupione. Swoją drogą, taką informację powinna posiadać pani z biura i się nią podzielić, a nie naciągać naiwnych obcokrajowców na kupno nikomu niepotrzebnego pozwolenia. Próbowałem to przekazać pani z biura, kiedy poszedłem po bilet, ale najwidoczniej miała nagły atak amnezji, bo udawała, że nic nie rozumie. Kiedyś jeszcze przejadę ten odcinek rowerem, pomyślałem, wyciągając z portfela większą część papierków z podobizną Wielkiego Mao. Pomiędzy palcami przesuwiała się uśmiechnięta twarz byłego przywódcy Chin.

Zakrawa trochę na kpinę i niedorzeczność, że ktoś odpowiedzialny za śmierć kilkudziesięciu milionów osób, ciągle jest w Chinach wszechobecny. Nie tylko na banknotach, ale i na ściennych obrazach w domach czy na imponujących, monumentalnych pomnikach, nie mówiąc już o ogromnym portrecie Wielkiego Sternika na placu Tiananmen, z którego patrzy on na własne mauzoleum.

Podobno są tacy, którzy wciąż uważają jego rządy za dobre, dowodząc, że wyprowadził Chiny z zacofania, zapaści i rozpoczął pochód do nowoczesności. Oczywiście, jak każdy człowiek, argumentują, popełniał błędy. I tak, Wielki Skok z 1958 roku, który miał na celu uczynienie z Chin supermocarstwa, doprowadził do jednej z największych na świecie klęsk głodu. Mao pewnego dnia oświadczył: „W przyszłości chcę się rozejrzeć dookoła i wszędzie widzieć fabryczne kominy”. Aby zwiększyć produkcję stali, zarządził przetapianie w podwórkowych dymarkach wszystkich domowych narzędzi. Aby zwiększyć eksport zbóż, rozkazał wybicie wszystkich wróbli, bo wyjadały ziarna. Przyniosło to jednak w efekcie plagę szarańczy, a w konsekwencji klęskę głodu.

Najwięcej zniszczeń w ludziach i mieniu przyniosła jednak tzw. rewolucja

kulturalna, która w zamierzeniu miała walczyć przeciwko „czterem przeżytkom”: staremu myśleniu, starym obyczajom, starej kulturze i starym nawykom. Ubrany w oliwkowe mundury hordom nastolatków wolno było właściwie wszystko. Mao poinstruował wyraźnie: „bądźcie brutalni”. Dochodziło do niespotykanych aktów terroru, w niektórych prowincjach czerwonogwardziści nie tylko zabijali i torturowali, ale nawet zjadali swoje ofiary.

Jednak te wszystkie historie na pewno nie mąciły umysłu pani z biura podróży, która mimowolnie przesuwając przed sobą twarz Mao na różnokolorowym tle, spokojnie po raz kolejny liczyła banknoty. Najwyraźniej wszystko się zgadzało, bo za moment wręczyła mi bilet.

– A pozwolenie? – pytam.

– Pozwolenie będzie miał kierowca autobusu – odpowiedziała, zbudzona nagle z lingwistycznej amnezji.

Jasne, pomyślałem. Nie chciałem dłużej przedłużać tej farsy, wziąłem cenny papierek i bez słowa wyszedłem.

Na dworcu autobusowym byli już Anglicy. Z ogromnymi plecakami i zgrzewką wody mineralnej przeklinali, na czym świat stoi, że mamy już godzinę opóźnienia. Rzeczywiście, autobus miał odjechać o dwunastej, a dochodziła pierwsza. Co jakiś czas dochodzili nowi podróżni i wyglądało na to, że kierowca czeka po prostu, aż zapełni się cały pojazd. Jak dla mnie, nie robiło to specjalnej różnicy, bylebyśmy w końcu ruszyli przed wieczorem. Podróż miała trwać dwadzieścia godzin, czyli następnego dnia powinniśmy dojechać do Tybetu. Chińczycy stanowili większość pasażerów autobusu, ale kilku długowłosych mężczyzn z zaplecionymi warkoczami i przebitymi uszami, było z pewnością Tybetańczykami. Patrząc na nich, czułem się już trochę jedną nogą na miejscu.

Ruszyliśmy kwadrans po czternastej, kierując się powoli w stronę płaskowyżu. Na punkcie kontrolnym na południe od miasta, nawet się nie zatrzymaliśmy... Nikt nas po drodze nie zatrzymywał i nie sprawdzał żadnych pozwoleń na podróż...

Wzdłuż drogi ciągnęła się również linia kolejowa, raz po raz niknąca w wydrążonych tunelach, by za moment ukazywać się znów raz z prawej, raz z lewej strony drogi w postaci zapierających dech w piersiach wiaduktów i mostów. Patrząc na ogromne nasypy i kilkusetmetrowej wysokości przęsła naprawdę trudno pojąć, jak w tak krótkim czasie Chińczykom udało się ukończyć ten projekt, będący, przy całej krytyce towarzyszącej jego powstaniu, wspaniałym ukoronowaniem inżynierskiego kunsztu.

Gigantyczne przedsięwzięcie zbudowania najwyższej położonej linii kolejowej na świecie, rozpoczęto w 2001 roku i ukończono w 2006. Oficjalne dane podają, że podczas tych pięciu lat nie zmarł żaden z czterdziestu tysięcy pracujących robotników, choć zdrowy rozsądek podpowiada, że jest to tylko czysta propaganda.

Należało przecież położyć tory przez jedno z najmniej gościnnych miejsc na ziemi – Wyżynę Tybetańską. Paradoksalnie, to nie zimowe mrozy mogą okazać się zabójcze dla inżynierów projektu. Istnieje realne niebezpieczeństwo, że coraz wyższe średnie roczne temperatury powietrza roztopią zmarznięty grunt i zagrożą trwałości podkładów kolejowych. Użycie płynnego azotu do oziębiania temperatury gruntowej i zaprojektowanie trasy na wysokich, niekiedy kilometrowych wiaduktach ma temu zapobiec. Prawie nieprzerwanie wiejący na tych wysokościach wiatr, schładza bowiem znajdującą się pod podkładami, zmarzniętą ziemię.

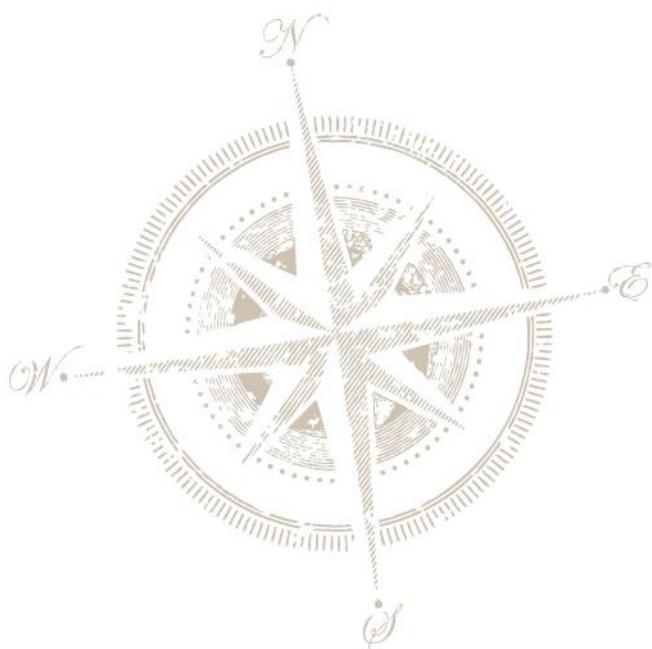
Po kilkudziesięciu kilometrach opuściliśmy szeroki wąwóz i wyjechaliśmy na rozległy płaskowyż. Dookoła ciągnął się monotony, surowy, ale piękny krajobraz, pociągający w swoich odcieniach szarości, zatrzymujący wzrok, dostojny, kuszący. Czasem w oddali widać było odosobnione jurty i stada pasących się jaków. Ruch na drodze prawie żaden, przez kilka godzin wyminęliśmy może trzy pojazdy.

Okolo siedemnastej zatrzymaliśmy się na obiad. Znajdowaliśmy się na wysokości około 4200 m n.p.m. Zaczęłam odczuwać już lekki ból głowy i ogólne osłabienie – skutki zbyt szybkiego wjechania na tak dużą wysokość. Organizm nie zaaklimatyzuje się przecież w kilka godzin. Moi współtowarzysze z hotelu także nie wyglądali najlepiej. Zjadłem dwa ziemniaczane placki z jajkiem i popiłem wszystko zieloną herbatą. Siedziałem na zewnątrz niewielkiej restauracji i chłonałem rozpościerające się dookoła wspaniałe widoki. Po obu stronach drogi jaskrawe promienie słońca odbijały się od ośnieżonych, górskich szczytów. Już niedługo będę to wszystko chłonał jadąc rowerem, pomyślałem z rozmarzeniem. Chwilowo jednak próbowałem siłą woli zwalczyć ogarniające mnie coraz mocniej uczucie nudności i coraz bardziej natarczywy ból głowy.

Okolo dwudziestej kolejny postój. Tym razem niezamierzony. Ciężarówka czołowo zderzyła się z autobusem, który wyprzedzał nas kilka minut wcześniej. Widok okropny. Wypadek wydarzył się dosłownie przed momentem. Wzdrygnąłem się na myśl, że to nasz autobus mógł teraz leżeć na poboczu, krótszy o kilka metrów. Kierowca ciężarówki jeszcze żył, ale nie można go było wyciągnąć spod pogiętej blachy. Krwawiący ludzie z autobusu rozłożeni byli na drodze, owinięci w koce czekali cierpliwie na ratunek. O szybkim dotarciu jakiegokolwiek profesjonalnej pomocy nie mogło być mowy, bowiem na Wyżynie Tybetańskiej nie ma żadnych służb ratowniczych, a od najbliższego miasta dzieliło nas kilka godzin szybkiej jazdy. Po dwóch godzinach nadjechała policja, a w chwilę potem ciężarówka, która zabrała najciężej poszkodowanych. Odsunięto też autobus i ciężarówkę na pobocze i mogliśmy kontynuować jazdę.

Po tym zdarzeniu nie mogłem zupełnie dojść do siebie. Zapadła noc, temperatura w autobusie spadała do pięciu stopni. Przez nieszczelne okna wciskał

się do środka iście lodowaty wiatr. O śnie mogłem zapomnieć. Z powodu zbyt szybkiego osiągnięcia wysokości bezwzględnej spadało ciśnienie, błędnik wariował, a ja czułem się, jakbym siedział na karuzeli. Znajdowaliśmy się już na wysokości około 4500 m n.p.m. Raz po raz dało się słyszeć trzask plastikowych butelek lub torebek z chipsami. Pasażer obok mnie podróż znosił jeszcze gorzej, ja przynajmniej nie wymiotowałem...



Rozdział 4

Wczesnym rankiem zatrzymaliśmy się na dworcu autobusowym w Lhasie. Byliśmy na miejscu, w mieście, do którego bezskutecznie próbowało dotrzeć wielu zasłużonych dla poznania Azji podróżników, choćby Przewalski czy Szwed Sven Anders Hedin. Szczególnie ten ostatni dogłębnie zwiedził Środkową Azję, gruntownie i szczegółowo opisując bezkresne przestrzenie Wyżyny Tybetańskiej, jednak do Lhasy nie udało mu się dotrzeć. Taka karma najwidoczniej. Jakkolwiek chwalebne były pobudki, którymi podróżnik się kierował, duchowa materia zwyciężyła nad chęcią poznania.

Trasę, na jaką jeszcze pół wieku temu karawany jaków i wielbłądów musiały przeznaczyć cztery miesiące, pokonaliśmy w niecałe dwadzieścia godzin. Pierwsi Europejczycy, jezuici Johann Grueber i Albert d'Orville, którzy dotarli do Lhasy w 1661 roku, pisali w jednym z listów: „Tylko sam Bóg wie, cośmy wycierpieli w tej podróży⁴”.

Na pewno dotarcie do Lhasy kosztowało mnie niewspółmiernie mniej niż wspomnianych misjonarzy i porównywanie trudów podróży z XXI i XVII wieku byłoby śmieszne, niemniej jednak czułem się zupełnie wymięty. Bolało mnie dosłownie wszystko, kręciło mi się w głowie, chciało mi się wymiotować, ale w tamtej chwili nie miało to większego znaczenia.

Wreszcie Tybet.

Niedostępna, odosobniona, bezkresna kraina, znajdująca się gdzieś poza czasem i przestrzenią. Otoczona wiecznie ośnieżonymi szczytami najwyższych łańcuchów górskich świata, pełna starożytnych klasztorów z dymiącymi kagankami, mantrami i pogrążonymi w medytacji mnichami. Kraina, gdzie ponad

zielonymi, górskimi dolinami, tubalny dźwięk długich trąb miesza się z gardłowym śpiewem bijących pokłony wiernych. Miejsce, gdzie wyjałowione, pustynne wyżyny kontrastują z turkusowymi jeziorami i rozłożystymi polami jaśminu. Kraj nomadów i pasterzy, pędzących swoje stada przez niedostępne przełęcze w poszukiwaniu sezonowych pastwisk.

Przez najbliższe tygodnie miałem się przekonać, jak ten wyidealizowany skądinąd obraz współgrał z zastaną rzeczywistością.

Po wypakowaniu roweru z bagażnika i zamocowaniu bagaży skierowałem się w stronę centrum. Od kilku godzin marzyłem tylko o łóżku i przyjęciu pozycji leżącej. Miałem szczęście. W hotelu Snowland, pierwszym, do którego dojechałem, dostałem schludne i czyste łóżko w siedmioosobowej, koedukacyjnej sali. Wniosłem na raty wszystkie rzeczy na drugie piętro, a rower przymocowałem do bariery na balkonie, wychodzącym na szeroki dziedziniec. Byłem tak zmęczony i nieprzytomny, że właściwie jedyną rzeczą, o której myślałem, był długi i spokojny sen. Niemniej jednak zszedłem jeszcze na śniadanie. Na ulicy, przy której znajdował się hotel, była cała masa najróżniejszych sklepów i restauracji, nie szukałem więc długo miejsca na posiłek. Nie chciałem od razu zapoznawać swojego żołądka z miejscową, na pewno bujną i ciekawą florą bakteryjną i przy tym ryzykować rozstroju żołądka, skierowałem się więc do restauracji, u wejścia której znajdowało się angielskie menu. W towarzystwie kilku obcokrajowców zjadłem omlet z miodem, popiłem kawą, kupiłem jeszcze zgrzewkę wody mineralnej i wróciłem do hotelu. W siedmioosobowej sali jedynie jedno łóżko było zajęte. Ktoś najwyraźniej zabalował poprzedniej nocy, bo dochodziła jedenasta, a spod kołdry ciągle wystawały dwie, męskie stopy. Świat ciągle wirował, serce mocno pulsowało, a w głowę ktoś mnie pukał pneumatycznym młotem. Czułem się jak na niezłym kacu. Na prysznic już nie starczyło mi samozaparcia. Zdjąłem część garderoby i padłem na łóżko. Choć płytko, spałem do wieczora, chłonąc czasem przytłumione odgłosy z za okna i z pokoju.



Lhasa – wreszcie w Tybecie i na rowerze. W tle monumentalny pałac Potala, czyli dawna siedziba Dalajlamy

Po przebudzeniu czułem się trochę lepiej, na tyle dobrze, że postanowiłem udać się na spacer. Należało jak najszybciej oswoić lokalne duchy. Pierwsze dni w nowym miejscu to nieśmiałe próby znalezienia *modus vivendi*, trochę takie bezowocne włóczenie się, ale konieczne, aby nie poczuć się jak po nagłym skoku do basenu ze zbyt zimną wodą. Zresztą, ostatnie dni i tak już mnie nieźle schłodziły. Należało wrócić do równowagi i trochę ochłonać, zarówno fizycznie, jak i psychicznie.

Znajdowałem się teraz na wysokości 3600 m n.p.m. i doświadczałem standardowych objawów związanych z nagłym znalezieniem się na dużej wysokości. Co prawda, kilkanaście godzin wcześniej byłem na terenach przekraczających cztery tysiące metrów, ale nadal znajdowałem się dość wysoko, porównując Lhasę, dajmy na to, z Krakowem. Przebywanie na dużej wysokości lub pokonywanie jej zbyt szybko, może doprowadzić do obrzęku płuc lub mózgu, a w konsekwencji do śmierci, stąd niezmiernie ważna jest odpowiednia aklimatyzacja. Tak zwane objawy choroby wysokościowej są w mniejszym lub większym stopniu nieuniknione, a należą do nich: przyspieszony, płytki, nieregularny oddech, ból głowy, brak apetytu, mdłości, wymioty, osłabienie i kłopoty z zaśnięciem. Objawów tych nie należy bagatelizować, ale nie można też popadać w przesadę i od razu biec do szpitala po pomoc. Zgodnie z zaleceniami, należy zostać na tej samej wysokości tak długo, aż nieprzyjemne efekty uboczne ustąpią. Oczywiście, najlepiej byłoby zjechać, ale w przypadku osób przyjeżdżających do Lhasy, większość wybiera się na jeszcze wyżej położone tereny, tak więc jedynym rozwiązaniem wydaje się być stosowanie do zaleceń. A do nich należą: ograniczenie ruchu, picie dużej ilości wody i generalnie odpoczynek. Pomocy lekarza należy szukać w przypadku nieustąpienia objawów po kilku dniach albo ich zaostrzenia. Jako że dopiero przyjechałem do Lhasy, jedyne co mi pozostało, to zaakceptowanie kiepskiego samopoczucia.

Nie wiem, czy było to wynikiem bólu głowy, czy ciągłych mdłości, ale wieczorny spacer nie zrobił mi dobrze. Lhasa odbiegała trochę od wyidealizowanego wyobrażenia, jakie wyrobiłem sobie, oglądając jeszcze w Polsce piękne zdjęcia uduchowionych mnichów i kolorowo ubranych, kręcących młynkami modlitewnymi Tybetańczyków. Wszystko mnie dookoła drażniło. Namolni rykszarze, nagabujący uliczni sprzedawcy tandety, umundurowani żołnierze, turyści w kapeluszach wielkich jak sombrero, brudne dzieci żebrzące o juana i, co stanowiło najmniej przyjemny widok, mnisi modlący się na chodniku z wystawionymi czapkami na pieniądze.



Pielgrzymi przed świątynią Dzo-k'ang

W końcu to miasto, myślałem. W mieście zawsze źle się czuję. Wyjadę poza miasto, zostawię wszystko za sobą, pocieszałem się. Dużo pić, odpoczywać, spać, nie przemęczać się, natrętów ignorować, z turystami w sombreroach nie rozmawiać. Nie narzekać.

Wkrótce się zaaklimatyzuję.

Następnego dnia leniuchowałem do południa, ale wreszcie zebrałem się i poszedłem zwiedzać miasto. Wizytę w sprawie pozwoleń w Biurze Bezpieczeństwa Publicznego (*Public Security Bureau*) zostawiłem sobie na popołudnie. Bardzo późne śniadanie zjadłem w tym samym lokalu, co poprzedniego dnia.

Słońce paliło mocno. Z lekkim bólem głowy włóczyłem się bezwiednie po ulicach, właściwie niewiele różniących się od innych chińskich miast. Jediną zauważalną różnicą byli Tybetańczycy, odziani w kilka warstw kolorowych, znoszonych ubrań i mnisi, wymijani prawie na każdym rogu.

Kupowałem arbuza przy ulicznym straganie, kiedy stanęła przy mnie drobna, skośnooka dziewczyna z ogromnym, białym parasolem.

– *Can you speak English?* – padło pytanie ze specyficznymi akcentowanymi, krótkimi sylabami – *A little* – odpowiedziałem, że tak, trochę znam angielski.

– Dlaczego nie masz niczego na głowie? Wiesz, że możesz dostać udaru? – zapytała z troską.

Muszę przyznać, że tak mnie to pytanie zaskoczyło, że nie bardzo wiedziałem, co odpowiedzieć, zresztą, nie zdążyłem czegokolwiek wymyślić, bo padło drugie.

– A dlaczego nie masz okularów przeciwsłonecznych? Chcesz stracić wzrok?

Spojrzałem na nią badawczo. Nie no, trzeźwa była. Może to taki sposób na poderwanie białego? Wgryzłem się w arbuza i uśmiechnąłem do niej szeroko.

– Chcesz kawałek? – wyciągnąłem rękę z czerwonym miąższem.

– Nie, dziękuję. Owoce z ulicy trzeba najpierw umyć. Dokąd idziesz?

Właściwie to nie miałem nic przeciwko tej bladolicyj, kruczoczarnej damie, ale zamiast spędzić urocze popołudnie w jej towarzystwie odburknąłem:

– Właśnie wracałem do hotelu.

– A do którego? – widzę, że nie dawała za wygraną.

– Snowland.

– Snowland? A gdzie to jest?

– Niedaleko, chcesz, to Ci pokażę.

No dobrze, myślę, jak chce, to niech idzie.

Odprowadziła mnie do hotelu, a w międzyczasie poznałem powody, dla których zainteresowała się moją osobą, bynajmniej niewynikające li i jedynie z jej altruizmu (swoją drogą, jej troska o moje zdrowie, chyba była jednak szczerą, bowiem po obiedzie rzeczywiście zauważyłem i poczułem mocno spalony kark, nie mówiąc już o nosie i policzkach). Dziewczyna była Japonką, przyjechała trzy dni temu i szukała kompana do dalszej podróży. Według niej, jedynym sposobem na wyjechanie z Lhasy był udział w zorganizowanej wycieczce, co najmniej czteroosobowej. Do ceny wycieczki należało doliczyć opłaty za wynajęcie

samochodu i kierowcy, będącego jednocześnie przewodnikiem. Znalazła już dwoje turystów i potrzebowała jeszcze jednej osoby, stąd nagłe zainteresowanie blondynem.

– Ale ja dalej będę jechał na rowerze i nie zamierzam brać udziału w żadnych wycieczkach dookoła Lhasy – brutalnie odebrałem jej nadzieję.

– Rowerem? Aa? – spytała z niekłamanyim zdziwieniem, zakończonym charakterystycznym modulowanym, piskliwym „aaa”, wyrażającym jednocześnie podziw, a z drugiej strony całkowity brak zrozumienia.

– A skąd rower? Aa?

O cholera, pomyślałem, żeby tylko nie przyszło jej do głowy zaproponować wspólnej jazdy.

– Z Polski przywiozłem. Sam jeszcze nie wiem, czy uda się wyjechać poza miasto. Jeszcze nie mam żadnych pozwoleń. Do PSB wybierałem się po południu.

Japonka nie słyszała o PSB, na rowerze też nie jeździła, tym bardziej po Tybecie, mogłem więc być spokojny. Żadnego ogona za mną nie będzie.

Doszliśmy do hotelu, przy którym stojący na baczność wartownik wyglądał, jakby zasnął. Obiecałem, że zapytam w hotelu, czy ktoś nie chciałby dołączyć do wycieczki (co właściwie okazało się w Lhasie całkiem powszechną praktyką) i w holu zawieszę stosowną informację. Podobnych ogłoszeń na hotelowej tablicy informacyjnej było kilkanaście.

„Jedna osoba na wycieczkę do bazy pod Everestem poszukiwana!”

„Nepal – jedna osoba potrzeba do jeepa! Klimatyzacja, pozwolenia, jedzenie i noclegi w cenie!”

Większość ogłoszeń dotyczyła wyjazdów poza Lhasę, ale były również takie, gdzie ktoś próbował coś sprzedać albo kogoś znaleźć.

„Hej! Jane! Gdzie jesteś? Czy udało Ci się dojechać do Lhasy? Jesteśmy w hotelu tym i tym”

Jedno ogłoszenie zwróciło szczególnie moją uwagę:

„Sprzedam rower. Giant, osprzęt XT, sakwy Ortilieb, kask, części zapasowe. Przebieg 10 000 km (Sic!). Stan dobry”.

Podany był telefon i nazwa hotelu i nawet pomyślałem, że warto byłoby spotkać się z tym człowiekiem i zapytać, z której strony dotarł do Lhasy i dlaczego nie jedzie dalej.

Zostawiłem to sobie na wieczór, po obiedzie bowiem miałem w planach wizytę w Biurze Bezpieczeństwa Publicznego.

Żadnego pozwolenia nie dostałem, zresztą wszystko, czego się dowiedziałem, pokrywało się co do joty z tym, co mówili turyści poznani w hotelu, jak i z tym, co można było wyczytać na stronach internetowych.

Po pierwsze więc, dowiedziałem się, że nigdzie z Lhasy nie wolno się ruszyć samemu, a już nie daj Boże na rowerze! Będę musiał wykupić udział

w zorganizowanej wycieczce, a o kupnie samego pozwolenia nie ma mowy. Musiałem jeszcze wysłuchać jakichś niewiarygodnych historii o przyłapanych turystach podróżujących bez zezwolenia, którzy potem płacili jakieś horrendalne kary pieniężne. Na moje pytanie, czy będę mógł kupić pozwolenie w Shigatse, opryskliwie odpowiedzieli, że najpierw muszę wyjechać z Lhasy, a bez pozwolenia nie wyjadę.

W podłym nastroju wróciłem do hotelu. Nie chodziło właściwie o to, że nie dostałem pozwolenia, bo w to i tak nie wierzyłem, ale myślałem, że ci ludzie będą choć trochę skłonni do jakiejś normalnej rozmowy, do udzielenia porady, do zrozumienia. Nic, po prostu brnęli w zaparte, ciągle powtarzając śpiewkę o grupie turystów, do której muszę dołączyć. Trudno, pomyślałem, trzeba będzie spróbować dojechać do Shigatse bez pozwolenia i tam dopiero spróbować je kupić. Innego wyjścia nie miałem. Według przewodnika *Tibet Overland* biuro PSB w Shigatse nie robiło takich problemów, jak to w Lhasie.

Wieczorem znalazłem jeszcze Johna – pięćdziesięcioletniego Brytyjczyka, który zawiesił ogłoszenie w sprawie sprzedaży roweru. Mieszkał w hotelu Yak, w niewielkim pokoju, razem z parą Francuzów. John rozpoczął podróż w Australii i zamierzał dojechać do Europy rowerem. Z nieznanym mi powodów, o których nie chciał mówić, musiał przerwać podróż w Lhasie i wrócić do kraju. Nie był zbyt rozmowny, a i ja nie chciałem go bardzo męczyć. Posiedziałem chwilę w pokoju, podczas której podzielił się ze mną garścią informacji. Z jego relacji wynikało, że pozwolenia poza stolicą Tybetu są co prawda czasem sprawdzane, ale można się bez nich obejść, szczególnie, jeśli podróżuje się rowerem. Tylko dwa razy go o nie pytano: raz podczas meldowania się w hotelu, a raz na jednym z posterunków, w okolicach Markham, gdzie niestety musiał zapłacić karę. Nie była ona jednak zbyt wysoka i, co najważniejsze, nie zawrócono go z drogi, ani nie zabrano roweru, powiedziano tylko, aby w Lhasie nabył pozwolenie na dalszą jazdę.

Wróciłem do hotelu z mieszanymi uczuciami. Może nie do końca uspokojony, ale przekonany o tym, że sam będę musiał sprawdzić, jak daleko uda mi się nie do końca legalnie dojechać.

Następnego dnia miałem w planach zwiedzenie kilku świątyń. Czułem się już lepiej, objawy związane z przebywaniem na dużej wysokości zelżały, co znaczyło, że organizm dobrze się aklimatyzował i mogłem pozwolić sobie na dłuższy spacer.

Na początek wybrałem się do świątyni Dzo-k'ang. Plac Barkhor, na którym znajduje się świątynia, w ciągu dnia jest prawie cały wypełniony modlącymi się pielgrzymami. Jedni leżą, inni kładą się na moment, by za chwilę podnieść się i wzniesić nad głowę złączone w modlitewnym geście dłonie, rozkładając się ponownie na ziemi i posuwającym ruchem, na odległość równą wyciągniętemu ciału, zbliżać do świątyni. Padanie to, dla wyznawców buddyzmu, może pomóc

w wyzwoleniu się od niekończącego kręgu powtórnych narodzin. Krąg ten w sanskrycie nazywa się *samsara*, po tybetańsku *korła*, co dosłownie oznacza „kręcenie się w kółko”. Dopóki się z niego nie uwolnimy, nie ma mowy o rozwoju. Człowiek przemieszcza się tylko poprzez sześć sfer egzystencji.

Mijam starą, świętą bezlistną wierzbę, z konarami powstałymi z włosa z głowy Buddy i przez wspartą na kolumnach przybudówkę wchodzę do środka. Czas jakby tam się zatrzymał. Słysząc chrobotanie korbek młynków, rozłożone na ziemi nie postacie, ale ich pogrążone w modlitwie cienie, półmrok, zapachy, zapachy najróżniejsze, wciskające się uparcie w nozdrza, klimat czegoś podniosłego, jakby uroczystość bez konferansjera, przechodzące cienie, popychające, ponaglające, jakby w transie błędzące, zmierzające w jedną stronę, szybciej, szybciej, młynki chroboczą, chrobu chrobu, szuru szuru, czasem uśmiech, czasem ktoś cię szarpnie za rękaw i szepnie Dalajlama, uniesione dłonie, rozłożone na zimnej posadzce ciała, rytmicznie opadające i wznoszące się, rozpostarte, ciasno zgniecione, ocierające się o siebie, przygarbione, zasępienie, w modlitwie zatopione, zamyślane, czasem przerażone przez szczyzące zęby, wielogłowe demony, obwieszane łańcuchami odciętych głów, by za moment oddawać cześć odzianemu w biały welon najświętszemu posągowi Buddy Dżo-bo-rin-po-cze i znów zapachy, dym z kadzideł, podsycane masłem płomyki, prześlizgujące się pomiędzy przezroczystą, lekko zamgloną zasłoną oddechów świec, lampek maślanych, naprędce zapalanych, dokładanych...

Jeśli jest gdziekolwiek coś, czego w Tybecie nie udało się jeszcze zniszczyć, zbrukać, zmienić, ośmieszyć, to jest właśnie tutaj, w tych ludziach, w tych zapachach, w ludzkich spojrzeniach, w modlitwach, w półmroku tego miejsca i czymś jeszcze, na co nie ma słów.

Z przytłumionego gwaru dolnej części świątyni wyszedłem prosto w objęcia jaskrawego dachu. Rażące światło dnia odbijał oślepiający blask ze złotego koła-symbolu i siedzących obok dwóch gazel, przypominających pierwsze kazanie Buddy, wypowiedziane przed bramami hinduskiego miasta Benares w Parku Gazeli. W oddali na wzgórzu wyróżniał się pałac Potala, górując nad chaotycznie porozrzucanymi, zróżnicowanymi architektonicznie budynkami miasta.

Obok mnie, na dachu świątyni, japońscy turyści urządzili sobie sesję zdjęciową i co chwila ktoś mnie przepraszał, abym zszedł z widoku i usunął się z kadru. Trudno ich było ignorować, zszedłem więc na dół, zwiedziłem raz jeszcze kaplice i nasyciwszy się bogactwem i przepychem wnętrza wyszedłem na plac.

Czułem się przytłoczony. Za dużo hałasu, za dużo ruchu, za dużo ludzi, chciałem się gdzieś zgubić, w jakiejś ciasnej zapomnianej uliczce, znaleźć jakieś miejsce na posiłek, bez pytań, nagabywań, ciekawskich spojrzeń. Skierowałem się w okolice na zachód od placu, stanowiące część dzielnicy tybetańskiej. Włączyłem się wśród wąskich uliczek, kiedy zaczepił mnie młody chłopiec i usilnie nalegał,

abym poszedł do jego domu. Początkowo bardzo się wzbraniałem, ale argument żywieniowy mnie przekonał. Chłopiec, o imieniu Tashi, zapraszał mnie do domu na poczęstunek. Zresztą pomyślałem, że miło będzie zobaczyć prawdziwie tybetańskie mieszkanie.

Tashi był uczniem prywatnej szkoły, w której uczył się angielskiego i językiem tym władał zadziwiająco dobrze. W mieszkaniu, do którego weszliśmy wprost z ulicy przez pomalowaną w kolorowe pasy metalową bramę, była jeszcze mama chłopca i siostra. Usiedliśmy na twardej kanapie przed telewizorem, na szczęście wyłączonym. Po zwiedzeniu świątyni, ciągle jeszcze czułem się trochę zawieszony między światem realnym a snem, i nie do końca ochłonąłem z tej nierzeczywistej, odrealnionej aury, która mną bez reszty, na wskroś zawładnęła. Ostatnią rzeczą, na jaką miałem w tym momencie ochotę, był pusty bełkot (tym bardziej chiński) z telewizyjnego odbiornika.



Pierwsza *campa* w Tybecie, czyli kolacja u Tashiego

Mama Tashiego niestety nie znała angielskiego, ale doskonale dogadywaliśmy się na migi, zresztą chłopiec próbował wszystko tłumaczyć. Jeśli jesteś w nowym, obcym miejscu i do tego nie znasz języka kraju, który przemierzasz, jak najłatwiej zaskarbić sobie serca gospodarzy? Oczywiście tym, że

nie odmówisz gościnie i zaproszeniu i zechcesz skosztować tego samego, co jedzą oni. Kiedy więc na stole pojawiło się jedzenie, nie mogłem odmówić, choćby nawet położyli tam baranie oko.

Całe szczęście, Tybet to nie Kirgistan i ani baraniego, ani żadnego innego zwierzęcego oka próbować nie musiałem. Pojawiły się za to ich substytuty – wielkie, tłuste oka w słonej herbatce. Okazało się bowiem, że Tybetańczycy nie tylko herbatę solą, ale również dodają do niej masło. Toż to będzie pierwszorzędny, znakomity napój na podróż rowerem, pomyślałem. Nie dość, że pozwala uzupełnić wypocone w czasie jazdy sole mineralne, to jeszcze wygląda na bardzo kaloryczny.

– Dobre? – spytała siostra, trzymając termos w ręku.

– Pyszne – odpowiedziałem i za moment moja czarka z powrotem była pełna.

W międzyczasie mama przyniosła nowe miseczki, do których wsypała jęczmienną mąkę. Dolano do niej herbatę i zaczęto wszystko ugniatać, jak ciasto.

– *Campa* – powiedział Tashi.

– Tak, tak – mówię. – Słyszałem. Wasze narodowe danie. Ale jeszcze nigdy nie miałem okazji spróbować.

– Zaraz spróbujesz – powiedział chłopiec i pokazał mi, jak należy ugniatać.

– *Campa* daje dużo siły – ciągnął dalej Tashi. – *Campa* i mięso jaka – dodał, zawijając koszulę i prężąc mięśnie. – Kiedy mieszkałem na wsi, ciągle jadłem *campę* i mięso jaka i miałem siły co niemiara i wielkie mięśnie. W Lhasie jem mniej mięsa i mięśnie opadły, ale i tak jestem najsilniejszy w mojej dzielnicy. A jak dorosnę, to chciałbym wrócić na wieś.

No tak, jak na dziesięciolatka naprawdę miał rozrośnięte mięśnie, zresztą w ogóle był nad wiek wyrośnięty. Zapewne wśród rówieśników budził respekt. Mama Tashiego cały czas mi się przyglądała i z uśmiechem kiwała głową, widząc, jak wciągam ze smakiem *campę*. W pewnym momencie wyszła, by wrócić za chwilę z wielką kością, z której odkroiła kawałek suchego mięsa i dodała do ciasta.

Zrozumiałem, że dostąpiłem zaszczytu spróbowania mięsa, którego być może codziennie nie jadali. Nawet nie próbowałem oponować, aby nie wrzucała skrawków do mojej miseczki. Niestety, choć bardzo się starałem i przeżuwałem mięso dobre kilka minut, nie mogłem go pozbawić konsystencji i smaku starej podeszwy. Głupio też było mi wypluwać cenny dodatek, mieszałem więc w ustach mdławą, mączną papkę i zmieszane z herbatą kulki głośno połykałem. Kiedy jednak zobaczyłem, że mama ma ochotę dołożyć mi mięsa, stanowczo zaprotestowałem, tłumacząc na migi, że mam już dość. Miałem tylko nadzieję, że jej tym nie uraziłem.

Nie wiem, co tłumaczyła synowi, ale ten za moment wrócił z plastikowym woreczkiem i dostałem jeszcze na drogę dosyć dużą porcję mąki.

Podziękowałem za gościnę, Tashi odprowadził mnie jeszcze do hotelu.

To był bardzo długi dzień.

Ponieważ poprzedniego dnia nie udało mi się już dotrzeć do klasztoru Sera – „Ogrodenia z róż”, wizytę zaplanowałem na kolejne popołudnie. Klasztor usytuowany jest kilka kilometrów na północ od centrum. Należy on do tzw. sekty Żółtych Czapek, zreformowanego odłamu lamaizmu, założonej w XIV wieku przez Cong-k'a-pę, mnicha, który próbował naprawić skostniałą strukturę tybetańskiego lamaizmu. W czasach bowiem, kiedy się urodził, w klasztorach panowało zeświecczenie, a postępujący rozkład moralny przyczyniał się do hulaszczego i nieprzyzwoitego trybu życia, na co zwierzchnicy przymykali oko. Do najważniejszych zadań mnichów należały czary, wróżbiarstwo i czarna magia. Wiele religijnych przybytków popadło w zapomnienie, inne zostały splądrowane przez bezkarnie grasujące zgraje łupieżców.

W takich to czasach, zeświecczonym mnichom i lamom, próbował stawić czoła wielki Cong-k'a-pa, występując publicznie z własnymi krytycznymi uwagami i stwierdzeniami. Można się tu dopatrzeć paraleli z działaniami Marcina Lutra w Wittenberdze, który poprzez przybicie swych tez na portalu kościoła, doprowadził do podziału w istniejącej religii. Podobnie jak później Luter, Cong-k'a-pa dostrzegł wyraźny rozdźwięk między naukami głoszonymi przez hierarchów panującej religii, a ich rozpasanym, świeckim stylem życia. Nawoływał do powrotu do życia według postawy zgodnej z regułami religii, do ustanowienia zasad i obyczajowości oraz przywrócenia odpowiednich porządków w miejscach kultu wiary.

Założona przez niego sekta zjednała mu wielu wyznawców i doprowadziła do częściowego odnowienia znaczenia stanu zakonnego i powrotów do nauk Buddy. Jednym z takich klasztorów, gdzie próbowano zaszcześcić nowe, surowe porządki, był założony przez ucznia Cong-k'a-py klasztor w Sera. Jest on stosunkowo dobrze zachowany i nie ucierpiał zbyt wiele w trakcie trwania tzw. rewolucji kulturalnej, do tego wiele zabytków zostało odnowionych, m.in. naskalne malowidła Buddów i bodhisattwów.

Wróciłem dość późno do hotelu, spakowałem rzeczy i częściowo przygotowałem się już na dalszą podróż na zachód w stronę Nepalu. To miała być moja ostatnia noc w Lhasie, przynajmniej do czasu ewentualnego powrotu. Trochę już nawet oswoiłem duchy miasta i nie wydawało mi się już ono tak odpychające, jak zaraz po przyjeździe, niemniej jednak zbliżała się już czwarta noc w jednym miejscu i powoli zaczęły wyrastać we mnie jakby „zabójcze złogi emocjonalne – kiśnięcia, stęchlizny, zmurszenia, pleśnie. To znak, że trzeba pomyśleć o drodze, wyruszyć w podróż, poczuć wiatr, odetchnąć świeżym powietrzem⁵”.



Mnisi z klasztoru Sera, położonego kilka kilometrów na północ od centrum Lhasy

Podpisuję się pod Rimbaudem, który stały pobyt w tym samym miejscu zawsze uważał za nieszczęście. Najwyższy czas ruszyć w drogę. Nabrać dystansu, właściwej odległości, która przytępi emocje, a rzeczom nada odpowiedni wymiar, pozwoli spojrzeć na wszystko z innej perspektywy, niekoniecznie słusniejszej, ale na pewno świeższej, odmiennej, odróżnialnej. A, jak pisał Kapuściński, jednym z celów podróży jest dążenie do przeżycia odmierności.



Rozdział 5

Rankiem, po rozliczeniu się w hotelowej recepcji za pobyt i zrobieniu małych zakupów w pobliskim supermarkecie, rozpocząłem wreszcie podróż rowerem, kierując się tzw. Drogą Południową do Gyantse, prowadzącą przez dwie prawie pięciotysięczne przełęcze Karo i Kampa.

Przez pierwsze kilkadziesiąt kilometrów ruch, jak na Tybet, był bardzo duży, ale to dlatego, że droga którą jechałem, prowadziła również na lotnisko i do doliny Yarlung. Po przekroczeniu rzeki Kji-Cz'u, przejechaniu strzeżonego przez uzbrojonych żołnierzy mostu, a następnie odbiciu na południe, jedynie sporadycznie wyprzedzały mnie jakieś pojazdy.

Ponieważ przyjechałem do Tybetu w porze deszczowej, musiałem liczyć się z częstymi, intensywnymi opadami. Prawdziwa ulewa, na szczęście krótka, zatrzymała mnie przed wioską Dagar. Schowałem się do przydrożnego baru, gdzie w towarzystwie grupy starszych osób, głównie kobiet, zjadłem ryż z warzywami. Tubylcy próbowali mnie zagadać, ale jak tu rozmawiać, kiedy po tybetańsku znałem zaledwie kilka słów? Jedna pani przysiadła się bliżej i dobrych kilkanaście minut głaskała mnie po udzie i kolanach. Nie mam mocno zarośniętych nóg, powiedziałbym nawet, że są prawie nieowłosione, ale i tak wzbudzały duże zainteresowanie. A może chodziło tylko o to, że włoski były białe? Tego już się dowiedzieć nie mogłem. Przestało padać, zaspokoilem głód i ruszyłem dalej na południe.

Do wieczora udało mi się dojechać do wioski Kongar. Zatrzymałem się na chwilę zaraz przy pierwszych zabudowaniach z myślą o noclegu pod dachem. Spojrzałem do tyłu. Od strony Lhasy nadciągała istna nawałnica. Ciemnogranatowe niebo raz po raz rozcinały jaskrawożółte błyskawice, a towarzyszące im grzmoty rozbrzmiewały głucho w całej dolinie z taką siłą, jakby zaraz w drobny mak miały skruszyć otaczające mnie skały.

Z pobliskich budynków dobiegło do mnie kilkoro dzieci, a otoczywszy

dookoła, zaczęły się dopominać o pieniądze. Nie miałem czasu roztrząsać dylematu, co z nimi zrobić, na policzkach bowiem poczułem już pierwsze krople deszczu. Należało się szybko decydować. Albo jadę dalej, albo rozbijam namiot w rowie, albo idę do budynków prosić o nocleg.

Dylemat rozwiązał się sam.

Od strony wioski, środkiem drogi zbliżał się mężczyzna ze stadem owiec. Ignorowałem macające mnie i rower dzieci i poczekałem, aż się przybliży. Na migi pokazałem, że szukam miejsca, w którym mógłbym rozłożyć namiot. Wskazał ręką wysoko położone miejsce na sąsiednim wzgórzu i wykonał ruch, abym poszedł za nim. Nieznajomy skutecznie przepędził całą gromadkę dzieciaków, zostawiając tylko dwóch małych chłopców.

Niełatwo było wdrapywać się z rowerem po stromym stoku, tym bardziej, że z nieba gwałtownie lunął rzęsisty deszcz i wściekle zacinał w twarz. Ślizgałem się po błotnistym zboczu i raz po raz opadałem na błotnistą maź. Z pomocą chłopców jakoś wtargaliśmy rower na wskazane wcześniej miejsce. Przez bardzo wąską furtkę weszliśmy na wielkie podwórze, na końcu którego stała mała gliniano-słomiana chałupa.

Oparłem rower w zadaszonym miejscu i zostałem zaproszony do środka. Domyśliłem się, że dwójka umorusanych chłopców to dzieci mojego dobroczyńcy. Za moment poznałem żonę. Na migi pokazała mi, abym przyniósł wszystkie rzeczy i rozłożył pod piecem do wyschnięcia. Na metalowym stojaku gospodyni rozłożyła miskę z wodą do umycia. Ciepła, prawie gorąca. Najchętniej rozebrałbym się cały i wskoczył do niej, jak do balii, ale ograniczyłem się do twarzy, ramion i nóg. Szczególnie te ostatnie dobrze było choć opłukać przed zagrzebaniem się do śpiwora.

Duży pokój, w którym się znajdowaliśmy, zdawał się być jedynym zamieszkanym. Dwa pozostałe, sądząc po sprzętach i tym, co w nich się znajdowało, służyły za przechowalnię narzędzi i spiżarnię. Pokój był bardzo skromny, drewniany stół, przykryte derkami gliniane ławy oraz duży, bardzo kolorowy regał stanowiły całe wyposażenie. Na jednej ze ścian wisiał obraz Buddy Maitrei, a obok portret Mao Tse-tunga na tle pałacu Potala w Lhasie.

Staralem się dużo uśmiechać. I oni się uśmiechali. Jeśli chodzi o wzajemne kontakty, na niewiele więcej mogliśmy sobie pozwolić. Uśmiechałem się więc, nie w sposób wymuszony, ale lekki, prosty, naturalny, taką przynajmniej miałem nadzieję. Przez uśmiech czułem się bezpieczniej, taki mimowolny rytuał, aby zmniejszyć wzajemną obcość. Taki punkt wyjścia, maleńkie drzwiczki na dalsze, intymniejsze zapełnianie wieczoru.

Na kolację zjedliśmy ryż z mlekiem. Do tego ciągle dolewana do czarki tybetańska herbata. Jedliśmy w milczeniu, przerywanym czasem przez nieśmiałe dialogi chłopców z ojcem. Matka prawie się nie odzywała. Patrzyłem na tych ludzi,

myśląc, że tak naprawdę zupełnie nic o nich nie wiem. Kim są, co robią, jak żyją, przecież nie potrafiłem nawet dobrze wymówić ich imion. „W dialogu, w pauzach, w zamyśleniach i w ich drobnych czynnościach spoczywała praktyczna wiedza o czasie ludzkiego życia, znajomość jego prawdziwych wymiarów”.

Po posiłku próbowałem z nimi „pogawędzić” – tyle, na ile pozwalał mój zasób słownictwa i zwrotów z przewodnika. Nawet proste zdania, typu: „Ile masz lat”, „Ile masz dzieci”, „Skąd jesteś”, „Lubię Tybet”, sprawiają, że nawiązuje się nie sympatii i łatwiej zjednać zupełnie obcych przecież ludzi. Pokazywałem zdjęcia z Polski i mojej rodziny, pokazywałem zdjęcia z przewodnika i dawałem przeczytać tybetańskie zwroty. Nie wiem, ile rozumieli, nie miało to tak naprawdę większego znaczenia. Ważne było, że próbowałem w jakiś sposób odwzajemnić im ich gościnność, mocniej zaznaczając swoją obecność poprzez próby rozmowy, zbliżenia, drobne prezenty, w postaci znaczków, ciastek i cukierków.



Wioska Kongar, gdzie po raz pierwszy nocuję z Tybetańczykami w ich domu

Nie bardzo wiedziałem, czy powinienem zostawić im pieniądze. Zazwyczaj nocując w obcych krajach, udaje się to wyczuć, tutaj nie byłem pewien i postanowiłem, że zapytam przed wyjazdem, żeby przez nieuwagę nie psuć tej zbudowanej na chwilę nici porozumienia. Poza słowem, kulturą i obyczajowością, odnosiłem wrażenie, że jest między nami jakaś materia, która nas łączy i zbliża. A może to tylko nikły płomyk z maślanej świecy sprawiał, że fantasmagoryczne cienie na ścianach tańczyły, a myśli do rytmu im grały, tworząc urojony obraz czegoś wyimaginowanego? Może tylko stworzyłem coś, co tak naprawdę nigdy nie istniało? Ale tamtego wieczora na krótki moment czułem to „Coś”. Mocno, wyraźnie. Mówi Borges, że to, czego szukamy, zazwyczaj jest bardzo blisko. Czy rzeczywiście trzeba czasem wyjechać, aż tak daleko, żeby to zrozumieć?

Poszedłem spać wcześniej niż domownicy, rozkładając karimatę w kącie na glinianej podłodze i zagrzebując się szczelnie w śpiwór. Wydawało mi się, że czekali, aż się położę, gdyż wtedy zaczęli zachowywać się jakby swobodniej. A może mi się tylko zdawało? Domownicy spali na jednej ławie, zbudowanej, czy też wylepionej z gliny, pokrytej deską, przykryci mnóstwem koców i szmat. Kiedy leżałem już w ciepłym posłaniu, tata opowiadał coś dzieciom na dobranoc, głosem miękkim, ciepłym, aksamitnym. Kojąca melodia języka, którego nie znałem, dochodziła do mnie cicho, łagodnie, prawie szeptem.

A potem nagle nastąpiła cisza, przerywana coraz rzadziej i łagodniej słyszalnymi kroplami deszczu, rozbryzgującymi się na zawieszonym nisko, blaszanym dachu. Te krople prolongowały chwilę, odraczały mój sen, który nie chciał przyjść. Wszystko dookoła stało się zwłoką i oczekiwaniem. Przestało padać. Leżałem w środku milczenia, w epicentrum ciszy. Pomiędzy spróchniałymi belkami przeciskał się lekko wiatr.

Zostałem obudzony dokładnie o szóstej, w Polsce właśnie dochodziła północ. Na zewnątrz panował jeszcze półmrok. Uniosłem lekko głowę, gospodarze już wstali i krzatali się po izbie. Chyba nie wyglądałem na kogoś, kto zamierza wstać, bo mężczyzna wykonał gest ręką, który odebrałem jako „śpij dalej”. Próbowałem jeszcze zasnąć, ale ostry dym z rozpalanego pieca i gryzące muchy sprawiły, że chcąc nie chcąc, wygrzebałem się ze śpiwora.

Usiadłem przy stole i uzupełniałem notatki w zeszytach. Obok, spod sterty wierzchnich nakryć, wystawały dwie, umorusane buzie chłopców. Było dość rześko, ciepło z pieca jeszcze nie rozeszło się po mieszkaniu, więc nie dziwiłem się, że wolą zostać w przytulnym posłaniu. W końcu jednak wstali – spali w tym samych ubraniach, w których chodzili wczoraj i raczej nie zamierzali się przebierać i myć z rana. Raj dla małych chłopców, pomyślałem, gdyż też nie przepadam za zbyt częstym myciem.

Kobieta raz po raz ostrym głosem coś do nich mówiła, zapewne, aby wreszcie wstali, na co odpowiadali powłóczytym, wymownym pomrukiwaniem,

aż wreszcie mama podeszła i ściągnęła otulające ich warstwy. Aby zająć miejsce przy stole, musieli tylko zmienić nieznacznie swoją pozycję z horyzontalnej na wertykalną. Nie wyglądali na zbyt zadowolonych, ale które dziecko jest szczęśliwe, kiedy zrywa się ze łóżka skoro świt? Sam jeszcze nie do końca się rozbudziłem, więc patrzyłem na ich zaspane buzie i zaropiałe oczy z pełnym zrozumieniem. Zagotowano wodę, nalano do wielkich termosów i podano śniadanie. Mama odgrzała to, co zostało z kolacji, czyli ryż z mlekiem, a do miseczek wsypała mąkę. Pamiętając, co mówił spotkany w Lhasie Tashi, że *campa* daje wielką siłę, zjadłem trzy miseczki mąki i wypłem chyba ze dwa litry herbaty.

Chciałem zapłacić za gościnę, ale zdecydowanie odmówili. Nie wiem, czy to była tylko kurtuazja i przez grzeczność i skromność kazali mi schować położone na stół pieniądze, czy rzeczywiście poczuli się obrażeni... Zostawiłem więc kilka zdjęć z Polski, gliniane figurki, jeszcze jedno opakowanie herbatników i polski grosik. Czy zostawiłem coś jeszcze? Mam nadzieję, że tak...

Kilka kilometrów za wioską zaczął się podjazd na przełęcz Kampa. Droga była długa i męcząca, ale do samej przełęczy i za nią jechałem po doskonałej jakości równym asfalcie, a ruch na szosie był właściwie żaden. Obawiałem się trochę, jak organizm zareaguje na tak szybkie zdobywanie wysokości (bądź co bądź, w ciągu kilku godzin pokonałem przewyższenie sięgające prawie 1500 metrów), ale podczas podjazdu i na samej przełęczy nie odczuwałem żadnych poważniejszych objawów, pomijając płytszy oddech i mocniejsze bicie serca.

Na przełęczy Kampa istny cyrk – przedsiębiorczy Tybetańczycy zarabiają na turystach, fotografując ich na tle jeziora Yamdrock, obok ubranych w kolorowe sweterki jaków, objuczonych w świecące, jaskrawo przyozdobione derki. Niestety nie skorzystałem z wątpliwej atrakcji i nie dałem się namówić na fotkę z jakimś. Chętnie jednak przystałem na propozycję kilkorga Japończyków, którzy właśnie dojechali na przełęcz dwoma śnieżnobiałymi landcruiserami. Pośród standardowych „Aaa, rowerem?! Aaa!” ścisnąłem się z nimi przy jednym z murków odgradzających nas od przepaści i cierpliwie czekałem, aż każdy z osobna zrobi sobie zdjęcie ze mną i z rowerem, na tle przepięknego jeziora Yamdrock i odbijających się w nim himalajskich szczytów.

Po krótkim odpoczynku, zjechałem z przełęczy i po godzinie jazdy wzdłuż brzegu jeziora osiągnąłem wioskę Pede Dzong. Zatrzymałem się przy budynku wyglądającym jak przydrożny sklep. Nie zdążyłem nawet zejść z roweru, a momentalnie zostałem otoczony przez gromadę swawolnych, rozhasanych, chichoczących jeden przez drugiego umorusańców. Starąłem się rozhukaną zgrają ignorować, ale ich entuzjazmu nie przygasilem. Macali mnie ze wszystkich stron i powoli zaczęli dobierać się do sakw. Trzask i jedna już otwarta. Nie wiem, jak by to się wszystko skończyło, gdyby ze sklepu nie wyszedł mężczyzna i nie przegonił rozbrzykanych urwisów.

Zostawiłem rower pod płotem na pastwę czyhających niedaleko łobuziaków i wszedłem do środka. Był to mały sklepik z podstawowymi artykułami spożywczo-przemysłowymi, w sam raz, aby uzupełnić płyny na drogę. Kupiłem dwa litry gazowanego napoju i zapytałem, czy mogę kupić herbatę. Zamierzałem zjeść coś ciepłego, a że widziałem na ladzie trzy ogromne termosy, pomyślałem, że wiezione w sakwach liofilizowane jedzenie równie dobrze mogę zalać słoną herbatą.

Za równowartość kilku złotych dostałem cały termos pożywego płynu. Wróciłem do roweru, wyjąłem garnek i sztućce, zalałem herbatą bigos z ziemniakami i za moment, siedząc w kucki na rozłożonej karimacie, pałaszowałem przepyszny obiad, w towarzystwie wpatrzonych we mnie kilkunastu osób. Kiedy bowiem wyciągałem z sakw potrzebne rzeczy, z pobliskich zabudowań dołączyła jeszcze jedna zgraja małych hultajów, na szczęście z kilkoma dorosłymi osobami, które nie pozwalały dzieciom na zbytne spoufalanie się ze mną. Mogłem więc w miarę spokojnie skosztować liofilizowany obiad.

Z pełnym brzuchem jechało się znacznie lepiej. Silny wiatr wiał w plecy i bez większego wysiłku przed wieczorem dojechałem do wioski Yarsik. Pierwsze kroki skierowałem do restauracji. W przeokropnie zadymionym i mrocznym pomieszczeniu próbowałem zamówić posiłek. Ryż z warzywami najbezpieczniej. Zajadałem ze smakiem, kiedy przysiadł się do mnie jakiś młody chłopak, ale rozmowa szła ciężko. Cóż z tego, że potrafiłem sklecić kilka pytań po tybetańsku, kiedy nie rozumiałem udzielanej na nie odpowiedzi! Próbowałem dowiedzieć się, gdzie ewentualnie mógłbym rozłożyć w wiosce namiot, licząc po cichu, że może znajdzie się nawet jakiś dach nad głową.

Po skończonym posiłku zaprowadził mnie w pobliże jakiejś sypiącej się rudery, wyglądającej jak magazyn albo składzik złomu i na migi pokazał, że mogę w niej spać. Za okazaną pomoc domagał się pieniędzy. No dobrze, w końcu mi pomógł, co prawda nie bezinteresownie, ale przynajmniej powinienem być tu bezpieczny, pomyślałem. Do środka budynku jednak ostatecznie nie wszedłem, głównie z powodu panującego tam smrodu, w końcu nawet namiotu nie rozstawiłem. Położyłem się pod ścianą szopy, na ziemi, w miejscu częściowo zadaszonym i osłoniętym od wiatru. Zasnąłem jak kamień.



Dwa objuczone rumaki na tle jeziora Yamdrock

Rano nie mogłem otworzyć lewego oka. Jakieś paskudztwo musiało mnie w nocy ugryźć, przez co silnie spuchła mi powieka. Spojrzałem w lusterko – hehe – mogłem straszyć dzieci. Doskonały, naturalny środek prewencyjny przed natarczywością i natrętnym atakiem maluchów!

Śmierdziało jeszcze mocniej niż wieczorem. Nie zamierzałem pozostać w tym miejscu ani chwili dłużej. Zwinąłem śpiwór i spakowałem sakwy. Nagle, kiedy już byłem gotowy do odjazdu, zza magazynu wyszły dwie dziewczynki ze szczoteczkami do zębów w ustach! Skąd one się tu wzięły? Kiedy mnie zobaczyły, szczoteczki momentalnie znalazły się na ziemi. W czasie, kiedy im coraz mocniej opadały żuchwy, wsiałem na rower, przejechałem obok, mówiąc „*pardon, pardon*” i machnąwszy ręką na pożegnanie, zniknąłem za następnym budynkiem. Za moment dobiegł mnie długi, przeciągły, dziewczęcy pisk. Właśnie! Przecież nie dość, że zobaczyły brudnego białego na rowerze, to do tego jeszcze jednookiego! No i proszę, środek odstraszący dzieci działa!

Do następnej miejscowości, Nagartse, jechało się tego dnia doskonale. Na niebieskim, bezchmurnym niebie słońce dopiero zaczęło wędrówkę zza horyzontu i jeszcze nie prażyło zbyt mocno. Lekki wiatr w plecy sprawiał, że pedałowalem prawie bez wysiłku.

Zatrzymałem się przy małym strumieniu na śniadanie. Zagotowałem wodę

na herbatę i podgrzałem kupioną wczoraj porcję ryżu z mlekiem. Prawie już kończyłem i zamierzałem uciąć sobie małą drzemkę, kiedy w oddali dostrzegłem zbliżającą się postać. Ktoś nadchodził od strony pobliskich wzgórz. Dziwne, pomyślałem, z miejsca, w którym rozłożyłem biwak, nie było widać żadnych zabudowań. Ktoś jednak w jakiś sposób musiał mnie wypatrzeć, bo najwyraźniej szedł prosto w moją stronę.

Za chwilę podeszła do mnie starsza kobieta. Kreśląc dziwny znak na dłoni, powtórzyła kilkakrotnie: *money, money, money*. Nie wyglądała na zabiedzoną. Ciastek ani ryżu wziąć nie chciała. Ot, pojawił się obcy, dobrze wyglądający, w kolorowych ciuchach, na pięknym rumaku, powinien się więc swoimi pieniędzmi podzielić.

Nic nie dostała. Oburzona odeszła.

Niebo nie było już tak niebieskie, jak z rana.

Za Nagartse odbiłem na wschód i pojechałem do pobliskiego klasztoru Sanding.

Od miasta był to dystans tylko dziewięciu kilometrów, ale po bardzo dziurawej, szutrowej drodze, stąd pokonanie stosunkowo niewielkiego dystansu zajęło mi ponad godzinę. W klasztorze, poza dwoma psami, ani żywego ducha, za to widoki na dolinę zachwycające.

Wróciłem do miasta, zjadłem sycący obiad w niewielkiej, chińskiej restauracji i po krótkim odpoczynku ruszyłem w stronę przełęczy Karo. Za miastem droga jednostajnie, monotonnie i powoli pięła się w stronę pokrytych nisko zawieszonymi chmurami szczytów. Po około siedmiu kilometrach jazdy czekała mnie niespodzianka – ogromny billboard przy drodze, a wzdłuż niej rozstawiony szlaban. Obok mała budka, z której wyglądała zaciekawiona postać. Obdarzyłem umundurowanego mężczyznę szerokim uśmiechem i nie zatrzymując się, ominąłem przeszkodę. Na wszelki wypadek nie odwracałem się za siebie i zaraz za szlabanem nacisnąłem mocniej na pedały. Chciałem oszczędzić sobie problemów i tłumaczeń, gdyby żołnierzowi przyszło do głowy mnie zatrzymać i sprawdzić jeszcze jakieś pozwolenia. Według pracowników PSB z Lhasy, na podróż tutaj powinienem mieć specjalny *permit*.

Zerknąłem za siebie. Nikt mnie nie wołał, nikt nie gonił. Po kilku kilometrach asfalt ustąpił miejsca drobnemu żwirkowi, by w końcu zamienić się w pełną dziur i wykrotów szutrówkę. Trwały prace przy budowie drogi. Co jakiś czas mijałem wielkie koparki i spychacze, z których wystawały zdziwione twarze robotników. Z każdym przejechanym kilometrem coraz częściej musiałem schodzić z roweru i przepychać go po piaszczystym podłożu. Niekiedy przejścia między ścianą urwiska a stokiem opadającym do doliny były tak wąskie, że ledwo mieściłem się z rowerem.

To dlatego zapewne postawiono szlaban na drodze za Nagartse i prawdę

mówili poznani turyści w Lhasie, że nie można samochodem dojechać do Gyantse przez przełęcz Karo. Ale rowerem można, uśmiechnąłem się do siebie. A widząc tempo, w jakim Chińczycy budują w Tybecie drogi, mogłem śmiało stwierdzić, że za rok do samego miasta zdążą już wyłożyć piękny asfalt.

Kierując się doświadczeniem, chciałem zanocować jak najbliżej przełęczy, aby następnego dnia mieć jak najmniej podejżdżania i wczesnym rankiem, kiedy jeszcze zbyt mocno nie wieje, osiągnąć najwyższy punkt na drodze do Gyantse.

Na nocleg zatrzymałem się przy małym strumyku, rozbijając namiot w naturalnym zagłębieniu, chroniąc go przed ewentualnym silnym wiatrem. Kiedy wracałem do namiotu z menażką wody z pobliskiego strumyka, w zapadającym zmroku dostrzegłem trzy ciemne sylwetki, poruszające się dookoła pozostawionych rzeczy. Zapewne tubylcy, ale skąd się tam wzięli? Rozsiedli się na rozłożonej karimacie, a jeden z nich miał już na sobie moją kurtkę!

Podszedłem bliżej, przedstawiłem się nieśmiało, czując się trochę jak intruz, który przeszkodził im w spędzeniu miłego wieczoru. Bądź co bądź nie byłem u siebie i jeśli źle trafiłem, to na jakąkolwiek pomoc raczej nie mogłem liczyć. Zacząłem więc delikatnie od przedstawienia się, potem na migi próbowałem zapytać, czy mogę tu zostać na noc i skąd właściwie wzięli się poznani przed momentem mężczyźni.

Jeden z nich jako tako znał angielski, dowiedziałem się więc, że szukali w okolicy jakichś ziół, których część mi zostawili. Ale co ja miałem z nimi zrobić? Zagotować? Zjeść? Zapalić?

Trochę czasu i wysiłku zajęło mi wytłumaczenie, że nie mogę dać im kurtki, gdyż to moje jedyne ciepłe okrycie i będzie mi potrzebne na dalszą jazdę. Obmacali wszystko, co było w zasięgu ręki, prawie wchodząc do namiotu. Aby „oblaskawić” niespodziewanych gości i jakoś wynagrodzić nieoczekiwaną wizytę, poczęstowałem ich karmelkami. Mleczne cukierki zdecydowanie przypadły im do gustu. Zostawiłem więc całą torebkę z nadzieją, że na tym się zakończy obdarowywanie ich prezentami.

Bardzo duże zainteresowanie wzbudził *kangari*, czyli mój rower. Podobnie jak napotykanę po drodze tybetańskie dzieci, tak i oni z nieukrywanym zadowoleniem bawili się przerzutkami i z ciekawością naciskali dźwignie hamulców.

Mężczyźni wracali do Nagartse i mieli nadzieję złapać jeszcze tego dnia okazję do miasta. Mam nadzieję, że jeszcze coś przyjedzie, pomyślałem. Średnio widziałem cztery osoby w mojej dwójce, nawet, gdybyśmy bardzo się do siebie przytulili.

Zrobiło się zupełnie ciemno i jakoś mniej przyjemnie, ich rozmowy jakby zamilkły, a ja nie bardzo wiedziałem, jak powinienem się zachować. Powiedzieć dobranoc i iść spać? Siedzieć z nimi na zewnątrz i zasnąć na karimacie?

Na szczęście w oddali na drodze pojawiły się światła jakiegoś pojazdu. Nie zdążywszy się nawet pożegnać, mężczyźni zerwali się na równe nogi i pobiegli w dół stoku. Przejeżdżająca ciężarówka zatrzymała się pod takim kątem, że światła uderzyły prosto w mój namiot. Z naczepy dobiegały męskie nawoływania. Nie zdziwiłbym się, gdyby zaraz przyszli kolejni nocni wędrowcy, aby zrobić nade mną wielkie oczy i dostać trochę mlecznych karmelków. Zacząłem się już nawet zastanawiać, co jeszcze mam do rozdania, ale na szczęście ciężarówka zacharczała, prychnęła i krztusząc się własnymi spalinami, ruszyła na niskim biegu w dół zbocza.

Światła zniknęły za moment za kolejnym zakrętem, ale w dolinie długo jeszcze rozbrzmiewał turkot rozklekotanego pojazdu. Wreszcie mogłem iść się umyć. W poświęcie księżycy pluskałem się w wartkim strumieniu rzeczki. Woda była co prawda lodowata, ale dzięki temu wspaniale orzeźwiająca.

Wróciłem do namiotu, zagrzebałem się szczelnie w śpiworze, powoli odpływałem do spowijającego mnie świata snu. Dźwięki więdły i topniały, ustępując miejsca podpełzającej coraz bliżej ciszy. Myślałem o bliskich, o minionym dniu, o tym, że być może w promieniu kilku kilometrów nie ma żywej duszy i myśl ta, paradoksalnie, uspokajała mnie. Mój dom był właśnie tam i wtedy, tu i teraz, wszechświat ograniczony do dwóch metrów kwadratowych, wyznaczonych przez cztery ściany szeleszczącego, cienkiego materiału. Nocny tułacz, błędny rycerz, walczący z własnymi wiatrakami-demonami, obcy w rodzinnych stronach, niezdolny nigdzie zapuścić korzeni. Cierpiący na ciężki przypadek tego, co Baudelaire nazywał „poważną chorobą: strachem przed własnym domem⁷”. Mój został daleko. Może dlatego podczas wyjazdów czuję się zawsze tak bezpiecznie. Zasypiam jak dziecko



Rozdział 6

Następnego dnia, zgodnie z planem, przed południem wjechałem na przełęcz Karo. Znajdowałem się na wysokości prawie pięciu kilometrów nad poziomem morza. Wiało już dość mocno, więc aby nie wychłodzić spoconego organizmu, szybko się przebrałem i pomknąłem w dół zbocza.

Droga w dół nie wynagrodziła trudów podjazdu. Zjeżdżało się niewiele lżej, niż podjeżdżało, bowiem wystające kamienie, doły, wielkie muldy i garbate wyboje uniemożliwiały szybką jazdę. Ciągle musiałem albo ostro hamować, albo nawet schodzić z roweru i omijać przeszkody, włączając przechodzenie przez wartko płynące strumienie.

Po kolejnym morderczym zjeździe, na którym mocno zaciskałem rączki hamulców, postanawiam chwilę odpocząć i coś zjeść. Patrzę na bagażnik – nie ma namiotu! Jeden pajączek, którym go zamocowałem był poluzowany, a drugiego w ogóle nie było. Ciskając na siebie straszliwe kalumnie, rozpocząłem mozolną wspinaczkę z powrotem w kierunku przełęczy, do tego pod bardzo silnie wiejący wiatr. Po kilku minutach dałem za wygraną, zszedłem z roweru i pchałem go w górę między kamieniami. Za kolejnym zakrętem minąłem obozowisko robotników drogowych. Do głowy wpadła słuszna myśl. Zostawię u nich rower i pójdę dalej na piechotę. Nie wiem, czy zrozumieli, jak tłumaczyłem, że zgubiłem część bagażu, chcę u nich wszystko zostawić i pójść poszukać namiotu, ale cały czas kiwali potakująco głowami i dużo się uśmiechali, oparłem więc ufnie jednośląd o metalową szopę i na lekko pomknąłem z powrotem na drogę. Po około dziesięciu minutach marszu doszedłem do leżącego w rowie namiotu. Jest, uff! Poczuję się, jakbym znalazł grudę złota.

Wróciłem do obozowiska. Robotnicy, jak się okazało tylko chińscy, mieli akurat przerwę obiadową. Zaprosili mnie na wspólny poczęstunek, z czego skwapliwie skorzystałem. Wszyscy jedli z jednej miski, w której ryż zmieszano z rybą i warzywami. Niestety, tym razem nie mogłem zamówić sobie *buyao latiao*, posiłek był niemiłosiernie ostro przyprawiony. Mężczyźni skręcali się ze śmiechu,

widząc, jak po policzkach płyną mi wielkie łzy i jak bezskutecznie usiłuję to ukryć, na próżno rozglądając się za jakimś gaszącym pragnienie napojem. Wśród wzajemnych ciamkań, pobekiwań i spluwań uśmiechaliśmy się do siebie. Sielanka. Pełna symbioza.

Pieniądzy wziąć nie chcieli, więc podziękowałem tylko za posiłek i ruszyłem dalej w dół, mocno zdzierając klocki hamulcowe. Zjazd wydawał się nie mieć końca, ale wreszcie wyjechałem z wąwozu na otwartą przestrzeń, z cichą nadzieją, że nawierzchnia się poprawi. Niestety, ciągle doły, muldy, kamienie i objazdy.

Po kolejnej godzinie jazdy, droga wyrównała się nieco i pod wieczór dojechałem do wioski Sasuma. Wioska była położona nieznacznie powyżej budowanej drogi i aby dotrzeć do pierwszych zabudowań, musiałem jeszcze pokonać krótki, ale bardzo stromy podjazd. Zszedłem z roweru i skierowałem się do najbliższego domu.

Wołam do stojącego za płotem mężczyzny, czy w wiosce jest jakiś sklep. Nic z tego. Bariera komunikacyjna. Chyba się wystraszył. Rozłożył bezradnie ręce i zniknął za drzwiami domostwa.



Obiad u gościnnych robotników. Niestety, tym razem nie mogłem zamówić sobie buyao latiao

Przybiegają dzieci, jest kilkoro starszych, więc próbuję z nimi. W czasie,

kiedy walczę z natarczywością małych łobuzów, próbujących otworzyć tylne sakwy, pojawił się kolejny mężczyzna, wyraźnie dając mi do zrozumienia, abym poszedł za nim. Z jego gestów wynikało, że pyta mnie, czy nie chcę zostać na noc w jego domu. Decyduję się bez wahania. Wciągam rower przez bardzo wysoki próg na nieduże podwórko, na którym biegają kury, a dwie chude krowy zajadają suchą paszę. Zostaję zaprowadzony do maleńkiego, ciemnego pokoju, w którym mała szafka i łóżko pod oknem stanowiły całe wyposażenie. Wielka sterta rozrzuconych pod ścianą starych koców, płaszczy, pledów i przeróżnych tkanin wydzielala specyficzny zapach lekkiej zgnilizny. Na migi mężczyzna pyta, czy miejsce mi odpowiada, dodając:

– *Good?*

Jest *good*, myślę, wciągając za sobą brudne sakwy. Za moment do środka weszła kobieta i dwoje dzieci. Wszyscy bacznie obserwowali, kiedy rozpakowywałem sakwy i wykladałem rzeczy na łóżko. Oczywiście każdy z przedmiotów był długo i z uwagą obmacywany, szkoda, że nic nie rozumiałem z ich uwag i komentarzy. Pokazałem zdjęcia, tłumaczyłem, na ile mogłem, do czego służą pigułki i fiołki, które rozłożyłem na stoliku: te do uzdatniania wody, te na bolące gardło, tamte to witaminki, a te na biegunkę. Nawet nie zauważyłem, kiedy rzucona niedbale na łóżko czołówka znalazła się w rękach gospodarza. Pokazałem, jak włączyć i założyłem ją sobie na głowę. Niedobrze, spodobała się. Za chwilę czołówka znalazła się na głowie jednego z chłopców. No to miałem latarkę, pomyślałem. Gospodarz jednak ściągnął mu ją z głowy i oddał.

W końcu ciekawość domowników została zaspokojona i zostawili mnie samego w pokoju.

Przebrałem się i wyszedłem na zewnątrz. Wszyscy siedzieli na podwórku.

– Jest tu gdzieś sklep? W wiosce sklep? Sklep? Jeść. – Klepiąc się po brzuchu i otwierając usta, w jak najprostszy sposób próbowałem przekazać, że chętnie zrobiłbym małe zakupy.

Wydawało się, że gospodarz zrozumiał.

Jako przewodnika dostałem starszego syna, który miał mnie do sklepu zaprowadzić. Moja osoba wzbudzała wielkie zainteresowanie każdego mijanego mieszkańca wioski. Niektórzy coś mówili, ale niestety, jedyną odpowiedzią, jaką mogli ode mnie uzyskać, był promienny, szczery uśmiech.

Zatrzymaliśmy się przed zamkniętą na wielką kłódkę szopą, która w niczym sklepu nie przypominała. Może sprzedawca zrobił sobie przerwę? Chłopiec krzyknął kilka razy głośno w stronę pobliskich zabudowań, ale nikt nie odpowiedział.

Poszliśmy dalej. Druga szopa, podobna do poprzedniej, również była zamknięta. Tym razem chłopiec wykrzykiwał dobre pięć minut. W końcu przyszedł do niego jakiś kolega z procą i obaj chłopcy zaczęli się bawić strzelaniem do

gołębi. Trochę zirytowany powtarzałem po tybetańsku: sklep, sklep, głodny, jami, jami.

Ruszyliśmy dalej, tym razem w górę wioski. Po nierównych, wyślizganych kamieniach chłopcy skakali jak kozice, ledwo za nimi nadążałem. W końcu znajdowaliśmy się na wysokości ponad 4000 m n.p.m., warunki dość średnie na jogging pod górkę.

Po drodze spotkaliśmy grupkę kobiet. Pomimo tego, że nie znałem języka, mogłem się domyślić, jak przebiegała rozmowa między nimi, a moimi „przewodnikami”.

– Dokąd idziecie?

– Do sklepu. Biały głodny, chce jami, jami.

– Ale przecież na górze nie ma sklepu, musicie wrócić do wioski.

I rzeczywiście. W tył zwrot i schodzimy tą samą drogą, która przed momentem kosztowała mnie tyle wysiłku. Za którymś z zakrętów chłopiec pokazuje widoczny z oddali namiot robotników, powtarzając, „sklep, sklep”. Próbuję z nim pertraktować, mówiąc, że to nie jest sklep, ale bezskutecznie.

Niemіłosiernie złorzeczając, wróciłem do gospodarzy. Domownicy powitali mnie pytającym spojrzeniem, a ja na migi wyjaśniłem, jak to zrobiliśmy sobie spacer po okolicy, że jestem bardzo głodny i zmęczony i że idę do środka, zrobić sobie coś do zjedzenia.

Przyniosłem z pokoju na podwórko rzeczy do gotowania i zabrałem się za rozpalenie maszynki. Nie wiem, czy to ze względów bezpieczeństwa, czy rzeczywiście nadeszła pora obiadowa, ale kiedy tylko z palnika buchnął płomień, gospodarz podszedł do mnie i energicznie wymachując rękoma, dał do zrozumienia, że za moment w domu będzie posiłek. Złożyłem więc sprzęt z powrotem i poszedłem z nim do sąsiadującego z moją sypialnią pokoju. W domu panował już lekki półmrok. W dużym pokoju, służącym za kuchnię, sypialnię i jadalnię, tliło się nagle światło żarówki zawieszanej pół metra nad stołem. Gospodyni krzątała się przy piecu, z którego strzelały żarzące się drzewce. Zanim podano posiłek, wypłem chyba z dziesięć filiżanek herbaty. Zresztą nie sposób było wypić mało, bowiem jak tylko siorbnąłem odrobinę z naczynia, kobieta od razu dolewała z termosu do pełna. Musiałem bardzo mocno protestować, aby nie dostać dolewki.

Wreszcie z podwórka wrócił gospodarz i chłopcy. Podano do stołu. Z wielkiego gara pani domu wielką ochłą nałożyła do oddzielnych miseczek ryż i pokrojone w cienkie plasterki ziemniaki. Te ostatnie były prawie surowe, ale i tak smakowały pysznie, szczególnie po ryżu i mące, którą zajadałem się od kilku dni. Dzieci wciągały jedzenie z takim apetytem, jakby nie jadły od tygodni, ale w rzeczy samej, odkąd przyjechałem, nie widziałem, aby cokolwiek dostały do jedzenia, poza batonikami, którymi poczęstowałem je przed obiadem.

Trochę poopowiadałem o sobie, pokazałem zdjęcia, polskie pieniądze, trochę się powyglądałem z maluchami, w międzyczasie wypijając kolejne dziesięć filiżanek herbaty.

Brakowało mi znajomości języka. Bardzo chciałem podpytać gospodarzy, kim są, co robią na co dzień, o czym marzą, czy byli w Lhasie, albo gdziekolwiek indziej, czy słyszeli coś o Polsce, czy w zimie jest bardzo zimno, dlaczego od tygodnia nie widziałem nigdzie nawet jednego kota, albo z jakiego zwierzęcia jest skóra leżąca na łóżku, ale wszystko to pozostawało dla mnie zamknięte, nieodkryte. Inny wymiar świata, którego nikt z obecnych wyrazić w słowach dla mnie nie potrafił. Jedyne, co miałem przed sobą, to tylko niewyraźny szkic, zarys czyichś myśli, przeżyć, uczuć i marzeń, który w tamtym momencie musiał mi wystarczyć.

Z pełnym brzuchem udałem się do drugiego pokoju na spoczynek.

Rankiem zostałem obudzony przez gospodarza, który na migi zaprosił mnie na śniadanie. W misce było dokładnie to samo, co podano na kolację, czyli ryż z niedogotowanymi ziemniakami plus herbata. Z tą różnicą, że poza herbatą wszystko było zimne. Może jeszcze było za wcześnie, aby rozpalić w piecu, a zewnętrzny piecyk zaczynał działać dopiero przed południem. Tybetańczycy pewnie nawet nie wiedzą, jak bardzo są proekologiczni. Bardzo sprytnie wykorzystują bowiem energię słoneczną. Na zewnątrz większości domów, jakie widziałem, rozstawione jest coś, co przypomina z daleka antenę satelitarną, z tą różnicą, że zamiast receptora zbierającego sygnał z satelity, pośrodku wypukłego talerza znajduje się czajnik albo garnek z wodą. Tybetańska antena satelitarna wyłożona jest płytkami, odbijającymi promienie słoneczne, a na wysuniętym pręcie umieszcza się naczynie, które następnie jest podgrzewane przez skupiające się w jednym miejscu promienie. W ten oto darmowy sposób można zagotować wodę na herbatę albo ugotować ryż. Trzeba tylko pamiętać, żeby co jakiś czas odpowiednio przestawić urządzenie.



Gospodarze, u których nocowałem w wiosce Sasuma

Po śniadaniu gospodarze poprosili mnie o zrobienie im zdjęcia. Bardzo długo się ubierali i szykowali, aby w końcu ustawić się w ciemnych, przeciwsłonecznych okularach pod kuchennym kredensem. Co ciekawe, na zewnątrz okulary zdjęli.

Chciałem zapłacić za gościnę, ale wydawali się obrażeni. Zostawiłem zatem kilka pamiątek jako zapłatę i obiecałem, że prześlę z Polski zdjęcia. Potrzebny był tylko adres. Gospodarz pokrył kartkę niezrozumiałymi dla mnie tybetańskimi znaczkami. Nie szkodzi, pomyślałem, zrobię ksero, a obok napiszę „po naszymu”.

Rzeczy, które zostawiłem, wydawały mi się śmiesznie marne w porównaniu z gościnnością, jaką ci ludzie mi okazali, gościnnością, która dla nich nie wydawała się być niczym nadzwyczajnym.

Spakowałem na podwórku rower, podziękowałem raz jeszcze i ruszyłem w dalszą drogę. Tego dnia czekał mnie jeszcze podjazd na przełęcz Simi, wzdłuż brzegu przepięknego turkusowego jeziora, w którego taflę cudownie odbijały się otaczające go szczyty. Pełną sielankę burzyła tylko wysoka temperatura i fatalna nawierzchnia. Słońce prażyło niemiłosiernie, a podjazd na przełęcz przypominał bardziej górski szlak, niż fragment głównej drogi prowadzącej do Gyantse. Mordercze wyboje, objazdy i głębokie wykroty dawały mi się we znaki.



Ekologiczna antena satelitarna do... gotowania wody

W pewnym momencie z oddali ujrzałem, jak droga pnie się mocno w stronę wysokiej grani i kończy nagle na pionowej ścianie. Czyżbym się zgubił i za chwilę miał się wracać, pomyślałem. Kiedy zbliżyłem się odpowiednio blisko, okazało się, że szlak skręca w prawo i przez rumowisko kamieni prowadzi na drugą stronę wykutego w skale bardzo wąskiego przesmyku. Jechać się po tym nie dało, przeprowadziłem więc rower na drugą stronę i moim oczom ukazała się wreszcie upragniona dolina, która po kilku godzinach dalszej jazdy doprowadziła mnie do Gyantse, miasta „królewskiego szczytu”. To z niego prowadzi dawny szlak karawanowy do Indii, którym w 1904 roku, pod wodzą pułkownika Younghusbanda nadciągnęli Brytyjczycy w celu zaatakowania Lhasy. Gyantse zostało w dużej części zniszczone, łącznie z górującym nad miastem zamkiem i leżącym poniżej kompleksem klasztornym. O tym, ile zostało do obejrzenia, przekonać się miałem niebawem.

Zameldowałem się w hotelu Wutze, gdzie za czterdzieści juanów dostałem łóżko w pięcioosobowym pokoju. Byłem zbyt zmęczony, aby cokolwiek jeszcze zwiedzać, zjadłem tylko kolację i poszedłem spać.

Następnego dnia, po śniadaniu, udałem się na stadion miejski, gdzie miał odbywać się festiwal. Z trafieniem na miejsce nie miałem żadnych kłopotów. Zgodnie z sugestią hotelowego portiera, podążyłem za idącym w jedną stronę tłumem. Turystów nie było w nim zbyt wielu, a większość osób jakoś nie przypominała Tybetańczyków.

Przed bramą, jako turysta, musiałem kupić bilet, uprawniający do wejścia na teren imprezy. Dochodziła dziesiąta, portier twierdził, że od rana powinno się coś dziać, ale z tego, co zobaczyłem wynikało, że festiwal się jeszcze nie rozpoczął.

Tybetański odpust, pomyślałem, jak tylko przeszedłem bramę. Wszystko dookoła wyglądało jak duży, wiejski jarmark z mnóstwem straganów, na których sprzedawano najróżniejsze badziewie. Były tam kramy z tandetnymi pamiątkami lub jedzeniem, a także miejsca, gdzie można się było popisać zręcznością i wygrać jakiś drobiazg. Strzelnic nie widziałem, ale bardzo dużym wzięciem cieszyło się rzucanie oponą na stojące na ziemi przedmioty, głównie kuchenne naczynia, termosy i plastikowe zabawki.

Niedaleko wejścia stała grupa ubranych w kolorowe stroje Tybetańczyków, a obok podobnie wystrojone konie. Próbowałem się dowiedzieć, czy jest jakiś program imprezy i co właściwie będzie się dziać w ciągu dnia, ale nikt się nie kwapił z udzieleniem mi jakichkolwiek informacji. Generalnie byłem ignorowany, czasem obdarzany serdecznym uśmiechem.

Okolo południa wreszcie zaczęło się coś dziać. Grupa jeźdźców przemknęła obok mnie i ustawiła się po drugiej stronie stadionu. Podniecenie, jakie udzieliło się wszystkim gapiom utwierdziło mnie w przekonaniu, że za moment będę świadkiem jakichś woltyżerskich popisów młodych, przystrojonych w kolorowe stroje jeźdźców. Nic bardziej mylnego. Po dwóch okrążeniach stadionu, zatrzymali się obok wejścia, zsiadli z koni, przebrali się w szare ubrania i zmieszali z tłumem. Na dzisiaj tyle atrakcji – zdawał się mówić wyraz twarzy starszego mężczyzny, który wcześniej próbował ze mną porozmawiać po chińsku. Rozczarowany, chodziłem wzdłuż straganów, a kiedy dotarłem na drugi koniec stadionu, zauważyłem coś, co wcześniej umknęło mojej uwadze. Za dziurawą siatką, niedaleko na trawie, siedzieli na rozłożonych kocach znudzeni żołnierze, rzucając czasem obojętne spojrzenie w stronę stadionu...

Dowiedziałem się wreszcie, że część artystyczna miała się rozpocząć dopiero wieczorem. Postanowiłem zatem wykorzystać ten czas na zwiedzenie stupy Kumbum, symbolu kosmicznej góry Meru i nirwany Buddy. W dziewięciopiętrowej budowli są siedemdziesiąt dwie kaplice, w których spoglądają na nas posągi i malowidła Buddów, bodhisattwów, bóstw opiekuńczych, bogiń i demonów. Wchodzenie na poszczególne piętra budowli symbolizuje drogę, którą należy przebyć, aby wyzwolić się z kręgu powtórnych narodzin i znaleźć drogę oświecenia. Nawet osobom takim jak ja, które mają bardzo nikłe pojęcie o znaczeniu i symbolice sztuki tybetańskiej, wizyta w stupie dostarcza niezapomnianych wrażeń, porównywalnych ze stanem lekkiego snu, na granicy jawy przechodząc od komnaty do komnaty można zupełnie stracić poczucie rzeczywistości.

Prawie ściemniało, kiedy wróciłem do hotelu. Miasto wreszcie ożyło. Na

placu pod Pomnikiem Bohaterów, przy jednym z głównych skrzyżowań, ustawiono wielkie ogniska, wokół których zgromadziły się tłumy mieszkańców i przyjezdnych. Poubierani w ludowe stroje Tybetańczycy, tańczyli w kilkusobowych kręgach dookoła ognisk, obracając i podrzucając roześmiane kobiety. Choć spektakl, który miałem przed oczyma był naprawdę wspaniały, nie mogłem pozbyć się uczucia smutku. Czułem się trochę tak, jakbym oglądał coś, co już tak naprawdę nie istnieje, coś, czego nie zatrzyma ani najpiękniejszy taniec, ani najgłośniejszy śpiew.

Pod Pomnikiem Bohaterów w niebo wlatywała niekłamana, szczerza radość, pot i łzy, które połyskując w świetle ognisk, spływały wolno po pomarszczonych twarzach tych, którzy nie mieli już siły ani tańczyć, ani śpiewać...

Po godzinie widowisko miało się ku końcowi. Ogniska dogasały, a ludzie powoli zaczęli opuszczać plac, choć impreza pod pomnikiem trwała do białego rana. Kiedy wróciłem do hotelu, zza okna ciągle dobiegały mnie jazgotliwe brzmienia, wydobywające się z ustawionych na placu ogromnych kolumn.

Dyskotekowy, jednostajny łomot zakończył tybetański festiwal w Gyantse.



Rozdział 7

Okolo południa ruszyłem do Shigatse. Tego dnia czekał mnie około stukilometrowy odcinek po łatwym terenie, stąd też nie spieszyłem się bardzo z wyjazdem. Z przewodnika i z opowieści turystów wiedziałem, że droga nie powinna być uciążliwa, ale komfort jazdy przeszedł moje najśmielsze oczekiwania. Pedałowało się naprawdę cudownie. Cóż za odmiana po kilku ostatnich dniach! Z lekkim wiatrem w plecy, mknąłem po równiutkim asfalcie, do tego cały czas nieznacznie z górki. Po pięćdziesięciu kilometrach jazdy, prędkościomierz wskazywał średnią ponad trzydzieści kilometrów na godzinę.

W Shigatse najpierw udałem się do Biura Bezpieczeństwa Publicznego, z zamiarem kupna pozwolenia na dalszą podróż, tzw. *Aliens' Travel Permit*.

Przed drzwiami na tablicy zawieszono kilka ogłoszeń, o dziwo, większość w języku angielskim, w tym jedno adresowane do indywidualnych turystów. Czyli i do mnie, myślę i czytam z zaciekawieniem. Jest tam napisane, że w PSB nie otrzymam żadnego pozwolenia na dalszą podróż, a można je dostać tylko w hotelu Tenzin. Jakoś nie do końca dowierzając podpisanej pod ogłoszeniem tajemniczej pani Dicki, postanawiam sprawdzić, czy rzeczywiście jest to prawda. Skoro już tu jestem, wejdę do środka i zapytam.

Na pierwszym piętrze budynku znajdowała się poczekalnia. Razem ze mną była tam grupka turystów z Holandii i trzech tubylców, z których jeden stał przy okienku. Turyści czekali na pozwolenie na podróż do Gyantse i Lhasy, które załatwiał im ich przewodnik.



Stupa Kumbum w Gyantse

– Ale przecież do Lhasy nie jest potrzebne żadne pozwolenie! – mówię. – Właśnie stamtąd przyjechałem. Po drodze nie było żadnych punktów kontrolnych i nikt mnie nie sprawdzał – dodaję.

– Ale my jesteśmy grupą i przewodnik powiedział nam, że bez pozwolenia nie możemy jechać – odpowiedział jeden z turystów.

Co za bzdura, pomyślałem, nie próbując ich dalej przekonywać. Jak chcą, to niech płacą.

Za moment Holendrzy wyszli z przewodnikiem, dzierżącym w rękach jakieś papierki i zostałem sam z trzema tubylcami. Zastanawiałem się, jak długo jeszcze będę czekał na swoją kolej do okienka, przy którym od kwadransa, elegancko ubrany mężczyzna przekrzykiwał się z urzędniczką.

Za chwilę okazało się jednak, że wszyscy znajdujący się w pomieszczeniu mężczyźni byli razem i po odprawieniu klienta, pani z okienka zwróciła się do mnie, pytając całkiem niezłym angielskim, co mnie tu sprowadza.

– Chciałbym kupić pozwolenie.

– Jakie pozwolenie? – kobieta wygląda na szczerze zdziwioną.

– No, *Aliens' Travel Permit* – dodaję, tym razem ja okazując zdziwienie.

– Ale my nie wydajemy żadnych zezwoleń.

Oho, zaczęło się, pomyślałem.

– No to gdzie mam pójść, aby je dostać? Chciałbym pojechać do bazy pod Everestem i może do Katmandu – tłumaczę.

O rowerze oczywiście nie wspominam, ale stojąc w spodenkach kolarskich, z rękawiczkami na dłoniach i z prędkościomierzem na blacie okienka, chyba nie wyglądam na podróżującego autobusem.

Urzędniczka zaczyna mówić o jakichś departamentach i policji, nic nie rozumiem, w końcu jej niegrzecznie przerywam.

– Ale ja chcę tutaj kupić pozwolenie.

– Musisz pojechać do Lhasy.

– Ale ja przecież właśnie przyjechałem z Lhasy i tam turyści mówili, że pozwolenie kupię w Shigatse.

– To niemożliwe – kwituje pani i dodaje: – Musisz pojechać do Lhasy i tam dostaniesz pozwolenie.

– Ale ja byłem w Lhasie w PSB i oni nie chcieli wydać pozwolenia nawet na podróż do Shigatse! – Tłumaczę najłagodniej, że nie będę teraz wracać do Lhasy po pozwolenie, którego i tak nie dostanę i chcę go kupić tutaj. Wyciągam anglojęzyczny przewodnik i podtykam pani pod nos pokazując, gdzie jest napisane, że pozwolenie można dostać w Shigatse.

– To jest niemożliwe. Ktoś się pomylił – słyszę w odpowiedzi.

Tłumaczę raz jeszcze, że przyjechałem na rowerze z Lhasy, przez przełęczę Karo i Kampa i nie będę się teraz wracać, bo droga jest długa i ciężka, zresztą jadę w drugą stronę.

– Co, pan jedzie na rowerze?! Nie wolno, nie można na rowerze jeździć po Tybecie! I pan jedzie sam?! Nie wolno! Pańska podróż jest nielegalna! – urzędniczka wygląda na lekko przestraszoną.

– Dobrze więc, w takim razie zostawię rower w mieście i dalej pojedę jeepem, czy wtedy dostanę pozwolenie?

– Tak, ale musisz najpierw iść na policję, a potem do biura podróży.

– Ale po co mam iść na policję?

– Żeby się zarejestrować.

– A do biura podróży?

– Żeby dołączyć do grupy. Nie wydajemy pozwoleń samotnym turystom, musisz iść na policję, potem do biura podróży, dołączyć do grupy i jutro przyjść tutaj.

Dalsza rozmowa nie miała sensu. Pomyślałem, że chyba jednak pójdę do tego hotelu Tenzin i spróbuję znaleźć panią Dicki, jak sugerowała ulotka na dole. Jak i to nie pomoże, to jutro znów przyjdę tutaj pomęczyć panią. Kropla draży skałę nie siłą, lecz ciągłym padaniem.

W hotelu okazało się, że pozwolenie można załatwić niemal od ręki. Biegle

władająca angielskim pani o imieniu Dicki, inkasuje sto pięćdziesiąt juanów i jeszcze tego samego dnia można dostać upragniony *permit*. Już go prawie od niej kupiłem, ale w trakcie rozmowy okazało się, że jest ważny tylko dziesięć dni, a ja zamierzałem jeszcze spędzić dwa dni w mieście i okolicy. Umówiłem się więc z kobietą na odbiór pozwolenia w poniedziałek rano, a następnie udałem się na porządny obiad.

Nie zostałem w mieście na noc. Wyjechałem kilka kilometrów na północ i zatrzymałem się w wiosce Chunde. Spostrzegłszy trzech tubylców, skierowałem się w ich stronę, aby zapytać o miejsce na nocleg.

Na migi pokazuję, że chcę gdzieś tu w pobliżu rozbić namiot. Chyba nie do końca zrozumieli, o co mi chodzi, gdyż uparcie wskazywali ręką wschód, mówiąc: *Shalu gompa, Shalu gompa*. No tak, myślę, wiem, że tam jest klasztor i zamierzałem go odwiedzić następnego dnia, ale teraz najchętniej gdzieś bym się przespał... Chłopcy szli w tamtą stronę i zachęcali mnie, abym poszedł z nimi. Najwyraźniej pomyśleli, że chcę pojechać do Shalu, bo raczej nie przyszło im do głowy, że mógłbym czegokolwiek szukać w złożonej z kilku chałup wiosce Chunde. A ja marzyłem tylko o dwóch metrach kwadratowych bezpiecznego rowu...

Zaczęło się ściemniać i nie bardzo miałem ochotę na kilkukilometrowy spacer do sąsiedniej wioski, ale w końcu zgodziłem się. Po drodze próbowaliśmy jakoś się dogadać, ale ich angielski był gorszy niż mój tybetański, więc nie poznaliśmy się nawzajem zbyt głęboko... Tak czy inaczej, nie doszedłem do samej wioski, gdyż po drodze przechodziliśmy obok małego klasztoru i przy nim już zostałem. Wszedłem przez uchyloną bramę na dość obszerny dziedziniec i trochę po omacku skierowałem się do najbliższego budynku. Nie mogłem zapukać, bo w wejściu nie było drzwi, jedynie kolorowa tkanina, a na moje nawoływania odpowiadały tylko groźnie warczące psy. W końcu w drzwiach pojawił się mnich, prawie bezszelestnie. Uchyliwszy rąbek materiału, wystawił głowę i zaświecił mi latarką prosto w oczy.

– Dobry wieczór. Jestem z Polski. Jeżdżę rowerem po Tybecie. Czy mogę tu przenocować?

Mnich zniknął równie bezgłośnie, jak się pojawił, by za chwilę wrócić w towarzystwie kolegi.

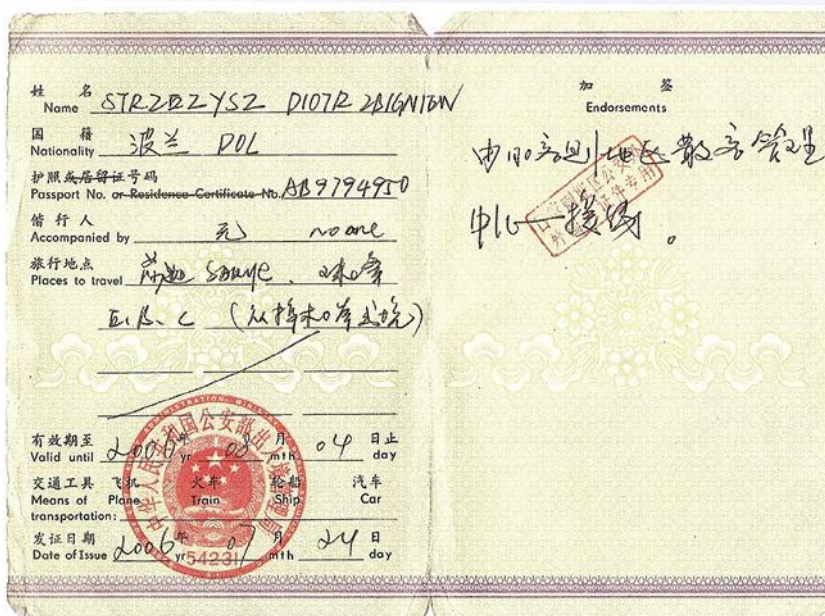
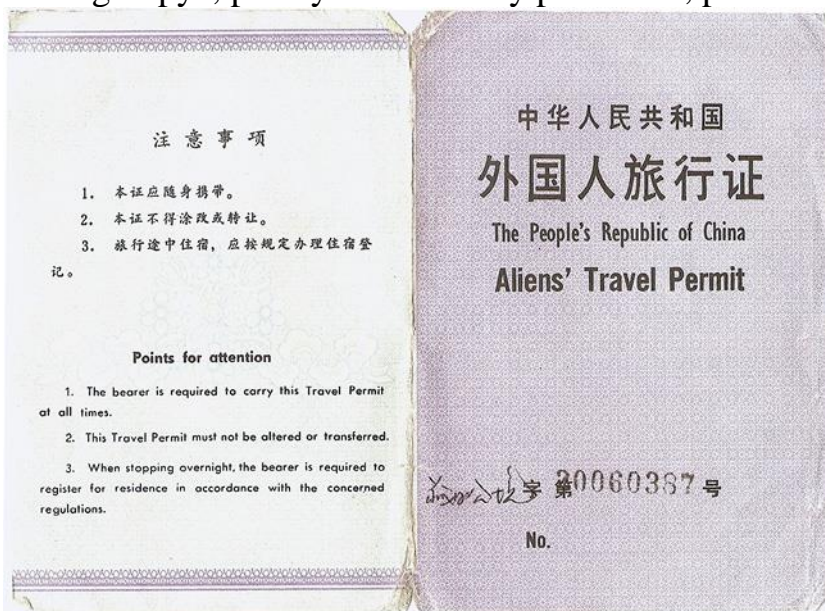
Powtórzyłem pytanie. Mnisi zgodzili się i pozwolili mi rozbić namiot obok klasztoru, tuż za murem odgradzającym obszerny dziedziniec od drogi. Proponowali posiłek, ale miałem jeszcze pełny brzuch po kolacji zjedzonej w mieście. Podziękowałem serdecznie i poszedłem na zasłużony odpoczynek.

Rano obudziło mnie jakieś dziwne brzęczenie. Z początku myślałem, że jakiś latający owad zabłądził w nocy i obudził się o świcie w moim namiocie, ale po chwili dotarło do mnie, że pomrukiwanie dochodzi z zewnątrz. Rozsunąłem suwak

i wystawiłem głowę. Obok namiotu jeden z mnichów monotonicznie recytował mantrę. Hmm, dziwne wybrał sobie miejsce, pomyślałem.

– *Tashi dele!* Dzień dobry! – pozdrawiam zza zaropiałych powiek.

– *Tashi dele!* – odpowiedział mnich, wykonał ruch, który odebrałem jako „idź do gompły”, po czym nabrawszy powietrza, powrócił do mruczenia.



Aliens' Travel

Permit, czyli pozwolenie na podróż po Tybecie

Ubrałem się i poszedłem we wskazanym kierunku. Zaraz po wejściu do środka, jeden z mnichów zaprosił mnie do stołu i poczęstował herbatą i *campą*. Siedział przez chwilę ze mną, zadając standardowe pytania o podróż: „skąd, dokąd,

jak, po co, ile”, do każdej mojej odpowiedzi dodając *very good, very good*. Przeprosił, że nie może dłużej ze mną porozmawiać, ale ma jeszcze dużo pracy i musi przygotować klasztor na przybycie gości. Widząc moje zaciekawione spojrzenie, dodał, że jest sobota i z okolicznych wiosek przyjedzie do klasztoru na modlitwę bardzo dużo mieszkańców. Oczywiście, nie miałem mu za złe, że nie mógł ze mną dłużej posiedzieć, sam zacząłem przeproszać, że tak się pojawiłem w nocy znienacka i teraz pewnie im tutaj przeszkadzam.

W rzeczy samej, nie wiedziałem, czy to czysta kurtuazja i grzeczność przemawiała przez niego i czy nie powinienem aby zabrać się z powrotem do namiotu. Wykonałem ruch, jakbym zamierzał odejść od stołu i dokończyć śniadanie na dziedzińcu, ale mnich gwałtownie zaprotestował, co uznałem za wystarczający przejaw uczciwości i dobrych intencji. Krzątał się obok, całkowicie pogrążony w swojej pracy, w skupieniu i uwadze wykonując najprostsze czynności.

Było jeszcze dość wcześnie, kilka minut po ósmej, ale wydawało się, że mnisi zdążyli już posprzątać dziedziniec, pomodlić się, zjeść śniadanie, uporządkować ołtarze, napalić w piecu i przygotować się na przybycie gości, którzy zaczęli przybywać w coraz liczniejszych grupach. Przyjeżdżali, aby się pomodlić, zostawiając na dziedzińcu w specjalnie przygotowanych miejscach datki, a czasem worki z ziarnem, ryżem lub mąką. Wszyscy odświętnie ubrani, z nabożeństwem i czcią wchodzili na teren dziedzińca, by tam pokłonić się najpierw przed ołtarzem, dosypując suszonych kwiatów do dymiącego się od rana kadzidła, a potem wejść do środka świątyni i pokłonić Buddzie.

Wszyscy mężczyźni przed wejściem ściągali czapki z głów, ale wchodzili w butach, co dziwiło mnie trochę, bo zwiedzając niektóre klasztory, byłem zwykle proszony o zdjęcie obuwia. Po modlitwie, często w towarzystwie któregoś z mnichów, rodziny rozkładały koce na dziedzińcu i w cieniu drzew urządzały sobie piknik, wyjmując charakterystyczne termosy z herbatą i miseczki na *campę*.

Zostawiłem rzeczy pod klasztorem i ruszyłem na zwiedzanie okolicy. Od wioski Shalu dzieliło mnie pięć minut marszu.

Jest tam drugi klasztor, bardzo stary, bo założony już w XI wieku i należący do tzw. sekty Czerwonych Czapek. Bez przeszkód można przebywać na zacienionym, wyłożonym kamiennymi płytami dziedzińcu, chroniąc się przed palącymi promieniami słońca. Rozglądając się dookoła, aż trudno uwierzyć, że w klasztorze tym, w okresie jego rozkwitu, zamieszkiwało ponad trzy tysiące mnichów. Podczas zwiedzania widziałem tylko kilku... W środku można jeszcze dostrzec ślady „rewolucji kulturalnej”: roztrzaskane posągi, zniszczone malowidła, poprzewracane i pozostawione w nieładzie sprzęty domowe. Jakiś starszy człowiek gniewnie wymachując rękoma pokazał mi wyjście. Chyba zboczyłem trochę z korytarzy przeznaczonych dla turystów...

Włóczę się bez celu po wiosce. Niby nic się nie dzieje, ale ciągle się na kogoś natykam.

Mała dziewczynka bawi się kołem od wozu.

Starszy pan siedzi pod ścianą i ćmi papierosa.

Ciągnięta przez osła furmanka, rytmicznie podskakuje na wysuszonych koleinach.

Po nocnych harcach wychudłe, zabiedzone psy leżą w cieniu jakby zdechłe, nieruchome.

W drewnianej konwie spracowane dłonie ugniatają zioła, które potem wysuszy się i użyje jako kadzidła.

Wyciągnięte ręce dzieci. Czy kiedy odmówi im się po raz trzeci, setny, przestaną żebrać? Mogą zacząć rzucać kamieniami.

Jakieś dziecko przystaje obok i bacznie mi się przygląda. Nie podbiega jak inne, nie ciągnie za rękaw bluzy. Podchodzę bliżej, ale ucieka. Zostawiam paczkę ciastek na drodze. Wraca, schyla się, bierze pudełko, ucieka.

Słońce ciągle niemiłosiernie praży.

Idę od cienia do cienia.

Za wioską już tylko słońce, przestrzeń, góry, niebieskie niebo i pola. Cisza i spokój.

Idę do pustelni Riphuk.

Po drodze mijam kobiety robiące w strumyku pranie, obok inne płuczą zboże. Rozrzucone na rozłożystych połaciach folii, mienią się ziarna w słońcu kasztanową barwą. Chwila rozmowy, za moment irytacja. Chcą pieniędzy. Dlatego, bo jestem biały, bo mam fajny aparat, bo mam kolorowe ciuchy i na pewno wypchane pieniędzmi kieszenie. Dlaczego więc nie chcę się podzielić? Częstuję ciastkami. Nie chcą.

Money, money, money, melodyjnie powtarzane jak refren piosenki.

Od Riphuk dzieliła mnie jeszcze co najmniej godzina forsownego marszu, kiedy na drodze zatrzymał się samochód i chińska rodzina podwoziła mnie pod samą pustelnię. Miejsce, które widać było już z wioski, jak na tybetańskie warunki, okazało się być prawdziwie turystyczną mekką. Obok parkingu bowiem znajdowała się restauracja i basen! Co prawda z wodą o wątpliwej czystości, ale widok tego rodzaju rozrywki, w tak szczególnym i jednocześnie odosobnionym miejscu, był dla mnie zgoła niezwykły.

Chodziłem dookoła z moimi nowymi znajomymi, skądinąd przemiłymi, skromnymi i bardzo sympatycznymi, aż wreszcie brzuchy zaczęły dopominać się o jedzenie. Poszliśmy do restauracji, której ceny nie były aż tak wygórowane, jak można było sądzić z wystroju wnętrza i okazałego, przyległego ogrodu. Ryż z warzywami, który zamówiłem, był przepyszny.

Rodzina, którą miałem przyjemność poznać, składała się z mamy, taty

i trojga rodzeństwa: jednej dziewczyny i dwóch chłopców. Właściwie to rozmawiałem tylko z chłopcami, bo reszta nie znała angielskiego. Przyjechali na wycieczkę z Shigatse, dokąd się niedawno przeprowadzili (nie pytałem skąd) i mieli jeszcze zamiar pojechać tego samego dnia do Gyantse. Jeden z chłopców powiedział, że byli tam jako dzieci i mają z tamtych czasów wspiane wspomnienia.

– Może chciałbyś z nami pojechać? – zaproponowali.

Może to przez upał i zbyt długi spacer albo zwyczajną niechęć do wzięcia udziału w podróży w cudzą krainę wspomnień, ale zupełnie nie miałem ochoty na powtórne zwiedzanie Gyantse, jakkolwiek urzekający i serdeczni byliby współtowarzysze wycieczki. W tamtym momencie nie skusiłbym się na spacer nawet z Natalie Portman.

Odmówiłem więc najdelikatniej i najgrzeczniej, jak potrafiłem, ale obiecałem, że odwiedzę nowych znajomych następnego dnia w Shigatse.

Wróciłem do namiotu późnym popołudniem, a do klasztoru ciągle jeszcze zjeżdżali ludzie, aby się pomodlić i porozmawiać z mnichami. Od samego rana widziałem ich bezustannie czymś zajętych, nawet kolację zjedli ze mną w pośpiechu, tylko po to, aby za moment powrócić do swoich zajęć. Wydawali się dwoić i troić, uwijając między jednym stołem a drugim, dokładając kadzidła do ołtarzy, rozmawiając z przyjezdnymi, przenosząc ciężkie wory z wozów do spichlerzy, ani na moment nie stojąc beczynnym w miejscu. Dopiero wieczorem usiedli na ganku, wyciągnęli nogi i trwali tak bez ruchu, dopóki następny przyjezdny nie zbudził ich z letargu. A może z modlitwy?

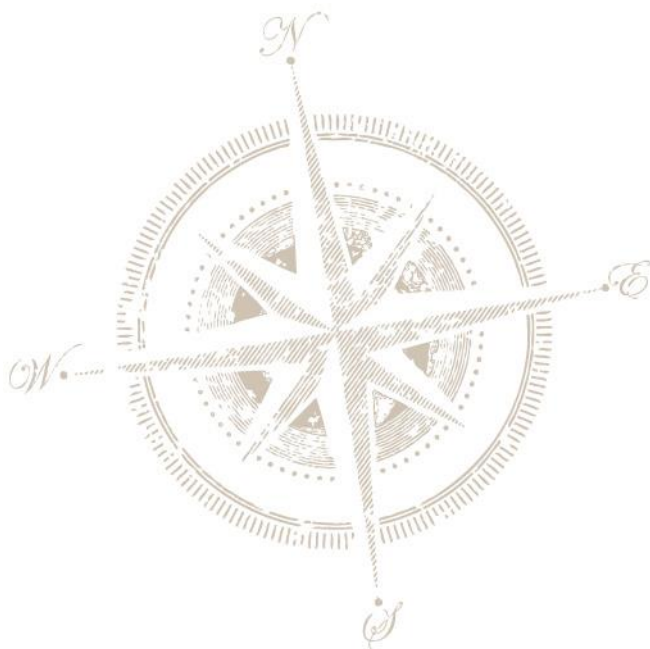
Trzy psy, które obojętne na wszystko, wylegiwały się w cieniu w ciągu dnia, leżąc plackiem pod murem świątyni, w nocy dostały nagłego przypływu skumulowanej energii, przeobrażając się w bryzgające pianą z pyska krwiożercze bestie. O nocnym wyjściu z namiotu za potrzebą mogłem zapomnieć. Przynajmniej nie na darmo wiozłem zapasową plastikową butelkę.



Włóczę się bez celu po wiosce. Niby nic się nie dzieje, ale ciągle się na kogoś natykam



Ciągnięta przez osła furmanka, rytmicznie podskakuje na wysuszonych koleinach



Rozdział 8

Prawie całą noc padał deszcz, przez co rano namiot był zupełnie mokry, nie spieszyłem się więc ze wstawaniem, aby w słońcu dobrze wysuszyć tropik. Około południa pożegnałem się z mnichami, zostawiłem parę papierków z Mao na tacy pod ołtarzem i ruszyłem do Shigatse. Zameldowałem się w hotelu Tenzin, gdzie za czterdzieści juanów dostałem łóżko w sześciuosobowej sali.

Około południa poszedłem zwiedzić Tashilumpo, macierzystą rezydencję panczenlamy – drugiej co do rangi reinkarnacji w tybetańskiej hierarchii lamów. Znajduje się w nim największa monumentalna rzeźba Tybetu – mierzący dwadzieścia sześć metrów wysokości posąg Buddy Maitrei (Buddy Przyszłości). Jego imię pochodzi z sanskryckiego *maitri*, co znaczy nieumarunkowana, uniwersalna miłość, czasem słowo to tłumaczy się jako „kochająca życzliwość”.

Nie chcieli mnie wpuścić w krótkich spodenkach! Długie obcisłe spodnie też się nie nadawały. Wszystkich przed wejściem, czy to kobiety, czy mężczyźni, prosili o założenie długich spodni. Tłumaczyłem dość długo, że przyjechałem na rowerze i poza jednymi obcisłymi kolarkami, nie mam długich spodni. Już nawet miałem zrezygnowany wracać do hotelu i spróbować pożyczyć od kogoś z turystów, ale w końcu jeden mnich stojący przy wejściu zlitował się i wpuszczono mnie do środka. W środku mnóstwo turystów, po prostu zatrzesienie. Może dlatego nie oglądało mi się zbyt komfortowo i całość nie wzbudziła we mnie tak wielkiego wrażenia, jakie spodziewałem się odnieść po niesamowitych opisach tego miejsca w przewodnikach. Bilet kosztował pięćdziesiąt pięć juanów, za fotografowanie wewnątrz należało dopłacić sto dwadzieścia pięć, a za filmowanie... tysiąc osiemset juanów.

Wróciłem do hotelu, wzięłem prysznic, przebrałem się w czyste ciuchy, zrobiłem małe pranie i późnym popołudniem ruszyłem w odwiedziny do poznanych poprzedniego dnia Chińczyków.

Miałem małe problemy ze znalezieniem adresu, choć napisany był na kartce w dwóch językach – po chińsku i tybetańsku. Wydawało mi się, że jestem na dobrej ulicy, ale za nic nie mogłem znaleźć numeru budynku. Jeden pan, którego zapytałem, wykazał się sprytem i zatrzymał taksówkę. Taksówkarz wziął ode mnie kartkę i otworzył drzwi toyoty.

– Mam nogi – mówię i klepiąc się po udach, wyrywam kartkę z rąk.

Wyraźnie obrażony, złorzecząc pod nosem, taksówkarz odjechał z kwitkiem. Niech się wypcha, myślę, przecież jestem gdzieś bardzo blisko, stoję na dobrej ulicy, trzy osoby to potwierdziły, tylko nie mogę znaleźć właściwego numeru.

Coś się jednak nie zgadzało. Numery kończyły się na osiemnastym, a na wizytówce widniało osiemdziesiąt jeden. W pewnym oddaleniu od ulicy znajdowało się ogrodzone osiedle domków jednorodzinnych. Pewnie tam mieszkają, pomyślałem. Trzeba spytać stojącego na baczność pana ciecica.

Podchodzę do stróżówki i z miną zbitego psa, podaję umundurowanemu wartownikowi wizytówkę. Cóż za pomysłowy i uprzejmy człowiek! Prawie krzyczę w myśli, widząc, jak ze swojej komórki dzwoni pod wypisany na kartce telefon.

– Za chwilę ktoś po ciebie przyjdzie – mówi.

Prawie rzucam mu się na szyję i nieomal strącam wielką czapę, z istic meksykańskim rondem.

I rzeczywiście. Za pięć minut na ulicy pojawia się jeden z poznanych wczoraj chłopców. O dziwo, nie wyszedł z wypucowanego osiedla, ale z pobliskich baraków.

– Bardzo trudno trafić. Cieszę się, że przyszedłeś – powiedział na powitanie.

– Tak, gdyby nie pan w chińskim sombrero, sam bym nie trafił – przyznałem, wskazując na wypiętego jak struna mężczyznę.

Tak jak myślałem, byliśmy może ze sto metrów od miejsca, z którego chciał mnie zabrać taksówkarz. Kluczyliśmy chwilę w bardzo wąskich uliczkach, by za moment wejść na przestronne podwórko, a z niego prosto do piętrowego domu.

Przecież to jest dom tybetański, myślę trochę zdziwiony. Wystrój wnętrza tylko mnie w tym utwierdził. Na ścianie pałac Potala, derki i ich kolorowe ubrania... Może oni są Tybetańczykami? Kiedy wprowadzili mnie do jednego z pokoi, przerobionego na małą kapliczkę z wielkim posągiem Buddy pośrodku, nie mogłem już wytrzymać i zapytałem raz jeszcze, kim właściwie są.

– Tak, jesteśmy Tybetańczykami – odpowiada z uśmiechem jeden z chłopców.

– Ale przecież wczoraj, kiedy was pytałem, to powiedziałaś, że jesteście

Chińczykami!

– No bo jesteśmy też Chińczykami – odpowiedział, jakby lekko zmieszany.

– Jak to? – próbowałem jeszcze to jakoś wyjaśnić, ale widząc, że oni są coraz bardziej zażenowani, dałem sobie spokój.

Przypomniało mi to sytuację, kiedy raz w Indiach spotkałem chłopaka na rowerze, wyglądającego na Hiszpana. Po chwili rozmowy zapytałem go, czy jest Hiszpanem, na co odpowiedział: „tak, ale właściwie to nie”. Zaryzykowałem i zapytałem, czy jest Baskiem, dodając wyuczoną kiedyś formułkę *ser modus?*, co znaczy „jak się masz?”. Wyraz jego twarzy był nie do powtórzenia. Zdziwiło go już choćby to, że ktoś w ogóle kojarzy Baskonię, ale w przypadku Tybetańczyków chyba nie chodziło o to samo? Że na pytanie „czy jesteście Chińczykami?” (bo takie właśnie zadałem), najwłaściwszą odpowiedzią będzie „i tak i nie...”

Tak czy inaczej, znów byłem w gościnie u tybetańskiej rodziny. Do tego bogatej. Niewielu Tybetańczyków jeździ terenowym samochodem, właściwie powinienem napisać, jakimkolwiek samochodem, a kolejnym przejawem zamożności była pokazana mi kaplica.

Rodzice nie wrócili jeszcze z pracy, a w pokoju, wystrojonym figurkami Buddów, bodhisattwów (oświecicieli, którzy zrezygnowali z nirwany, aby pomagać innym w osiągnięciu stanu wyzwolenia w powtórnych narodzinach) i obrazami t’ang-ka, siedział jeszcze dziadek i siostra. Ta ostatnia, niestety też nieznaną angielskiego, przyniosła talerz zimnych, półsurowych ziemniaków i kiść winogron.

– Może by je trochę podgrzać? – zaproponowałem, wskazując na ziemniaki.

Po minach widziałem, że nie do końca zrozumieli, o co mi chodzi.

– Niedobre? Chcesz coś innego?

– Nie, dobre – mówię. – Ale może moglibyśmy je usmażyć? Ugotować? Patelnia. Ogień. Gorące. *Tsabo* – staram się wytłumaczyć.

No, załapali. Od razu ochoczo zabrali się do pomocy. Przynieśli wielką patelnię, rozpalili w piecu i za moment zajadałem przepyszne, ociekające tłuszczem, smażone ziemniaki. Do tego jeszcze dziadek poczęstował mnie trunkiem, od którego zupełnie rozwiązał mi się język. Chłopcy razem z siostrą oponowali, kiedy starszy pan postawił na stole pękaty gąsiorek, chyba przez wzgląd na jego zdrowie. Spojrzałem na dziadka i pomyślałem, że pewnie nieczęsto trafia mu się okazja do wypicia, więc czemu mam odbierać mu odrobinę przyjemności?

Piliśmy ze szklanek, trunek smakował trochę jak zepsuty kompot i lekko wchodził w głowę. Chłopcy zadawali mnóstwo pytań. Próbowałem opowiedzieć o Polsce, o sobie, nie wiem, jak dużo z tego zrozumieli, ale przynajmniej wyglądali na takich, co się dobrze bawią. Ja też czułem się coraz bardziej rozluźniony, ale kiedy zaczęło mi się wydawać, że ze ściany mruga do mnie rdzawoczerwony Amitajus, a tysiąc ramion Awalokiteśwary zbliża się coraz bardziej do stołu,

stwierdziłem, że czas wrócić do domu.

Całe szczęście, że jeden z chłopców odprowadził mnie do hotelu, bo bałem się, że bóstwa dopadną mnie po drodze.

Przed dziesiątą, tak jak zapowiedziała w piątek, pojawiła się pani Dicki z pozwoleniem na podróż po Tybecie (*Aliens' Travel Permit*). Na czterech stronach małego dokumentu wypisane były moje dane i miejsca, które zamierzałem odwiedzić. „Książeczka” kosztowała sto pięćdziesiąt juanów, trzykrotnie więcej, niż według informacji z przewodnika. Cóż, z czegoś trzeba żyć, pomyślałem, patrząc na stojącego przed hotelem białego jeepa.

Wyszedłem przed hotel i zabrałem się za przygotowanie roweru do jazdy. Należało nasmarować łańcuch, sprawdzić bagażnik, dopompować powietrze w kołach, dokręcić poluzowane śrubki. Czekały mnie kolejne ciężkie podjazdy i kilka ponad pięciotysięcznych przełęczy po drodze. W sumie, to nie mogłem się już ich doczekać...

Zajęty krzątaniem się wokół roweru, nie zauważyłem, że ktoś z uwagą mi się przygląda. Pani Dicki. Kiedy zobaczyła, że mam rower, doradziła, abym kupił specjalny *permit* dla rowerzystów, który kosztuje jedyne trzysta juanów. Podziękowałem grzecznie, choć Dicki powtarzała, że bez tego specjalnego pozwolenia nie przepuszczą mnie na punktach kontrolnych. Z grzeczności przytakiwałem i pozwalałem jej się wygadać, ale nowego papierka nie kupiłem. I jak się miało później okazać, była to słuszna decyzja. Miałem w ręku *Aliens' Travel Permit*, dokument, który według urzędników z Lhasy był nie do zdobycia, a tu proszę, za sto pięćdziesiąt juanów pani Dicki uszczęśliwia samotnych turystów.

Problem był tylko jeden – pozwolenie było ważne zaledwie przez dziesięć dni – w sam raz, aby dojechać do bazy pod Everestem, ale co dalej? Nic to, pomyślałem, będę się później martwić.

Droga za miastem, w pustynnej niemal scenerii, wznosiła się jednostajnie przez kilkadziesiąt kilometrów, aż do przełęczy Tra. Za przełęczą czekał mnie krótki, przyjemny zjazd, ale suchy krajobraz i wypalona ziemia ciągnęły się aż po horyzont. W wiosce Chemo zrobiłem sobie przerwę na obiad – w chińskiej restauracji zamówiłem miskę ryżu z jajkiem i pomidorem, do tego rosół z makaronem. Na drogę zabrałem jeszcze jedną porcję ryżu – owinięty w worek i zamknięty w menażce posiłek, będzie jeszcze ciepły wieczorem.

Na przełęcz Laga tego dnia nie udało mi się dotrzeć. Zatrzymałem się przy obozowisku robotników drogowych.

– *Tashi dele!* Czy mogę tutaj rozbić namiot i zostać na noc? – pytam pierwszego spotkanego pracownika.

Mężczyzna krzyknął coś w stronę pobliskich baraków i za moment zauważyłem zbliżające się do nas dwie postacie. Podeszli bliżej, pomacali rower

i sakwy, pomruczeli coś do siebie, na koniec roześmieli się głośno i pokleпали mnie po plecach.

Ponieważ nie zrozumiałem rytuału, powtórzyłem więc pytanie, czy mogę u nich przenocować. Ich obozowisko znajdowało się w małej niecce, było dobrze osłonięte od wiatru i stanowiło doskonałe miejsce na rozbicie namiotu. Oczywiście, mogłem jeszcze podjechać trochę bliżej w stronę przełęczy, ale za daleko i tak bym już tego dnia nie dojechał, poza tym mocno wiało i zanosilo się na silną burzę.

Mężczyźni dali mi do zrozumienia, że mogę zostać, nawet pomagali rozstawić namiot. Na kolację zjadłem zakupioną jeszcze w Chemo porcję ryżu, do której dodałem rybę z puszki. Siedziałem przed namiotem na rozłożonej karimacie, czekając na, wydawałoby się, nieuniknione odwiedziny, upierdliwe macanki rzeczy i męczące w swojej przewidywalności pytania, ale nic takiego się nie wydarzyło. Robotnicy w ogóle się mną nie interesowali. Tak jakby co wieczór nocował obok jakiś rowerzysta. W nocy nad obozowiskiem przeszła potężna ulewa z gradobiciem, ale tropik wytrzymał.



Rozdział 9

Kiedy wstałem, większość robotników wyjechała już do pracy. Sprawnie i szybko spakowałem rzeczy i ruszyłem w stronę przełęczy Lagpa.

Po kilku kilometrach mijałem jakieś zabudowania, które początkowo wzięłem za wioskę Jungbe. Jechałem na czczo od rana i dobrze byłoby coś wreszcie zjeść, pomyślałem.

Przy drodze dostrzegłem restaurację. Z przyjemnością skorzystam, pomyślałem. Zamówiłem „wegetariański” rosół z makaronem, ale i tak dostałem z mięsem. Cóż, jak to często bywa, wersja wegetariańska polega na oddzieleniu mięsa od reszty potrawy, a w tym wypadku należało je tylko z zupy wyłowić i zostawić sam makaron. Zaspokoiwszy głód, zostałem jeszcze w przytulnym wnętrzu dobrą godzinę, popijając kawę z mlekiem i uzupełniając notatki z ostatnich dni.

Myślałem o drodze, którą przebyłem i o tej, która była jeszcze przede mną. Dziwił mnie brak rowerzystów i stosunkowo niewielu turystów, których spotykałem po drodze. Pomijając wysokość, na której się znajdowałem i niewielkie trudności z oddychaniem podczas większego wysiłku, to trasa z Lhasy do Katmandu jest wymarzona dla osób lubiących rowerowe podróże i wcale nie tak wymagająca, jak myślałem. Do tego za rok, albo dwa, większa jej część pewnie będzie wyłożona równiutkim asfaltem, co sprawi, że będzie tu można komfortowo jechać choćby i kolarzówką.

Gdybym się bardzo uparł, to teoretycznie każdego dnia byłbym w stanie dojechać do jakiejś wioski i nocować pod dachem, przynajmniej jak na razie, ale z informacji z przewodnika wynikało, że do samego Nepalu po drodze są jakieś tanie hoteliki. Oczywiście, wysiłek włożony w jazdę w Tybecie jest niewspółmierny do wycieczki po Mazurach, ale nie aż tak ogromny, jak początkowo myślałem. Wystarczy trochę w głowie przestawić.

Za przełęczą Lagpa zatrzymałem się na posiłek. W garnku gotowała się już woda, kiedy na drodze zobaczyłem zbliżającego się w moją stronę rowerzystę. Młody Tybetańczyk, może dziesięcioletni, zjeżdżał z przełęczą na przebitej dętce. Żeliwna pompka, którą wiozł, ważyła przynajmniej tyle, co jedna moja sakwa z zawartością. Hmm, czyżby mnie zobaczył z góry i chciał zmienić dętkę przy mnie, czy może nie miał dętki i pomyślał, że dostanie ode mnie, czy może tylko chciał, abym mu pomógł? Dętki nie miał. Na średnicę kół jego *Pigeona* i tak moje na nic by się zdały, pomogłem więc znaleźć dziurę i zalepić ją łątką. Nie wiedziałem, że pomagając chłopcu, dostąpiłem takiego zaszczytu, za który powinienem był zapłacić. Kiedy bowiem chłopiec umocował swoją wielką pompkę na bagażniku, wyciągnął rękę i poprosił o pieniądze! Zakreślił palcem charakterystyczny znak na dłoni (*money, money, money*), na co ja zakreśliłem charakterystyczny znak na czole.



Młodzi mnisi z klasztoru w Sakji



Sakja. Udzieliła mi się atmosfera czegoś nieistniejącego, tajemniczego

– *Goodbye*, młody człowieku – rzucam na pożegnanie i mknę w dół do dolinki. Długi, wspaniały zjazd prawie do samej wioski Renda przywrócił mi wiarę w człowieka.

W wiosce skręciłem na południe z zamiarem odwiedzenia klasztoru w Sakji. Według informacji z przewodnika i Internetu, po drodze powinienem się natknąć na punkt kontrolny i w żadnym wypadku nie próbować zapuszczać się w te okolice bez odpowiednich dokumentów. Zobaczymy. Mam pozwolenie, cieszę się w duchu i niestraszne mi żadne patrole.

Dwadzieścia pięć kilometrów dzielące mnie od wioski pokonuję szybko i późnym popołudniem docieram do Sakji. Po drodze nie natknąłem się na żaden punkt kontrolny, nawet ślad po nim nie został. Może akurat tego dnia żołnierze zrobili sobie wolne? Tak czy inaczej byłem w wiosce i mogłem spokojnie zjeść późny obiad, a następnie iść zwiedzić klasztor.

Świątynia prezentowała się imponująco. Zachwycała rozmachem architektonicznym, przestrzenią i atmosferą panującą w środku. Ogromne posągi Buddów patrzące z góry od kilku stuleci, w przepychu szat i bogactwie zdobień, niezrozumiały dla mnie świat tajemniczych istot z ducha tantryzmu. Jako jedynemu turyście w całym kompleksie, dobrze mi się spacerowało po tym wyciszonym, pozostającym w półmroku, przesiąkniętym wonią aromatycznych kadzideł, prawdziwie magicznym miejscu. Usiadłem przy jednym z posągów i wydawało mi się, jakbym się cofnął w czasie. Jakbym się rozrósł wewnątrz, poszerzył. Jak

u Sandora Maraia: „Świat dzieje się także we mnie, nie tylko w czasie i przestrzeni. Ja też jestem przestrzenią⁸”. Udzieliła mi się atmosfera czegoś nieistniejącego, tajemniczego. Cały świat zewnętrzny wydawał mi się zupełnie odrealniony, nieistniejący, sztuczny, ulotny i całkowicie pozbawiony znaczenia.

Naprawdę w tamtym momencie nie potrzebowałem niczego więcej.

Wychodzę na dziedziniec jakby rażony obuchem, oszołomiony światłem i krzykiem. Przyjechała wycieczka... Wysypali się z autokaru i zawłaszczyli dla siebie cały dziedziniec. Mnisi akurat pogrążeni byli w modlitwie, ale co tam! Trzaskają migawki aparatów, jeszcze tego pstryknę, tak śmiesznie się kiwa, tamten coś mamrocze, przydałaby się kamera.

– *John, John*, chodź tu szybko i sfilmuj tego gościa i tamtego w tej śmiesznej czapie! – kobiece głos odbija się od wiekowych ścian.

– Ok, stań obok, to i ciebie sfilmuję! – poprawiwszy fryzurę, w paradnej pozie kobieta ustawia się za modlącym się mnichem...

A może cała ta modlitwa jest na pokaz? Może to dla tej wycieczki właśnie mnisi wylegli na zewnątrz i rozpoczęli rytuał?

A może właśnie tak ma to wyglądać? My wlepiamy im bez pytania w twarze obiektywy, wchodzimy niepytani, dotykamy, tak jakby udział w zagranicznej wycieczce był wystarczającym usprawiedliwieniem naszego nieodpowiedniego zachowania. Na własnym podwórku raczej się tak nie zachowujemy. Czy wetknęlibyśmy bez pytania sąsiadowi aparat w twarz? A za granicą raczej nie widzimy w tym niczego zdrożnego. Ostatecznie każdą ekstrawagancję i popełnione *faux pas* można zwalić na ignorancję i niewiedzę. Zresztą oni też dotykają, macają, wchodzą do namiotu, biorą. Innego albo się boimy, albo próbujemy zawłaszczyć.

Nagle poczułem się tam bardzo obco. Na placu przed buddyjską świątynią jakby ubyłoby człowieka. Znów nieobecny, ale inaczej. Musiałem wyjechać z wioski.

Skierowałem się w stronę głównej drogi i przejechałem jeszcze około dwadzieścia kilometrów. Zatrzymałem się niedaleko niewielkiej grupy zabudowań. Jakieś dziecko wypatrzyło mnie zza glinianego muru. Standard. Pisk, krzyk i za moment byłem otoczony przez gromadę przekrzykujących się dzieciaków. Poza niedogodnością bycia obmacywanym i poszturchiwanym, czy też koniecznością udawania, że nie rozumiem zwrotu *money, money, money*, napastliwe, zaborcze spotkania z dziećmi miały też swoją dobrą stronę. Nie musiałem się wysilać i krzyczeć w stronę zabudowań, ba, nawet schodzić z roweru, aby sprawdzić, czy ktoś w nich mieszka. Dzieci wzniewały zazwyczaj taki harmider, że po chwili ktoś wychodził sprawdzić, przez kogo jego latorośle są właśnie obdzierane ze skóry.

Nie inaczej było i teraz. Kiedy odpierałem ataki małej, wyjątkowo napastliwej zgrai, zza ogrodzenia wyszła staruszka. Niestety, nie dała mi szansy na wysłowienie się i przestraszona zniknęła za ogrodzeniem. Trudno, pomyślałem i już miałem nacisnąć na pedały i uwolnić się od małych łobuzów, gdy furtka przy

bramie otworzyła się znowu i w futrynie znów pojawiła się staruszka, ale tym razem w towarzystwie koleżanki. Druga, o niebo odważniejsza, zbliżyła się do intruza. W mig pojęła, o co pytam. Skinęła, abym poszedł za nią. Przez wysoki próg i wąskie przejście przecisnąłem rower z sakwami za ogrodzenie. Uff, dzieci zostały po drugiej stronie.

Kobieta pokazała na migi, żebym zostawił rzeczy na dole, a z nią poszedł na górę. Zabrałem najpotrzebniejsze rzeczy i po dwóch rzędach stromych schodów wdrapaliśmy się do jej chałupy. Przed wejściem było gliniane klepisko o wymiarach w sam raz dla mojego namiotu. Potakujące kiwanie głową odczytałem jako przyzwolenie i za moment miejsce na nocleg było gotowe. Jeszcze tylko dowiem się, gdzie kibelek i wskakuję do śpiwora. To był długi, męczący dzień i jedyne, o czym marzyłem, to schować się w swojej „dziupli”. Na bliższe zapoznanie się z sympatyczną staruszką i ewentualnymi domownikami przyjdzie jeszcze czas jutro, choć z drugiej strony, gdyby z kimś mieszkała, to zapewne już by tu wszyscy byli, pomyślałem.

Próbowałem zapytać, czy kobieta mieszka sama, ale ona zrozumiała, że jestem głodny i że chcę jeść. Musiałem więc kolejną dobrą chwilę poświęcić na przekonanie jej, że na dziś już dosyć *campy*, *campa* jutro, dziś *no campa*, pukając się znacząco po brzuchu.

Skorzystałem ze sławojki, wróciłem do namiotu, zrzuciłem ubrania i zagrzebałem się w śpiworze. Prawie już zasypiałem, kiedy usłyszałem, że ktoś powoli gramolił się w górę. Za chwilę, dosłownie nad głową, usłyszałem nawołujący, męski głos. No to mamy odwiedzin, pomyślałem, albo wrócił ktoś z domowników. Zgrzytnęły zawiasy, usłyszałem kobiecy szept, jeszcze kilka zdań, znowu szcęk i skrzypnięcie metalu, dwa szurnięcia i cisza. Nasłuchiwałem jeszcze trochę, jak to zazwyczaj człowiek przysłuchuje się przed snem w obcym miejscu. Kiedy zasypia się samemu w namiocie, każdy hałas na zewnątrz urasta do monstualnych rozmiarów, ale przecież byłem w środku wioski, jedyne duchy, jakich mogłem się obawiać, były tylko we mnie.

Obudził mnie dziwny dźwięk, jakby stukanie w menażkę. Rozsunąłem suwak i wystawiłem głowę z namiotu. Nad sobą ujrzałem rozpromienioną twarz gospodyni

– *Tashi dele!*

– *Tashi dele!* – odpowiadam i wychodzę na zewnątrz.

Z chałupy wyszedł też mężczyzna.

– Syn? – pytam.

– Syn – kiwa potakująco kobieta.

Na szczęście byłem już w bieliźnie. Wyciągnąłem na gliniane podwórze karimatę i trochę rzeczy ze środka. Zanim założyłem spodnie, moje zarośnięte, białe nogi zostały dokładnie obmacane i wyśmiane przez oboje domowników.

Chyba za dużo włosów.

– No przykro mi, dziś depilowałem się nie będę – uśmiecham się przygłupio i zakładam spodnie. Zanurkowałem jeszcze na chwilę do namiotu i wyjąłem na zewnątrz resztę rzeczy, aby spakować sakwy. To nie był dobry pomysł. Od razu zauważyłem, że gospodarzowi wpadała w oko pomarańczowa kurtka. Wziął ją w dłonie, przytknął do piersi i powtarzał *gift, gift, gift*. Najpierw udawałem, że nie rozumiem, ale do prośby dołączyła jeszcze kobieta i oboje powtarzali „prezent, prezent, prezent”.

No tak, gdybym wiozł jeszcze kilka, to chętnie bym im tę kurtkę zostawił. Kręciłem głową, tłumacząc jak mogłem najłagodniej, że to moja jedyna kurtka i będzie mi potrzebna na dalszą jazdę i nie mogę jej tak po prostu zostawić... Z jednej strony było trochę głupio i wstyd odmawiać, bo przecież dzięki nim miałem bezpieczny nocleg, ale z drugiej strony moje rozdrażnienie ciągle wzrastało. Czułem się bardzo niezręcznie, jak ktoś, komu okazano pomoc, a nie chce się odwdziaczyć. Oczywiście zamierzałem zapłacić za gościnę, ale jakież było moje zdziwienie, kiedy mężczyzna podał mi kartkę z wyraźnie napisaną sumą, jaką mam uiścić za nocleg. Była to zbyt wygórowana suma, mówiąc delikatnie. Za pieniądze, jakie próbował wyprosić ode mnie, mógłbym spędzić tydzień w ekskluzywnym hotelu, a nie jeden nocleg, we własnym namiocie, obok sławojki. Zostawiłem i tak pokazną sumę i mocno skonsternowany zacząłem się zbierać.

Nie miałem już ochoty ani na śniadanie, na które zostałem zaproszony, ani na dalsze bezskuteczne próby rozmowy z gospodarzami.

Zniosłem jedną sakwę i namiot, potem wróciłem po resztę. Stałem jak wryty. Kiedy na dole mocowałem rzeczy do bagażnika roweru, gospodarz otworzył pozostałą sakwę, wyjął pomarańczową kurtkę i założył ją na siebie, powtarzając z uśmiechem *gift, gift, gift!* Tego już było za wiele! Co oni sobie myślą? Że w każdej wiosce będę oddawać część garderoby? Niedługo jechałbym w samej bieliźnie.

Bez pożegnania zszedłem do roweru, zamocowałem resztę rzeczy i wyszedłem na ulicę. Tam czekała już na mnie banda urwisów, wołając wesoło *money, money, money*. Tym razem otoczyli mnie dookoła i widać było, że łatwo mnie nie puszcza. Doprowadzony do ostateczności, wydarłem się na gromadkę z całej siły, ciskając polskimi przekleństwami. Chyba wyglądałem poważnie, bo na moment zaniemówiły i nieznacznie odstąpiły od roweru. To wystarczyło. Wykorzystując ich chwilowe przerażenie pomieszane ze zdziwieniem, wskoczyłem na rower i pomknąłem w dół. Droga prowadziła mocno z górki, więc szybko się rozpędziłem. Całe szczęście – puk, puk – tylko dwa kamienie stuknęły w sakwy.



Rozdział 10

Bez kolejnych niespodzianek, po godzinie jazdy dotarłem do Lhatse. Zamierzałem zatrzymać się tam na kilka godzin, zjeść obiad i zrobić zakupy na dalszą drogę. Podczas spaceru po maleńkim mieście, poznałem Niemkę Karinę i Chińczyka Jamesa. Jadą na rowerach do Nepalu. To znaczy jadą wtedy, kiedy jest ładna pogoda, dlatego większą część trasy z Lhasy pokonali jeepami albo autobusem.

Zainteresowała mnie ta ostatnia opcja – zawsze jakaś alternatywa w przypadku nieoczekiwanych sytuacji, typu kradzież roweru, poważnej choroby, złamania, etc.

– Możemy jeździć autobusem, bo James kupuje bilety, ale zdarzyło się raz, w Shigatse, że nie chcieli nas wpuścić, pomimo tego że mieliśmy bilety, dlatego teraz jedziemy jeepem – dowiedziałem się od Kariny.

Z Lhatse zamierzali jechać rowerami, ale dopiero następnego dnia. Chwilowo byli zbyt zmęczeni podróżą samochodem i potrzebowali porządnego odpoczynku.

– Może też tutaj zanocujesz i pojedziemy dalej razem? – zaproponowała dziewczyna.

Propozycja była kusząca, ale grzecznie odmówiłem.

Karina była w drodze już od kilku miesięcy. Ruszyła sama z Wietnamu i pewnie jechałaby dalej bez partnera, gdyby nie nieprzyjemny wieczór na wschód od Lhasy. Nieoczekiwana, nocna wizyta młodych Tybetańczyków i konsekwencje z nią związane sprawiły, że Karina postanowiła znaleźć kompana do dalszej podróży. W Lhasie, w hotelu, w którym mieszkała, namówiła Jamesa, aby kupił sobie rower i pojechał razem z nią do Nepalu. Chłopak początkowo się trochę wzbraniał, bo nigdy wcześniej rowerem zbyt daleko nie jeździł, ale w końcu dał się namówić. Dziewczyna tłumaczyła, że podjadą trochę autobusem albo jeepem, później trochę popedałużą, a potem to już będzie z górki.

Za równowartość kilkuset złotych James kupił sobie „supermarketowy” rower, do tego sakwy i kask. Odkąd Karina jedzie z Jamesem, ludzie myślą, że jedzie z mężem i nie wołają już za nią: *Hello, I love you*.

– No i czuję się bezpieczniej, do tego James ma niesamowite poczucie humoru i robi za gosposię – dodała, wskazując na wracającego z siatami zakupów chłopaka.

Karina wjechała do Tybetu od wschodniej strony, z Chengdu. Nie miała żadnych pozwoleń na wjazd i nikt o nie po drodze nie prosił. Mijała kilka punktów kontrolnych, ale żołnierze sprawdzili tylko paszport i wizę. Zdziwiła się, jak pokazałem jej swój *Aliens' Travel Permit*.

– Tak, czytałam o nim w przewodniku, ale James powiedział, żeby nie zawracać sobie tym głowy, więc jedziemy bez pozwoleń. Mówił, że są potrzebne, gdybyśmy chcieli gdzieś odbić od „Autostrady Przyjaźni”, ale na samą drogę do Nepalu raczej nie – dodała.

Rzeczywistość, jak na razie, potwierdzała te słowa.

Pożegnałem się z miłą parą i około siedemnastej ruszyłem w stronę przełęczy Gyatso. Jakies pięć kilometrów za miastem droga rozchodziła się w dwie strony. Na lewo prowadziła do Nepalu, na prawo, do Kaszgaru. Spojrzałem na zakurzony trakt z rozrzewnieniem. Ile myśli i skojarzeń od razu się nasunęło. Gdzieś tam, tysiąc kilometrów dalej, leży góra Kailasz – centrum wszechświata.

Zaraz za rozjazdem, przy samej drodze stała licha budka, obok której, na rozkładanych krzesłach, opalali się dwaj żołnierze. *Checkpoint*, punkt kontrolny. Zaraz się okaże, czy jest mi potrzebne specjalne pozwolenie na jazdę rowerem, o którym mówiła Dicki.

Podjechałem bliżej i rzuciłem grzeczne „dzień dobry”. Mężczyźni podnieśli głowy i machnęli ospale ręką, dając mi do zrozumienia, abym jechał dalej i nie przeszkadzał im w obowiązkach. Nawet nie odwzajemnili uśmiechu.

Cóż za drobiazgowa i wnikliwa kontrola, pomyślałem. Naprawdę, istni pedanci, prawdziwi perfekcjoniści.

Nawierzchnia drogi była utwardzona, miejscami był już wylany świeży asfalt, więc pomimo stromizny i dużej wysokości, podjeżdżało się całkiem znośnie. Mijałem kilkakrotnie wyludnione obozowiska robotników drogowych, zapewne jeszcze nie wrócili z pracy. Deszcz, który zaczął siąpić jakiś czas temu, coraz bardziej przybierał na sile i w końcu postanowiłem schować się w jednym z namiotów robotników i przeczekać niepogodę, albo nawet i zostać już na noc.

Zbliżałem się do kolejnego obozu. Podszedłem do pierwszego budynku i oparłem rower o blaszaną ścianę. Ze środka wyraźnie dochodziły jakieś głosy. To nawet i lepiej, pomyślałem i wszedłem do środka.

Znajdujący się wewnątrz mężczyźni, nawet nie wydawali się być bardzo zdziwieni. Możliwe, że mijałem ich gdzieś po drodze. Przyjęli mnie serdecznie

i ciepło, częstując herbatą i *campą*. Ja odwzajemniłem się ciastkami. Zniknęły błyskawicznie.

– Ciastko *no good* – mieszaniną chińskiego i angielskiego tłumaczył mi jeden z mężczyzn.

– Na ciastkach daleko nie dojedziesz, nie będziesz miał siły, ale *campą*! *Campą* to co innego, daje straszną siłę! – dodał, lepiąc mączną kulkę w miseczce.

Deszcz w końcu zelżał, mżył jeszcze lekki kapuśniaczek. Chociaż na niebie dookoła gromadziły się ciągle ciężkie, ciemne chmury, zdecydowałem się jednak ruszyć dalej. Na drogę dostałem duży woreczek *campy*.

– Pamiętaj, jedz *campę*! Co najmniej dwa razy dziennie! – usłyszałem jeszcze na pożegnanie.

Tego dnia już nie dojechałem do przełęczy. Rozstawiłem namiot na wysokości około 4600 m n.p.m., przy wartko płynącym strumieniu. Najczarowniejsza kołysanka świata – szmer górskiego potoku.

Zasypiałem spokojnie. W głowie, jak na ekranie, przesuwaly się slajdy z utrwalonymi fragmentami kończącego się dnia. Wycinki z przypadkowych spotkań, strzępy odbytych rozmów. Karina, James, strażnicy przy punkcie kontrolnym, Chińczycy w blaszanej chacie. Ich słowa, twarze, zapisane na chwilę w labilnej i zawodnej puszcze wspomnień. Na jak długo? Dzień? Dwa? Miesiąc?

Zasłona nocy przesłoniła melancholijne obrazy, przepłoszyła oswiałe myśli i zastąpiła je rozmytymi pejzażami sennych marzeń.

Na śniadanie zjadłem *campę*, z dodatkiem wody ze strumienia. Mączna papka wyszła trochę mdła, ale po dodaniu cukru dała się zjeść.

Od samego rana wiał bardzo silny wiatr, a im bardziej zbliżałem się do przełęczy, tym mocniej przybierał na sile. Ostatnie kilka kilometrów jechałem po otwartym płaskowyżu, gdzie dmuchało w twarz tak silnie, że chwilami musiałem schodzić z roweru, bo wiatr niemalże powalał mnie na ziemię.

Na przełęczy czekała niespodzianka. Zatrzymałem się za osłoniętym od wiatru wielkim ostańcem, by po chwili zostać oblepionym przez bandę małych, zziębniętych umorusańców. Co oni tam robili? Przecież po drodze nie zauważyłem żadnej wioski, a do następnej miejscowości miałem, według mapy i przewodnika, około pięćdziesięciu kilometrów drogi. Maluchy nie próżnowały, *money, money, money*, chyba już gdzieś to słyszałem, uściski, podszczypywanie, kąsanie, krzywych zębów wystawianie, totalne zbratanie, jakbyśmy znali się od lat.

W końcu uległem i wyjąłem dwa opakowania ciastek i batoników, ale to jeszcze bardziej rozbudziło ich żądzę i ciekawość. Odpinanie sakw nie było dobrym pomysłem, bo z ich wetkniętymi rękoma trudniej je było zapiąć. Chcąc nie chcąc, zmieniłem ton. Stałem się szorstki i grubiański, trochę pokrzyczałem, udając wielce wzburzonego, co poniekąd było prawdą, ale tylko trochę, po prostu byłem zmęczony i chciałem jak najszybciej zjechać z przełęczy, bo było zimno, wiało

i padało.

Jeden z urwisów miał zakrwawiony palec. Nie wyglądało to dobrze. Palec przecięty był wpół i wyglądał, jakby miał zaraz odpaść. Wyjąłem plaster i opatrzyłem ranę najlepiej, jak potrafiłem. W tym czasie reszta wchodziła na rower i próbowała na nim odjechać. Dzieci zaczęły się robić coraz bardziej nieznośne, musiałem przybrać naprawdę groźną minę i rzucić parę bluźnierstw. Na moment zapanował względny spokój. Odjechałem kawałek, aby zrobić im z oddali zdjęcie, ale znów zaczęły do mnie biec. Ech, pomyślałem, droższy mi teraz ten nareszcie odzyskany spokój, niż kolejne roweru wyrywanie i przekleństw rzucanie. Darowałem więc sobie zdjęcia, pomachałem wesołej bandzie na pożegnanie i ruszyłem w dół.

Pac, pac, pac – kilka kamieni odbiło się od sakw. Pewnie batoniki nie smakowały...

Z wysokości ponad 5000 m n.p.m. oczekiwałem jakiegoś szaleńczego, karkołomnego zjazdu. Niestety, spadek był niewielki, mogłem się rozpędzić do zaledwie trzydziestu kilometrów na godzinę, do tego musiałem uważać na wyboje. Często mijalem robotników przy drodze, ale większość zupełnie mnie ignorowała i nie odpowiadała na pozdrowienia. Może nie powinienem się dziwić... Na tej wysokości, w tym zabójczym klimacie, nosić ciężkie kamienie, tłuc w nie młotem, rękoma przetrzucać grudy zmarzniętej ziemi, kopać doły, wozić taczki...

Widziałem też pracujące dzieci. Te wyciągnięte, spracowane małe dłonie... Te zmęczone, proszące spojrzenia, kiedy przejeżdżałem... Okrucz świata, fragment rzeczywistości, która pewnie nigdy nie będzie ich udziałem. Tak, za kilka tygodni w prosty sposób wrócę do swojego świata, a dziecko z zapadłej tybetańskiej wsi, będzie marzło dalej, ubabrane w błocie, wysoko w górach łupiąc wielkie głazy.

Zjeżdżałem coraz niżej do doliny, byle dalej od ponurych obrazów. Szare niebo współgrało z kakofonią natrętnych myśli, a siąpiący, zacinający deszcz malował na okularach akwarelę smutku.

Choć miałem na sobie pięć warstw ciepłych ubrań, zjazd z przełęczy okropnie mnie wyziębził. Przemarznięty do szpiku kości dojechałem wreszcie do Baipy i od razu skierowałem do hotelu. W Szahwan Good Luch Restaurant Hotel (zachowałem oryginalną pisownię) dostałem łóżko w pięcioosobowej sali. Na prysznic liczyć nie mogłem, ale na szczęście w łazience była ciepła woda. Można się umyć w misce. W pokoju były jeszcze dwie Tybetanki, które na wszystkie moje pytania odpowiadały chichotem i Amerykanin, który po południu wyniósł się do sąsiedniego hotelu.

– Mają prysznic, *man*, i jest cieplej, *man*, i niewiele drożej, *man*, idziesz ze mną, *man*?

– No, *man*, zostaję, *man*, wystarczy mi miska, *man* – ze skrzywionej miny Amerykanina wywnioskowałem, że uznał mnie za przedstawiciela innego gatunku.

Zapewne też ugruntowałem w nim przekonanie, że w Polsce biegają niedźwiedzie, a ludzie żyją w jaskiniach i zapuszczają brud na zimę, żeby im było ciepiej.

Zagrzebany pod trzema kołdrami, powoli odmarzałem. Do wieczora mój nastrój zdecydowanie się poprawił, nawet Tybetanki z pokoju przestały chichotać i w milczeniu szykowały się do snu.

Mycie odłożyłem na dzień następny, zresztą, nie czułem się specjalnie brudny. Zjadłem kolację i wróciłem do pokoju. Dziewczyny już spały, pokrzątałem się jeszcze cicho po pokoju i poszedłem do łóżka.

Prawie zasypiałem, kiedy drzwi gwałtownie się otworzyły i do środka weszli trzej starsi panowie w towarzystwie właściciela hotelu. Byli to kierowcy ciężarówek, z którymi godzinę wcześniej jadłem kolację w hotelowej „restauracji”. Zapalili światło, usiedli na dwóch wolnych pryczach i zaczęli się zachowywać tak, jakby mnie i Tybetanek w ogóle nie było w pokoju. Prychali, charczeli, pluli, rozmawiając tak głośno, jakby wszyscy naraz mieli kłopoty ze słuchem. Ta rozmowa zresztą bardziej przypominała kłótnię, niż normalną konwersację, ale do tego już zdołałem w Chinach przywyknąć. Naprawdę nie wiem, kiedy się kłóca, a kiedy nie.

Uniosłem głowę i powiedziałem „dzień dobry”. Odburknęli coś pod nosem i wrócili do „rozmowy”. Tybetanki nawet nie drgnęły. Może spały z zatyczkami w uszach?

Właściciel wyszedł z pokoju, a mężczyźni zaczęli się rozbierać. No, wreszcie idą spać, pomyślałem. Ale w pokoju są tylko dwa łóżka, a ich jest trzech, zamierzają spać we dwóch na jednym?

Niestety, zdjęli tylko marynarki i swetry. Do pokoju wszedł gospodarz z dwoma termosami. Kierowcy wyjęli z torby zupki instant, zalali doniesioną wodą i zaczęli chlewną ucztę ciamkając, siorbiąc, bekając, charcząc i co jakiś czas, efektownie spluwając na podłogę. Na deser zapalili papierosy, zamknąwszy uprzednio okna. Całe przedstawienie trwało dobrą godzinę. W tym czasie byłem głęboko pogrążony w ćwiczeniu cierpliwości. Do Polski chyba wrócę jako jogin.

Rano kolejna kanonada dźwięków. Tym razem zaczęły Tybetanki. Było jeszcze zupełnie ciemno, kiedy wstały, zapaliły światło i zaczęły szczebiotać, jak przysłowiowe kumoszki na bazarze. Może chciały się odwdzińczyć kierowcom pięknym za nadobne za poprzedni wieczór, ale przecież jeszcze ja tam byłem. Po kilku minutach Chińczycy też wstali, zaczynając dzień od papierosa, plucia i głośnej kłótni. Leżąc z głową zwróconą do ściany, niewyspany, miałem ochotę wstać i wszystkim zrobić krzywdę.

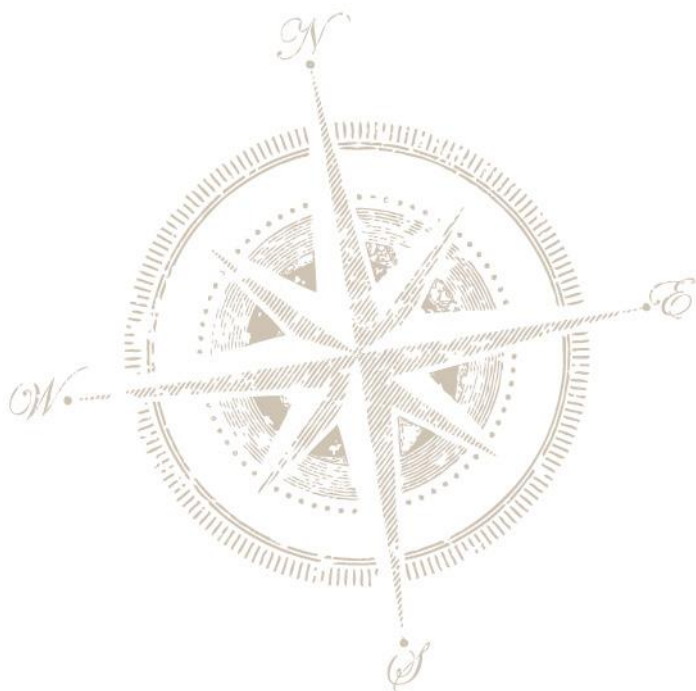
W końcu sobie pójdą i będę mógł spać, choćby i do południa, pocieszałem się.

I rzeczywiście. Po godzinie wszyscy wyszli i zrobiło się cicho, jak makiem zasiał. Zostawili zapalone światło i istny śmietnik na podłodze. Dookoła wałały się

papiery, pudełka po makaronie, jakieś szmaty, opakowania i niedopałki papierosów.

Czyżby poza słuchem mieli jeszcze problemy ze wzrokiem? Przecież obok drzwi stał duży kosz na śmieci.

Wyłączyłem światło i smacznie zasnąłem.



Rozdział 11

Po śniadaniu udałem się do „Qomolangma Travel Service”, gdzie kupiłem bilet wstępu do parku narodowego. Chciałem bowiem, przez przełęcz Pang, spróbować dojechać do bazy pod Mount Everestem, która znajduje się na terenie parku. Przy okazji dowiedziałem się, że przede mną jedzie rowerem jakiś Japończyk.

– Był tutaj kilka dni temu, jedzie z Tokio do Indii – powiedział recepcjonista.
– Ale do parku chyba nie zamierzał jechać.

No to się raczej nie spotkamy, pomyślałem. Zapłaciłem sześćdziesiąt pięć juanów za bilet i wróciłem do hotelu.

Do bazy pod Everestem zamierzałem wyruszyć następnego dnia, a ten dodatkowy dzień przeznaczyć na odpoczynek. Wylegiwałem się w pokoju do południa, korzystając z ciszy i spokoju, bo pewnie wieczorem albo w nocy znów kogoś dokwaterują.

Nowi lokatorzy zjawili się tuż po obiedzie. Jakież jednak było moje zdziwienie, kiedy do pokoju weszli... Karina z Jamesem. W ciemnych okularach, kolorowych kolarskich koszulkach i z kaskami na głowach. Cóż za przypadek, że z ośmiu hoteli w Baipie, wybrali akurat ten sam, co ja, do tego ten sam pokój!

– Cześć Peter! – zawołała dziewczyna. – Widziałam na dole twój rower, zapytałśmy, w którym jesteś pokoju i jesteśmy!

Jak widać, czasem przypadkowi trzeba pomóc. Zresztą, pewnie nawet gdyby zakwaterowali się gdzie indziej i tak natknęlibyśmy się na siebie. Baipa była maleńka – taka typowa przydrożna noclegownia z hotelami i restauracjami.

James wyglądał na zupełnie wyczerpanego.



Drogą na zachód od Baipy. Dziś leży tu już równiutki asfalt



Z Kariną i Jamesem

- Przyjechaliście z Lhatse w jeden dzień?
- Nie – mówi Karina. – Wczoraj. A nocowaliśmy pod przełęczą,

u Tybetańczyków.

– W jakiejś wiosce? – pytam zdziwiony. – Nie widziałem tam żadnych zabudowań.

– Nie, to były tylko dwie chałupy, zaraz przed przełęczą.

Opowiedziałem o swoim spotkaniu z dziećmi i o chłopcu z uciętym palcem.

– Tak, to musiał być ten sam, zmieniałam mu opatrunek. Zawinęłam całą dłoń, bo ciągle zsuwał bandaż i plaster. James tłumaczył, żeby pojechać z nim do szpitala, przecież tam się może wdać jakieś zakażenie, ale rodzice nie wyglądali na bardzo przejętych. Zostawiłam im pół mojej apteczki i prawie cały prowiant na drogę.

Pokazała mi zdjęcia, na których rozpoznałem bandę z przełęczą.

– Tak, to ci sami – powiedziałem, patrząc na roześmiane, rozgorzałe od słońca i mroźnego wiatru twarze.

Zeszliśmy na dół po bagaże. Miałem okazję przyjrzeć się rowerom międzynarodowej kolarskiej pary. Dwa mizerne górale, którymi ciężko jeździłoby się po lesie, a co dopiero po Tybecie. Prawdziwym szokiem był jednak bagaż Niemki. Karina wiozła ze sobą gitarę!

Pomogłem wnieść bagaże na górę do pokoju. James opadł na łóżko i miał już w tej pozycji pozostać do wieczora.

– Zdejmij chociaż kask – rzuciła Karina.

– Dobrze, dobrze – mruknął James.

– Co ty zrobiłaś temu biednemu chłopakowi? – zapytałem, wskazując na oddychające ciężko zwłoki.

– Przyzwyczaj się, jeszcze dwie przełęczę i będzie z górki.

– Dzisiaj też miało być z górki – wysapał James, nie unosząc nawet głowy.

Z Kariną wybraliśmy się jeszcze na wycieczkę do pobliskiej wioski Shekar. Jadąc sam, byłem wystarczająco osobliwy dla tubylców, a co dopiero z kobietą, do tego jadącą w obcisłych kolarskich strojach i w kasku! Prawdziwi Marsjanie. Pozwiedzaliśmy okolicę, między innymi ciekawy nieduży klasztor i ruiny dzongu w pobliżu.

Kiedy wyszliśmy z klasztoru, doczepili się do nas trzech mali chłopcy, wszyscy z wielkimi procami. Idąc około metra za nami, w kółko powtarzali *money, money, money*. Ignorowaliśmy ich przez jakiś czas, ale zaczęli się robić coraz bardziej natarczywi. W końcu doszło do tego, że zabrali się do poszturchiwania i pociągania za rękawy ubrań. Wydarłem się z całej siły na jednego z nich, tak, że prawie upadł z wrażenia. Cofnął się o kilka kroków, schylił po kamień, napiął procę, wymierzył... I wtedy wrzasnęła Karina, bluźniąc coś mieszaniną tybetańskiego, angielskiego i niemieckiego. Podziałało. Chłopiec opuścił procę. Dwóch pozostałych maluchów przybrało bardzo skruszony miny. Rzeczywiście, Karina wyglądała, jakby miała zamiar zdrowo ich przetrzepać. Kamienie

wystrzelili na wiwat w powietrze, a same proce schowali w spodnie. Szli jeszcze trochę za nami, w bezpiecznej odległości, ale już bez uprzykrzającej mantry.

Tego dnia nikogo już nie dokwaterowali i mieliśmy pokój dla siebie. Spaliśmy jak zabici. Następnego dnia przyniósł zapowiadaną poprawę pogody. Wspaniała przejrzystość, niebieskie niebo, lekkie chmurki gromadzące się na dalekich szczytach, nogi same się rwały do pedałowania.

– Może pojechalibyście ze mną do bazy pod Everestem? – zapytałem przed śniadaniem.

– Nie tym razem. Moja wiza jest jeszcze ważna przez dwa tygodnie i chciałbym mieć pewność, że dojedziemy na czas do granicy.

Spojrzałem na chłopca. Dziś wyglądał o niebo lepiej.

– A ty nie chciałbyś się przejechać pod Everest? – pytam.

– Chętnie, ale jak Karina nie chce, to nic nie poradzę, muszę się dostosować.

Przypomniałem sobie Jamesa rozciągniętego w kasku na łóżku i pomyślałem, może to i lepiej.

Stało na tym, że ruszymy razem w stronę parku i przejedziemy kilkanaście kilometrów do rozjazdu.

Według przewodnika trasa do bazy i z powrotem powinna zająć około tygodnia, w zależności od indywidualnych preferencji, czytaj – pary w nogach – i zastanych warunków pogodowych. Na wszelki wypadek zrobiłem zapasy na dziesięć dni. Akurat tyle, na ile ważny był bilet wstępu do parku.

Ruszyliśmy przed południem, jadąc wspinającą się leniwie asfaltową drogą. Kilka kilometrów za miastem musieliśmy się zatrzymać przy punkcie kontrolnym. Tym razem nikt się przy budynku nie opalał, może jeszcze było za wcześnie. Pomalowana na biało, kryta czerwonymi dachówkami stróżówka wyglądała dostojnie. Dwa betonowe słupy, upięte niewysokim łukiem, stanowiły bramę, przy której postawiliśmy rowery. Z budynku wyszli trzej żołnierze. Sprawdzono nam paszporty i przypomniano o konieczności posiadania biletów do parku, jeśli byśmy się wybierali w stronę bazy pod Everestem. James wytłumaczył, że razem z dziewczyną jadą prosto do Nepalu. I znów nikt nie pytał o *Aliens' Travel Permit!* Czy to dlatego, bo jechał z nami Chińczyk, czy dlatego, że zapomnieli, czy może już te pozwolenia nie są potrzebne? Tylko dlaczego w PSB tłumaczą o konsekwencjach jazdy bez pozwolenia, mają koniecznością podróżowania w zorganizowanych grupach, twierdząc, że podróżowanie samemu jest zabronione i grozi karą?

Kilka kilometrów dalej zatrzymujemy się po raz kolejny. Na wysokim, przerdzewiałym słupie zawieszono tablicę, na której na niebieskim tle wypisano między innymi: Qomolangma National Nature Preserve (zachowałem oryginalną pisownię). Wielka biała strzałka wskazywała na szeroką szutrową drogę, odbijającą na południe od „Autostrady Przyjaźni”. Tutaj nasze drogi miały się rozdzielić.

– A może jednak pojedziemy z tobą? – wypaliła nagle Karina, jak już zdążyliśmy się cztery razy poprzytulać, wymienić adresami i powiedzieć „to na razie”.

– Nie widzę problemu.

– Ale nie mamy biletów – słusznie skostatowała.

Spojrzeliliśmy oboje na Jamesa.

– Mam się wrócić po bilety?

Cóż za bystry chłopak, pomyślałem.

– Nie, bo się jeszcze zgubisz po drodze, zresztą, jak wrócisz, to już będzie noc – z przekąsem rzuciła Karina.

– Możemy się rozbić przy drodze i pojedziemy jutro – powiedziałem. – James skoczy po bilety, a my w tym czasie przygotowujemy obiad.

– Nie, chyba jednak nie pojedziemy z tobą. Następnym razem.

– Słuchajcie, tak czy inaczej, możemy tutaj jeszcze razem zjeść, a w międzyczasie się zdecydujecie.

Wyjąłem woreczek *campy*, wsypałem do menażki i zalałem herbatą z termosu.

– Ty jadasz to paskudztwo? – spytała Karina, patrząc, jak ugniatam palcami papkę.

– Pewnie. *Campa* daje straszną siłę.

– I jeszcze straszniejsze rozwolnienie. Zjadłam to raz i więcej nie tknę – dodała, spluwając z obrzydzeniem.

Kiedy Niemka zaczęła narzekać na paskudne żarcie, jakie jada od miesiący (a był to już szósty miesiąc jej podróży), powiedziałem, że mogę jej przygotować coś innego. Miałem jeszcze w sakwach liofilizowany bigos, fasolkę po bretońsku, ziemniaki i kaszę gryczaną z mięsem.

– Bigos? Ziemniaki? – zakrzyknęła. – Jeśli zrobisz mi na kolację ziemniaki z bigosem, to jedziemy – dodała.

– Oczywiście, jeszcze posypię wszystko koperkiem i zaparzę kawę – dodałem.

Więcej namawiać nie musiałem. Co do biletów wstępu, Karina zwolniła Jamesa z roli emisariusza i stwierdziła, że najwyżej zapłacą gdzieś po drodze. I faktycznie, nie było sensu wracać do Baipy. W wiosce Chay, w której był kolejny punkt kontrolny, Jamesowi udało się kupić bilety, a właściwie zapłacić myto. Dostali bowiem wyrwaną z zeszytu kartkę, która zapisana chińskimi znaczkami stanowiła bilet. Gdyby nie znajomość języka, pewnie by ich nie wpuścili.

Również dzięki Chińczykowi zostaliśmy zaproszeni do prywatnego domu na obiad. Co prawda nie był to bigos i ziemniaki, ale Karina była bardzo zadowolona, że może zjeść coś innego poza mąką z wodą, którą proponowałem wciągnąć przed czekającym nas podjazdem na przełęcz Pang.

– Rzeczywiście użyteczny ten James – powiedziałem, zajadając ryż z mlekiem i makaronem.

Od przełęczy Pang, znajdującej się ponad 5000 m n.p.m., dzieliło nas ponad czterdzieści zakrętów. Mozolnie pokonywaliśmy kolejne serpentyny. Około siedemnastej otworzyło się przed nami pasmo Himalajów. Byliśmy na przełęczy. Mount Everest, Lhotse, Makalu, Cho Oyu, wyniosłe ośmiotysięczniki wydawały się być na wyciągnięcie ręki.

Zabawiliśmy chwilę, aby ochłonąć po wyczerpującym podjeździe, założyliśmy wszystkie ciepłe ubrania i pomknęliśmy w dół. Osobiście chciałem zjechać możliwie najniżej, do samej doliny, ale Karina wpadła na pomysł, abyśmy zatrzymali się nieznacznie pod przełęczą i mieli nocleg z widokiem na Everest. Rozbiliśmy się zatem kilkanaście kilometrów dalej, na wysokości ok. 4500 m n.p.m., mając fantastyczny widok na masyw Everestu, powlekany ciemniejącą purpurą zachodzącego słońca.

Na kolację, zgodnie z obietnicą, przygotowałem bigos z ziemniakami i koperkiem. Na deser kawa cappuccino. Karina była wniebowzięta. James też, powinien był podziękować polskiej firmie Elena, że jechał pod Everest. Był z siebie bardzo, bardzo dumny. Karina zdecydowała, że James spędzi noc w jej namiocie, a ona sama wprowadzi się do mojego.

Po kolacji długo nie mogliśmy zasnąć, pewnie po tej kawie. James też miał problemy z zaśnięciem. Całą noc spacerował po obozowisku, pytając troskliwie, czy jest nam ciepło i wygodnie. W nocy rzeczywiście było dość ciepło, choć bardzo wilgotno.



Rozdział 12

Wstaliśmy skoro świt. Widok na masyw Everestu był fantastyczny. Nawet jedna chmurka nie przesłaniała majestatycznej góry. Powoli przesuwające się słońce malowało na ścianach góry coraz to nowe barwy.

Zjedliśmy śniadanie i zaczęliśmy fantastyczny zjazd do doliny. Tym razem to James musiał ciągle na nas czekać, bo zatrzymywaliśmy się często z Kariną, aby podziwiać widoki. Podczas jazdy było to raczej niemożliwe, cały czas musieliśmy uważać na doły, kamienie i połącze piachu. Obciążony rower rozpędzał się momentalnie, a barierki na drodze odgraniczających od przepaści nie było. W razie wypadku, raczej nie moglibyśmy liczyć na szybką pomoc.

Mimo częstego używania hamulców, przy zanikającym poziomie zdrowego rozsądku, zjazd i tak był wystarczająco karkołomny i brawurowy. Udało się nam jednak dojechać bezpiecznie do doliny.

W wiosce Tashi Dzom zatrzymaliśmy się, aby trochę ochłonać. Słońce prażyło mocno. Postanowiliśmy więc przeczekać południe i ruszyć dalej po obiedzie.

– Kto by pomyślał, że James będzie tak dzielnie jechał – powiedziała Karina, patrząc na spalonego od słońca chłopaka. – W tym tempie, powinniśmy dojechać dziś do samej bazy – dodała zadowolona.

Zobaczmy, pomyślałem. Od rana prawie cały czas zjeżdżaliśmy, teraz za wioską znów czekał nas podjazd.

Już prawie ruszaliśmy, kiedy na drodze pojawił się kolejny rowerzysta i kolejny sąsiad zza Odry – Niemiec Sven. Osprzęt Shimano XT, sakwy Ortlieb, nogi Lance'a Armstronga. Wydolnością pewnie też niewiele mu ustępował, bo od rana przebył ten sam odcinek, jaki my pokonaliśmy od wczoraj. Do tego nie zamierzał się zatrzymywać w wiosce, tylko jechać prosto do bazy. Drogę, którą w miarę wysportowana osoba pokonuje rowerem w trzy dni, Sven chciał pokonać w jeden.

Podróż rozpoczął w Katmandu, stolicy Nepalu. Granicę nepalsko–tybetańską przekraczał w jeepie razem z grupą turystów jadących do Lhasy, od której później się oddzielił. Ruszył dalej rowerem i teraz wracał do Katmandu. Jego wiza była ważna jeszcze tylko kilka dni, co tłumaczyło mordercze tempo, jakie sobie narzucił.

Odcinek do Chosang, który według przewodnika miał być przyjemną przejażdżką, bardzo nas wszystkich wymęczył. Szutrowa droga była w fatalnym stanie, wznosząc się ospale ku widniejącym na horyzoncie szczytom. Poprzeczne muldy uniemożliwiały szybszą jazdę, niż dziesięć kilometrów na godzinę. Do tego wiatr przybrał na sile i coraz mocniej dał nam prosto w twarz, sprawiając, że wysiłek wkładany w pedałowanie był niewspółmierny do pokonywanej odległości.

James wyraźnie słabnął i coraz częściej musieliśmy na niego czekać. Powoli stawało się jasne, że tego dnia raczej do bazy nie dojedziemy.

Za Chosang, z nietęgimi minami, zebraliśmy się wszyscy w pustym, wolno stojącym budynku. Trzeba zdecydować, co dalej. Karina najchętniej zostałaby już na noc, Sven jeszcze by trochę popedałował, o Jamesie lepiej nie wspominać.

– Ale zostało tylko dwadzieścia kilometrów – protestuję. – Damy radę! Poza tym, tam jest hotel i restauracja, w której na pewno zjemy coś dobrego, no i nocleg będzie przyjemniejszy. Argument żywieniowy ostatecznie przekonuje Karinę. Sven też chce jechać dalej, a James tradycyjnie na wszystko się zgadza.

Te pozostałe dwadzieścia kilometrów były jednymi z najdłuższych w moim życiu. Droga była paskudnie wyboista, do tego coraz bardziej stroma. Jechaliśmy w pewnym oddaleniu od siebie, każdy własnym tempem. Po kilku kilometrach wjechaliśmy do wąwozu, gdzie kontynuowaliśmy kolejną rundę bardzo nierównej walki z coraz silniej napierającym wiatrem.

Ostatnie dwa kilometry oddałem walkowerem. Zsiadłem z roweru i pchałem go po górskim szlaku. Czuję się, jakbym miał przed sobą niewidzialną, opierającą się ścianę, przez którą próbowałem utorować sobie drogę. Wreszcie, po czterech godzinach morderczego podjazdu, za zakrętem dostrzegłem wyczekiwany klasztor Rongpu. Byłem na miejscu. Za mną dojechali Sven i Karina. Po godzinie, w zupełnych ciemnościach, dotarł i James. Nic nie powiedział, ale na oko kwalifikował się na pacjenta oddziału intensywnej terapii. Karina, zamiast gitary, powinna zabrać kroplówkę.

Musieliśmy jeszcze zdecydować o miejscu na nocleg. Ja byłem za nocką pod klasztorem, ale Karina i Sven woleli iść do hotelu. Ubezwłasnowolnionego Jamesa nikt nie pytał o zdanie, więc demokratycznie wszyscy, poza mną, poszli szukać noclegu pod dachem, a ja zdecydowałem się spać w namiocie. Umówiliśmy się, że spotkamy się za pół godziny w hotelowej restauracji.

Na terenie klasztoru dwaj mnisi bez problemu pozwolili mi na rozstawienie namiotu. Zostawiłem rower i rzeczy i poszedłem na kolację. Całą trójkę znalazłem

w przestronnej, okropnie zadymionej i bardzo gwarnej sali. Zagrzebani po szyję w śpiworach, popijali gorącą herbatę. Dowiedziałem się, że wszystkie pokoje w hotelu są zajęte, ale będzie można się przespać na podłodze jadalni za, bagatela, osiemdziesiąt juanów. Do tego w hotelu nie było bieżącej, ciepłej wody, nie wspominając o prysznicu.

– Nieważne – mówi Karina. – Najważniejsze, że jest ciepło, a ja okropnie przemarzłam i nie ma mowy, abym spała dziś w namiocie.

Cóż, chyba za słabo grzałem poprzedniej nocy... Po cenie, jaką mieli zapłacić za podłogę, można się było spodziewać, że porównywalnie wygórowane będą ceny za posiłek w restauracji, a tu miła niespodzianka! Wielka micha ryżu z warzywami kosztowała niewiele, do tego zjadłem jeszcze gotowane ziemniaki z przyprawionymi imbirem jajkami.

Po ciepłym i sytym posiłku nie chciało mi się wracać do namiotu... Karina wydawała się być pogrążona w rozmowie ze Svenem, a James odleciał już zupełnie – z zamkniętymi oczyma, rozchyłonymi ustami i odchyłoną głową wyglądał jak azjatycki quasimodo. Powoli i sam zaczynałem odpływać, wrzawa znad obłożonych talerzami stolików stopniowo przekształcała się w jakąś jazgoczącą materię, która dusiła mnie coraz mocniej, napierała, obezwładniała i wciskała w ławkę. Wszystko dookoła rozpływało się, zamazywały kontury, czy ja tam jeszcze siedziałem? Chciałem coś powiedzieć, ale nie bardzo miałem do kogo, wszyscy stali się nieobecni, chciałem być zauważony, ale nikt na mnie nie patrzył. Miał rację Sartre: *L'enfer c'est les autres*.

Wróciłem do namiotu. Zasypiałem w milczeniu, w mroku ciszy. Pomimo dużej wysokości, 4830 m n.p.m., serce biło spokojnie, a oddech był wyrównany.

Kiedy rano wyrzłem z namiotu, przede mną rozpościerał się przepiękny widok na masyw Everestu. Wierzchołek był jeszcze widoczny, ale powoli nadciągały chmury i zanim na dobre się rozbudziłem, czubek był już skryty za gęstniejącą mgiełką.



Najwyższa góra świata na wyciągnięcie ręki – Mount Everest



Baza pod Everestem na wysokości około 5050 m n.p.m.

Na śniadanie poszedłem do hotelowej restauracji. Niemiecko-chińska trójka była już gotowa do drogi pod Everest. Spod klasztoru do samej bazy zostało jeszcze dziewięć kilometrów. W sumie niewiele, ale należy pamiętać, że droga

proceedzi na wysokořci prawie 5000 m n.p.m., więc o szybkiej, lekkiej jeździe nie ma mowy. Wszyscy zamierzali pojechać bez bagaży i po powrocie do hotelu, jak najszybciej ruszyć w stronę Nepalu. Ponieważ ja jeszcze nie zwinąłem namiotu, a chciałem poza tym zjeść śniadanie, więc umówiliśmy się, że spotkamy się po drodze.

Zamówiłem gotowane ziemniaki i naleśniki z miodem, ale zamiast miodu dostałem cały słoik truskawkowego dżemu. Prawda, miód zjedliśmy wczoraj na kolację. Przynieśli cały słoik, a wyjedliśmy go do końca. Z okna restauracji doskonale widziałem masyw Everestu, w większej części pokryty już zbierającymi się chmurami.

Postanowiłem zostać jeszcze jeden dzień w okolicy i przenieść się z całym majdanem do bazy. Złożyłem namiot i powoli ruszyłem w górę. Do bazy spod klasztoru nie można się dostać jeepem. Pozostały, niespełna dziesięciokilometrowy odcinek, można przebyć pieszo albo skorzystać z bryczki. Jak nad Morskie Oko z Polany Palenicy w Zakopanem, tylko wysokość inna, no i ani oscypków, ani ciupag nie uświadczysz...

Po drodze wyminąłem się z wracającymi Kariną, Svenem i Jamesem. Trochę smutno, ale przecież i tak raczej nie jechałbym z nimi do Nepalu. Już postanowiłem, że wrócę do Lhasy i stamtąd spróbuję dojechać do Pekinu pociągiem.

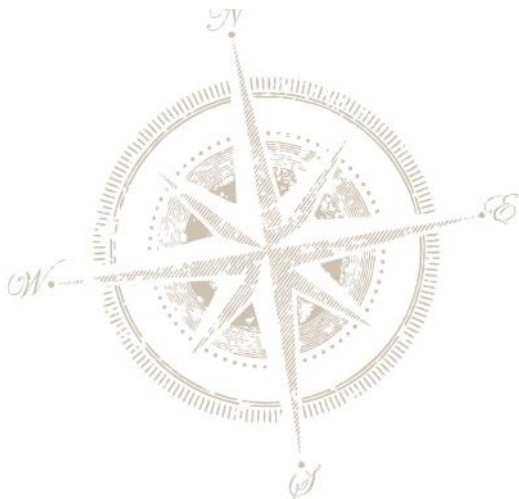
Kilka zdjęć na pożegnanie, uściski, trochę zamglony horyzont, cześć, cześć, do zobaczenia, jesteřmy w kontakcie, życie toczy się dalej.

Tak zwana baza, do której wolno dotrzeć „szarym” turystom, znajduje się na wysokořci około 5050 m n.p.m. i poza sezonem składa się z porzrzuconych namiotów zaradnych Tybetańczyków, którzy zarabiają na turystach, oferując ciepłe posiłki, a nawet noclegi. Proszę bardzo, można nocować nawet w hotelu California. Jest też poczta, to znaczy miejsce, gdzie za astronomiczną sumę sprzedają stempelki z napisem Mount Everest Base Camp.

Rozstawiłem namiot na zupełnie pustym polu namiotowym i wybrałem się na spacer po okolicy. Podobno jeszcze do niedawna można było dostać się wyżej drogą wzdłuż lodowca, na wysokořć prawie 6000 m i pewnie udałoby mi się tam dojechać na rowerze, gdybym miał wolne dodatkowe dwieście dolarów. Tyle bowiem należało zapłacić, aby być przepuszczonym za szlaban, rozstawiony wzdłuż drogi, na końcu rzędów namiotów. Oczywiście mogłem spróbować gdzieś bokiem, ale nie chciałem ryzykować płacenia haraczu jakimś żołnierzom po drodze, o czym słyshałem od innych turystów.

Spędziłem cały dzień na włóczeniu się po okolicznych wzgórzach, myśleniu o niczym, patrzeniu na Everest, małych tęsknotach i starych wspomnieniach, kiedy z bijącym sercem czytałem o wyprawach w Himalaje. Najwyższa góra świata na wyciągnięcie ręki, aż chciałoby się ruszyć, choćby i zaraz. Ale Everest to nie

Gubałówka.



Rozdział 13

Wieczorem zrobiło się spokojniej, kilkoro turystów nocowało w hotelu California, reszta wróciła na dół do hotelu przy klasztorze Rongpu. Tybetańczycy zostali przy swoich kramikach, a ja schowałem się do namiotu. Zrobiło się chłodniej i zaczął sypać śnieg. Przy wyjściu, trochę osłaniając się tropikiem, przygotowałem posiłek. Ugotowałem garść ryżu, dodałem fasolkę po bretońsku i miałem fantastyczną kolację. Wyszło tego tyle, że nie dałem rady zjeść do końca. Reszta została na śniadanie.

W przewodniku było napisane, że jeśli ktoś zamierza nocować w okolicach bazy, powinien zabrać ze sobą wodę. Biorąc do serca przestrożę, przydźwigałem odpowiednie zapasy. Na miejscu jednak okazało się, że niepotrzebnie przywozłem dodatkowe pięć litrów, bowiem obok miejsca, gdzie rozbiłem namiot, tryskało małe źródło, a kilka podobnych widziałem w ciągu dnia, spacerując po okolicy. Zresztą, nawet gdyby ich nie było, albo gdyby zupełnie zamarzły, mogłem poprosić o wodę kogoś z kilku rozstawionych wzdłuż drogi maleńkich restauracji.

W nocy było paskudnie wilgotno, nawet nie tak zimno, ale właśnie wilgotno. Puch w moim śpiworze mocno się zbił, a mokry śpiwór nie grzeje tak dobrze, jak suchy. Jadąc w miejsca, gdzie pada i będzie wilgotno, lepiej zabierać śpiwór wypełniony sztucznym puchem. Jest on co prawda cięższy od tego z naturalnym (jeśli porównamy modele o podobnych parametrach, czyli zakresach temperatur, na jakie są przeznaczone – co zresztą też jest dość subiektywną oceną), ale przynajmniej jako tako grzeje nawet wtedy, kiedy jest mokry. Zdecydowanie nie jestem rannym ptaszkiem i lubię wylegiwać się z rana, szczególnie kiedy wiem, że za moment czeka mnie temperaturowy szok – z ciepłego posłania prosto w objęcia mroźnego poranka, ale tym razem mogłem zapomnieć o porannym leżakowaniu. Wilgotny śpiwór skutecznie mnie do tego zniechęcił i jak tylko się rozwidniło, wyskoczyłem w samej bieliźnie prosto na śnieg. Parę wymachów, przysiadów,

truchcik dookoła namiotu i od razu zrobiło się cieplej. Ciepłe skarpety na stopy, spodnie, bluza i można zagotować wodę na herbatę.

Takie proste, wykonywane prawie automatycznie poranne czynności, jak rozpalenie kuchenki, przygotowanie posiłku, zwinięcie śpiwora, spakowanie sakw, sprawiają zawsze tak wiele przyjemności, że człowiek od razu pozytywnie nastawia się do całego dnia. Nieważne, że mróz, że śnieg przykrył namiot, że niebo zasnuwane chmurami i ledwo widać tybetańskie budy, nie mówiąc o górach. Ważne, że minęła noc, że się obudziłem, nikt mnie nie okradł, nie stało się nic złego, jestem wyspany, niczego dziś nie muszę, nikt na mnie nie czeka, nie mam nic do zrobienia; mogę ruszyć dalej, ale równie dobrze mogę tu zostać jeszcze jeden dzień; obok jest rower, o który nie muszę się martwić, że w tej temperaturze nie odpali, albo że zabraknie benzyny, za mną jest namiot, mój tymczasowy dom, w którym mam wszystko, co akurat jest mi potrzebne, nic zbędnego, wszystko tworzy harmonijną całość, która doskonale ze sobą współgra, żadnych zbytecznych dodatków, wszystkie pralki, lodówki, miksery, zmywarki, kuchenki zostały w innym świecie. Na dziesięć tygodni pozbyłem się rzeczy, którymi na co dzień otaczamy się, a bez których, jak się okazuje, doskonale można się obejść. A razem z rzeczami odchodzą też zbędne pragnienia, żądze.

Jednym z pierwszych ziemskich marzeń, zaraz po przebudzeniu w namiocie, jest myśl o kubku ciepłej herbaty; marzeniem tym piękniejszym, że możliwym do spełnienia.

Odpaliłem kuchenkę, zagotowałem litr wody na płatki z mlekiem i herbatę i za chwilę ogrzewałem dłonie o gorący, metalowy kubek, a ciepły płyn przyjemnie łechtał podniebienie i rozlewał się błogo po żołądku.

Okolica też powoli budziła się do życia. Za jakiś czas pewnie zjawia się pierwsi turyści. Nie będą mieć dziś ładnego widoku, pomyślałem, właściwie to chwilowo nie było żadnego widoku. Okoliczne wzgórza spowijała gęsta mgła, która bez pośpiechu się rozrzedzała, nie na tyle jednak, żeby można było cokolwiek dookoła podziwiać.

Przed południem zaczął siąpić lekki deszczyk, więc plany o spacerze mogłem na razie odłożyć. Nie jest źle, pomyślałem. Przynajmniej trochę się ociepliło, wczoraj przecież padał śnieg.

Do piętnastej pogoda się nie zmieniła, a z powodu wilgoci i względnego bezruchu, było mi coraz zimniej. Zdecydowałem się wrócić do Baipy. Zwinąłem namiot i w zacinającym deszczu zjechałem dziewięć kilometrów do hotelowej restauracji na późny obiad. Usiadłem przy oknie i w towarzystwie nielicznych turystów zjadłem ryż z warzywami. Pewnie pogoda ich trochę przepłoszyła, pomyślałem, myśląc o wypełnionej jeszcze wczoraj wieczorem jadalni.

Gęstniejące chmury na niebie i stukający w okno grad, utwierdziły mnie w przekonaniu, że dobrze zrobiłem, decydując się na powrót. Wyszedłem na

moment przykryć brezentem pozostawiony pod ścianą rower. Podobnie jak dwa dni wcześniej, znów wiał porywisty wiatr, coraz bardziej przybierając na sile, z tą różnicą, że gdybym ruszył w stronę wąwozu, to wiałby mi teraz w plecy, a nie w twarz.

Należało podjąć decyzję, czy jadę, czy zostaję w hotelu. Omiotłem spojrzeniem osowiałe miny siedzących obok turystów. Zegarek na prędkościomierzu pokazywał kwadrans po siedemnastej. Dopilem zimną kawę. Założyłem na siebie wszystkie warstwy ubrań. Uśmiechnąłem się do sąsiadów przy stoliku. Ruszyłem w dalszą drogę.

Przed Passum pogoda nieznacznie się poprawiła, w głowę nie uderzały mnie już kulki gradu, tylko krople deszczu, poza tym zrobiło się jakby cieplej. Przejechałem wioskę i kilka kilometrów dalej zatrzymałem się na nocleg przy drodze. Przemoczony do suchej nitki zaszyłem się w czterech ścianach wilgotnego namiotu, zrzuciłem mokre ciuchy i wskoczyłem do zatechłego śpiwora. Wcześniej jeszcze wypchałem buty rolkami papieru toaletowego. Papier do rana wyciągnie z nich wilgoć i jak będzie pogoda, to doschną już na nogach. Zasypiałem kołysany miarowymi dźwiękami kropel deszczu, rozbijającymi się o tropik. Przez nikogo nie niepokoiony, przespałem spokojnie noc.

Skoro świt wygrzebałem się z wilgotnego śpiwora i zacząłem dzień od rozgrzewki. Pogoda się nie poprawiła. Ciągle siąpił deszcz, a temperatura oscylowała w granicach pięciu stopni powyżej zera. Wiatr ustał prawie zupełnie, więc nie mogłem liczyć na szybką poprawę pogody. Postanowiłem zatem bezzwłocznie zwinąć obozowisko i ruszyć na śniadanie do Tashi Dzom. Wieczorem powinienem dojechać do Baipy, tam zanocuję w hotelu i przesuszę namiot i rzeczy. Cekał mnie jeszcze podjazd na przełęcz Pang, tym razem bez podziwiania powalających widoków.

W Tashi Dzom zjadłem śniadanie, trochę się podsuszyłem przy kuchennym piecu w przydrożnym zajeździe i około południa ruszyłem w dalszą drogę w stronę przełęczy.

Podjazd był bardziej męczący niż się spodziewałem, mozolnie piąłem się po wijących się w nieskończoność serpentynach. Czasem mijały mnie białe, terenowe toyoty, głośnym klaksonem sygnalizując swoją obecność i rozbryzgując błoto z głębokich kolein. Przez deszcz, wysiłek i niedobór tlenu jechałem jak w malignie, nawet za bardzo nie złorzeczyłem na kierowców, zresztą na tych wąskich zakrętach ominąć mnie szerokim łukiem i tak nie byli w stanie.

Mogłem tylko współczuć turystom, którzy zmierzali w stronę schowanego w chmurach masywu Everestu. Wycieczka z Lhasy dla czterech osób kosztowała 4500 juanów (około 2000 zł), do tego trzeba doliczyć opłaty za noclegi i jedzenie, plus pozwolenia i bilety po drodze. A przecież kierowca nie daje gwarancji, że uda im się zobaczyć Mount Everest, bowiem pod górą spędzają zwykle kilka godzin

i zaraz wracają do Lhasy. Rower wydaje się być świetnym rozwiązaniem na podróż w takie miejsca. Przecież to ode mnie zależy, jak długo zostaną tam, gdzie chcę, nie muszę się z nikim dogadywać, uzgadniać dnia i godziny, decydować, co zobaczyć i jak długo zwiedzać, co jeść i gdzie spać.

Około piętnastej, mocno zmęczony, dotarłem na przełęcz. Ciągłe padający deszcz i wzmagający się powoli wiatr nie zapowiadały łatwej drogi w dół. Postanowiłem zatem poczekać godzinę albo dwie i odpocząć przy okazji w jednej z prowadzonych przez Tybetańczyków restauracji. Dwie starsze kobiety o chętnie zachęcały, abym skorzystał z gościny. Wszedłem do środka nieogrzewanego, ciemnego namiotu, gdzie przy drewnianym stole siedziała jeszcze jedna kobieta i kilkoro maluchów. Na niewielkim regale rozstawione były podstawowe produkty żywnościowe, kilka garnków, wielkie termosy, papierosy i baterie, a w rogu stał duży worek ryżu. Pod drugą ścianą rozstawiono wielką butlę gazową z palnikiem, przykrytą ogromną patelnią.

Zapytałem, czy mogę zjeść coś ciepłego, pokazując na patelnię, ryż i dodając „głodny”. Gospodyni zrozumiała, bo od razu zabrała się do przygotowania posiłku. Wszyscy cały czas siedzieli w namiocie, ożywiając się, kiedy tylko usłyszeli odgłosy nadjeżdżającego samochodu. Nie był to dobry dzień dla przedsiębiorczej rodziny. Żaden z kilku przejeżdżających samochodów nie zatrzymał się na przełęczy. Pewnie z powodu zachmurzenia i deszczu. Po co mieli wychodzić na zewnątrz ciepłych, klimatyzowanych samochodów, jak i tak dookoła nic nie było widać.

Smażony ryż z warzywami wydzieliał zniewalające zapachy, ale może to tylko zmęczenie i głód sprawiały, że prosty posiłek drażnił zmysły w sposób tak intensywny, że wydawał się kulinarnym, tybetańskim majstersztykiem.



Klasztor Rongpu pod Mount Everestem



Nocleg z widokiem na najwyższy szczyt świata. Na południe od przełęczy Pang

Siedząc przy stole, próbowałem trochę popisać, ale oblepiające mnie dzieci skutecznie to uniemożliwiały. Jedna z dziewczynek bez żenady weszła mi na kolana i z zadziwiającą konsekwencją, wytrwale próbowała włożyć mi palce w oko. Reszta coś zawzięcie tłumaczyła, na co odpowiadałem po polsku, robiąc głupie miny i pokazując sztuczki z palcami. Szczególnie spodobała się wyliczanka „idzie kominiarz po drabinie, fiku miku, już w kominie”. Dzieci wyłamywały sobie palce, powtarzając za mną rymowankę, ale, jak się okazało, wcale nie tak łatwo było im wysunąć kciuk z komina. Siedzące obok mnie mamy, wydawały się zadowolone, że jakiś nieszkodliwy wariat zajął się ich dziećmi i same mają trochę spokoju. Po godzinie jednak i ja miałem dość, ale rozochoconych dzieciaków już nie mogłem uspokoić. Dokazywały coraz bardziej. Jeszcze trochę i wszystkie naraz weszłyby mi na głowę.

Jest to pewna frajda na początku wyjazdu do egzotycznego kraju, kiedy samą tylko swoją obecnością wywołuje się takie poruszenie, kiedy jest się w centrum zainteresowania, pokazując mapę, zdjęcia, przedmioty, obserwując reakcje, przejęte twarze, uśmiechy i wpatrzone zasmarkane buzie. Ale ile razy? Pięć, dziesięć, dwadzieścia? Po pewnym, wcale niezbyt długim czasie, robi się to potwornie irytujące, męczące i naprawdę ma się dość ciągłej obecności i marzy się o odrobinie spokoju, chwili odosobnienia, intymności.

Po posiłku, dwóch litrach herbaty, lekkiej drzemce i uratowanym oku, ruszyłem wreszcie w dół. Zanim zjechałem z przełęczy, rozpadało się na dobre. Wiał bardzo silny wiatr. Do wioski Chay dojechałem zupełnie wyziębiony. Wszedłem do pustej przydrożnej chałupy i przebrałem się w suche ciuchy. Trochę przysiadów i podskoków, kubek gorącej herbaty z termosu i od razu poczułem się lepiej. Jeszcze kilka kilometrów szutrówki i znów jechałem po asfalcie, cóż za odmiana po kilku dniach drogi-tarki.



Downhill z przełęczy Pang

Na punkcie kontrolnym przed Baipą chiński strażnik sprawdził tylko paszport. Trochę się obawiałem co będzie, jeśli zapyta o pozwolenie, bo termin ważności mojego *Aliens' Travel Permit* już upłynął. Żołnierz jednak o żaden *permit* nie pytał. We wlepioną do paszportu wizę wpatrywał się chyba z minutę. Potem znalazł stronę ze zdjęciem i spisał moje dane. Zacząłem się już nawet trochę niepokoić, ale niepotrzebnie.

– *Poolaaand* – powiedział, przeciągając samogłoski. – Niemiec?

– Nie, Polak – odpowiedziałem, ale widząc, że żołnierzowi niewiele to mówi, zastanawiałem się, co dopowiedzieć, żeby skojarzył, skąd jestem. W wielu krajach, na dźwięk słowa „Polak”, ludzie dopowiadają *Walesa* albo *Papa Pablo Secundo*, albo chociaż „Czterej pancerni i pies”, ale nie w Chinach...

– Polska leży obok Niemiec – dorzuciłem.

– Polska leży obok Niemiec – powtórzył żołnierz z błyskiem w oku.

No, może w głowie coś błysnęło, pomyślałem. Niestety, oczekiwałem zbyt wiele. Za moment padło kolejne pytanie z gatunku „Polska i białe niedźwiedzie”.

– W Polsce jaki język, niemiecki?

– Nie, polski – odpowiedziałem zrezygnowany i dodałem: – Tak jak

w Chinach chiński, tak w Polsce polski.

– A Chiny jak? Podobają się?

– Podobają.

Dyplomatycznie nie dodałem, że Tybet też mi się podoba. Jakkolwiek słaba była jego znajomość geografii, to politycznie pewnie był aż nadto poprawny.

– Jedziesz z Nepalu? – zapytał, oddając mi wreszcie paszport.

– Nie, z bazy pod Everestem – odpowiedziałem.

– Aha, ale wcześniej z Nepalu?

– Nie, z Lhasy.

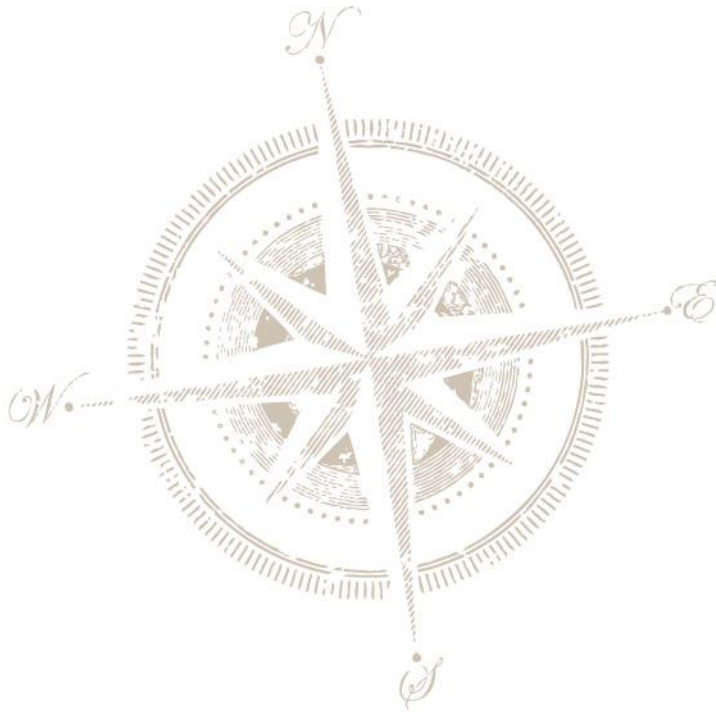
– Aa, to teraz jedziesz do Nepalu?

– Nie, wracam do Lhasy.

Chyba chciał jeszcze zapytać, po co wracam do Lhasy skoro już tam byłem, ale akurat nadjechał samochód i poszedł go skontrolować. Przypomniała mi się mama mojego kolegi, która jak się dowiedziała, że Sławek ponownie jedzie w góry, rzuciła: „Znów w góry? Po co? Przecież już tam byłeś, widziałeś”.

Żołnierz odprawił samochód. Wydawał się być wyraźnie zadowolony, że może ze mną porozmawiać trochę po angielsku i poćwiczyć język. Zaprosił do stróżówki, poczęstował herbatą i pysznymi bułkami. Oferował nawet nocleg w pokoju, bo jego partner miał nie wrócić na noc, ale nie skorzystałem. Podziękowałem za poczęstunek i pomknąłem do Baipy.

Zameldowałem się znów w Szahwan Good Luch Restaurant Hotel. Tym razem miałem cały pokój dla siebie.



Rozdział 14

W dalszą podróż wybierałem się dopiero za dwa dni. Zamierzałem odbić od „Autostrady Przyjaźni” i pojechać na południowy wschód w stronę granicy z Nepalem. Miałem jeszcze kilka tygodni, pozwoleń i tak nikt nie sprawdzał, postanowiłem zatem pojeździć trochę po miejscach, o których w przewodnikach niczego nie znalazłem. Szczególnie zachęcająca wydawała się droga wzdłuż rzeki Bum i dalej na południe, do miejscowości Gamba. Według jednej z trzech map, jakie posiadałem, możliwy byłby powrót do Gyantse od strony południowej. Na wszystkich mapach drogi pokrywały się jedynie przez pierwsze kilkadziesiąt kilometrów, a potem każda pokazywała co innego. Może nawet byłby możliwy dojazd od zachodniej strony w okolice Everestu? Cóż, należało ruszyć w drogę i sprawdzić.

Od samego rana do wieczora silnie padał deszcz. Nie wychyliłem nosa z hotelu, schodziłem tylko do jadalni na posiłki. Mogłem sobie pogratulować decyzji o powrocie do Baipy, wzdrygałem się na samą myśl, co musi się dziać na górze, jeśli w miasteczku tak pada i wieje.

Podczas obiadu dosiedli się do mnie dwaj Koreańczycy, którzy zatrzymali się na posiłek w drodze do bazy pod Everestem. Współczułem im z głębi serca, widząc, jacy są przemarznięci i zde gustowani pogodą, a przecież wysiedli z ogrzewanego jeepa! Pocieszałem ich, mówiąc, że silny wiatr pewnie do jutra przegna te chmury i jak dojadą na miejsce, pogoda może się poprawi. Za nic nie mogli zrozumieć, że jadę na rowerze za własne pieniądze.

– Jak to, ale nikt ci za to nie zapłacił, że się tak męczysz?

– Nie – odpowiedziałem, śmiejąc się. – I wcale nie męczę się bardziej od was – dodałem, patrząc na ich skrzywione twarze.

Chłopcy znali chiński i zamawiali dania z chińskiego menu. Po raz kolejny okazało się, że te same potrawy na karcie angielskiej miały trzykrotnie albo i czterokrotnie wyższą cenę, ale do tego już się zdążyłem przyzwyczaić. Trudno, jestem tu *laowai*, biały, inny, dla nich na pewno bogatszy, można mnie więc trochę oskubać. Albo przynajmniej spróbować.

Wieczorem do pokoju wprowadzili się dwaj młodzi Chińczycy. Przyjechali normalnym, kursowym autobusem. Nie byli zbyt rozmowni i nawet bardzo nie hałasowali. Zamierzali wynająć jeepa i jechać następnego dnia do bazy pod Everestem. Podobno miał ich zawieźć syn właściciela hotelu. Wyciągali mnie na kolację, ale wytłumaczyłem, że zjadłem akurat przed ich przyjazdem i że już nawet herbaty nie miałbym gdzie wlewać, taki byłem zapchany.

Chłopcy wrócili około dwudziestej trzeciej, zachowując się tak, jakby dowiedzieli się, że za moment zaleje nas tsunami. Wykrzykiwali jeden przez drugiego, naprędce upychając rzeczy do plecaków, zaglądając pod łóżka i zbierając do reklamówek pozostawiony wcześniej suchy prowiant.

– Co się dzieje? – zapytałem przerażony. – Też mam się pakować?

– Nie, chyba że jedziesz z nami.

– O, jedzicie nocą do bazy? – zainteresowałem się.

– Nie, wracamy do Lhasy.

Chłopiec dodał, że na dole dowiedzieli się, że jutro znów ma padać, więc nie ma sensu jechać pod Everest, a za moment przyjedzie autobus.

Założyli pospiesznie kurtki, powiedzieli, że mogę zjeść resztę pozostawionych zupiek instant, chwycili plecaki i wybiegli z pokoju. Co za dziwni ludzie! Skoro już tutaj dojechali, mogli przecież poczekać jeszcze jeden dzień...

A niech jadą, pomyślałem, przynajmniej mam zagwarantowany święty spokój i mogę smacznie spać bez zabawy w jogina.

Następny dzień rzeczywiście nie przyniósł wyraźnej poprawy pogody, ale padało jakby mniej. Przechodząc rano obok roweru dokonałem niewesołego odkrycia. Ktoś wyciągnął mi z sakwy kilka pozostawionych drobiazgów, w tym butelkę do kuchenki MSR. Bez butelki kuchenka była bezużyteczna. Pewnie ktoś pomyślał, że to miniaturowy termos, zresztą, nawet jako zwykła butelka i tak na pewno komuś się przyda. Nieraz przy sklepie ludzie patrzyli i czekali, kiedy wypijałem jakiś gazowany napój, by potem poprosić o plastikową butelkę.

Rzeczywiście, trochę bezmyślnie postąpiłem, zostawiając na dziedzińcu rzeczy. I tak ktoś był wspaniałomyślny, że nie wziął roweru. Do tej pory nawet grzebiące w sakwach dzieci niczego nie zabierały, najwyżej wyjmowały i odkładały z powrotem, stąd mój przytępiony zwykły zdrowy rozsądek, którego

zresztą nigdy nie miałem w nadmiarze. Mogłem mieć pretensje do samego siebie. Nic nie stało na przeszkodzie, aby odpiąć wszystkie cztery sakwy (co zresztą zawsze robiłem) i zanieść na górę.

Byłem trochę uziemiony, jeśli chodzi o przygotowywanie ciepłych posiłków po drodze. Znów będę musiał liczyć na wielkodusznych Tybetańczyków w wioskach, no i przede wszystkim na wioski. Wybierałem się na niezłe odludzie i z map wynikało, że za wiele ich nie będzie. Trudno, trzeba będzie wrócić do diety *campa* z cukrem i wodą.

Podczas gdy z nietęgą miną stałem przy rowerze, medytując nad swoją lekkomyślnością, na dziedzińcu pojawił się gospodarz. Wytłumaczyłem mu, co się stało. Mężczyzna wyglądał na zażenowanego i bardzo mnie przepraszał. Potem dodał *moment, moment* i za chwilę wrócił z trzema pustymi, plastikowymi butelkami po coca coli. Uśmiechnąłem się szeroko, próbując wytłumaczyć, że moja była na benzynę.

– *Petrol, ok, bottle petrol, ok.*

No tak, wozić benzynę na pewno w niej mogłem, ale zapalić paliwo raczej już nie. Usiłowałem to objaśnić, pomagając sobie rękoma, ale w końcu dałem spokój, a za butelki podziękowałem. Jemu na pewno bardziej się przydadzą, poza tym miałem swój bukłak na wodę.

Następnego dnia wreszcie przestało padać i choć niebo było mocno zachmurzone, nie miałem już ochoty na spędzenie kolejnego dnia w Baipie. Spakowałem rzeczy, zrobiłem zapasy na kilka dni i ruszyłem na wschód, kierując się w stronę Tingche Xian.

Po trzydniowej beczynności, z wielką przyjemnością wsiadłem z powrotem na rower. Brakowało mi tego, pomyślałem, pedałując po piaszczysto-kamienistej drodze. Pełna rozkosz. Lekko wznosząca się po horyzont droga, rzeka i nagie zbocza gór dookoła.

Po dwudziestu pięciu kilometrach dojechałem do wioski Quluo, gdzie znajduje się most, przewieszony nad rzeką Bum Chu. Most ten był zaznaczony tylko na jednej z moich map. Musiałem zdecydować, w którą stronę jechać dalej. Mogłem przejechać rzekę i pedałować po jej drugiej stronie albo kontynuować jazdę po tej samej stronie.

Lepiej się myśli z pełnym brzuchem, pomyślałem i przysiadłem niedaleko mostu z zamiarem zjedzenia kanapek i wypicia herbaty z termosu. Oczywiście nie mogłem pozostać niezauważony przez tubylców i powoli zaczęła się schodzić cała wioska. A przynajmniej tak mi się wydawało, bo nie zdążyłem nawet dojeść jednej kanapki, kiedy zeszło się co najmniej dwadzieścia osób, wyłączając dzieci, których było drugie tyle.

Trochę niezręcznie jadło mi się kanapkę, widząc wpatrzony we mnie umorusane, dziecięce buzie, rozdałem więc trochę suchego prowiantu, w postaci

ciastek i landrynek. Z przyjemnością zauważyłem, że nikt nie żebrał o pieniądze. Pewnie nie zajeżdżał tu jeszcze żaden bus z turystami i nikt im tutaj, w przyprawie litości, nie rozdawał dolarów ani juanów.

Wyjąłem mapę i próbowałem poradzić się tubylców o kierunek. Mapa, jak zwykle, wzbudziła ogromne zainteresowanie. Niestety, jak już wcześniej zauważyłem, czytanie mapy to dla nich podobne zajęcie, jak dla mnie studiowanie chińskiego pisma. Nadal więc nie wiedziałem, która mapa najbardziej odpowiada rzeczywistości. Zdecydowałem się na przekroczenie rzeki, co później okazało się być decyzją błędną, ale po kolei.

Na mapie „z mostem”, droga, którą teraz jechałem, kończyła się za kilkadziesiąt kilometrów w wiosce Cuoguo (Tsogo), ale na dwóch pozostałych mapach był tam most. Pomyślałem, że nawet jak mostu nie ma, to może uda mi się jakoś przez rzekę przepłynąć. Skoro jest tam jakaś wioska, może ktoś mnie przewiezie łódką? Tak czy inaczej, postawiłem sobie za cel dojechanie do Tsogo jeszcze tego samego dnia. Pożegnałem mieszkańców wioski i przekroczyłem rzekę.

Kilka kilometrów dalej roztoczył się przede mną wspaniały widok na rozlewisko Bum Czu. Aż dziwne, że o tym przepięknym miejscu nie wspominały przewodniki, które miałem. Choć z drugiej strony, przy całej atrakcyjności tego miejsca i pobliskiej wioski, po co miałoby tu przyjeżdżać turyści? Jest tu spokój, cisza, woda, góry, ale nie ma ani klasztoru, ani hotelu, ani nawet najlichszego sklepu! Nie ma izolowanej, ogrodzonej, higienicznej enklawy, która ochroni przed wścibskimi, wszędobylskimi, natarczywymi dziećmi, nikt nie zapewni bezpieczeństwa, nie zagwarantuje uspokajającej przewidywalności zdarzeń. I całe szczęście.



Nad rzeką Bum Chu



W Quluo. Mapa, jak zwykle, wzbudziła ogromne zainteresowanie

Kiedy dojeżdżałem do wioski Tsogo, już prawie zmierzchało. Zatrzymałem się przy pierwszej chacie, trochę oddalonej od widocznej z oddali gęstej grupy zabudowań. Z pola przybiegły do mnie dzieci i w ich towarzystwie dojechałem do wioski. Ponieważ moja obstawa napełniała hałasem całą dolinę, nie musiałem długo czekać, aż ktoś wychyli się zza ogrodzenia. Małeńka furtka uchyliła się i pojawił się starszy mężczyzna. Na migi zapytałem, czy mogę rozbić gdzie tutaj namiot. Gospodarz zaprosił mnie do środka i za moment w towarzystwie kilkunastu pomocników rozbijałem się na jego podwórku.

Dzieci nawet za bardzo nie przeszkadzały, patrzyły tylko z ciekawością, jak z kilku aluminiowych pałków i kawałka materiału, powstaje tymczasowy dom. O chwili intymności mogłem zapomnieć. Gospodarzowi najwyraźniej nie przeszkadzało, że na kilkumetrowym podwórku zgromadziło się pół wioski. Nie mogłem przecież wszystkich po prostu wyprosić, również nie na miejscu wydawało mi się zaciągnięcie suwaka i rzucenie „dobranoc”.

Nie byli natrętni, po prostu rozsiedli się dookoła i przyglądali temu, co robię. A ja najzwyczajniej w świecie byłem głodny. Wyjąłem menażkę i poprosiłem o gorącą wodę. Miałem jeszcze trochę liofilizowanego jedzenia, wystarczyło je zalać i kolacja gotowa. Za chwilę starsza kobieta przyniosła mi dwa termosy –

jeden wypełniony wodą, drugi herbatą i do tego, *surprise, surprise*, miskę mąki.

Zalałem spaghetti wrzątkiem i wziąłem się za jedzenie. Siorbanie czegokolwiek w towarzystwie wpatrzonych kilkudziesięciu osób jest doznaniem nietuzinkowym. Usiłowałem zachowywać się tak, jakby dookoła nikogo nie było, bo cóż miałem zrobić? Byłem tam gościem, dość osobliwym, a być może i pierwszym rowerowym turystą, jaki się w Tsogo zatrzymał.

Wszyscy patrzyli na mnie w milczeniu, przerywanym głośnym przelatykaniem śliny. Cóż, podzielić się swoją porcją ze wszystkimi nie mogłem, pozostawało więc jeść i uśmiechać się czasem i taka to była nasza konwersacja – za pomocą gestów, spojrzeń, półuśmiechów próbowaliśmy na chwilę poznać się i zbliżyć do siebie, przełamać dzielący nas *limes*.

Co oni sobie myśleli, patrząc na tego przybysza z innej planety, jedzącego łyżką, a nie ręką, jakieś śmierdzące zarcie (makaron był z serem fetą, która rzeczywiście wydziela dość specyficzny zapach), mającego włosy na nogach, białą skórę i niebieskie oczy?

Gdzie on jechał? Zgubił się, czy co? A gdzie reszta? Sam przecież pewnie nie jedzie?

Pytania, gdybym je zrozumiał, byłyby o tyle zasadne, że następnego dnia okazało się, że droga w wiosce się kończy, ale wtedy, nieświadomy kolejnych przygód, jeszcze o tym nie wiedziałem.

Kiedy skończyłem, wszyscy nadal siedzieli i patrzyli, może bardziej ośmieleni, ale nie wchodzili do namiotu i nie macali rzeczy. Do tego nikt, absolutnie nikt nie powiedział *money, money, money!*

Ten brak intymności w pewnym momencie zaczął mi przeszkadzać, bo jelita wysłały sygnał do mózgu, że trzeba opróżnić zbiorniczek. Wyszedłem z namiotu i zasunąłem nieco zamek, choć sądząc z ich dotychczasowego zachowania, założyłem, że pewnie i tak nikt nie będzie wchodzić do środka. Próbowałem zapytać na migi, gdzie jest sławojka, ale wszyscy tylko się uśmiechali. Nie pozostawało mi nic innego, jak zrobić kilka kroków do przodu i przed zgromadzoną publicznością, odcedzić co trzeba. Czego to człowiek nie jest w stanie zrobić w obcym kraju! Na przykład jedzenie. W życiu w Polsce nie zjadłbym *campy* na obiad, nie mówiąc o innych kulinarnych specjałach, typu kirgiskie baranie oko albo chińskie żywe kalmary. To samo ze wspólnym odsączaniem zbiorniczków, nie mówiąc o cięższym kalibrze. Do dziś cierpię na nieumiejętność korzystania z publicznych pisuarów. Jak ktoś staje obok, po prostu zaworki zupełnie mi się kneblują. A tu proszę, inny kraj, inna kultura, inne tradycje, nie ma rady – jestem gościem, muszę się dostosować do nowych obyczajów i nie oczekiwać, że ktokolwiek będzie dostosowywać się do mnie, starając się zrozumieć moje pisuarowe czy inne fobie.

W sumie nie ma się czego wstydzić, przecież wszyscy robią to samo,

powtarzałem sobie przez chwilę, bo na moment, tradycyjnie znów coś się w środku przyblokowało. Wczesna prostata czy co? Na szczęście było już prawie ciemno i z powodzeniem udało mi się odcedzić kartofelki.

Kilkoro dzieci wybiegło do przodu zobaczyć, czy biały ufoludek przynajmniej z przodu wygląda podobnie. Nie wiem, jak wypadło rozpoznanie, ale sądząc po śmiechach, znów coś było nie tak.

Wróciłem do namiotu, posiedziałem jeszcze trochę u wejścia, ale ponieważ żadnych nowych atrakcji nie wymyśliłem, powoli wszyscy zaczęli mnie opuszczać. W końcu zostało tylko kilkoro maluchów, które jednak siedziały spokojnie obok i właściwie w niczym mi nie przeszkadzały. Zasunąłem się zatem od wewnątrz w namiocie i poszedłem spać.

Rankiem powitała mnie wspaniała pogoda. W nocy było nadzwyczaj ciepło, termometr pokazywał piętnaście stopni powyżej zera. Wszedłem przed namiot i tradycyjnie, zacząłem od rozgrzewki. Po kilku podskokach i wymachach w drzwiach chałupy pojawiła się gospodyni i gestami zaprosiła do środka na śniadanie. Założyłem spodnie i wszedłem do środka chałupy. Kobieta postawiła przede mną termos z herbatą i *campę* z cukrem. Poza nią, w izbie nikogo nie było. Próbowałem ją zaprosić do wspólnego śniadania, ale zrozumiałem, że już jadła wcześniej. Podśpiewywała pod nosem i zamiatała podłogę, gdy ja w tym czasie podjadalem i wyglądałem przez okno. Dookoła namiotu zebrała się już spora grupa dokazujących maluchów. Wyglądały, jakby próbowały wykurzyć mnie na zewnątrz. Wychyliłem się z okna i krzyknąłem: *Hello!* Hihi, tego się nie spodziewały. Prysnęły za ogrodzenie i schowały za białym parkanem. Peryskopy z rozczochranych czupryn wychylały się powoli, lustrując sytuację. Za moment wróciły na porzucone pozycje i zabrały się za macanie roweru. No trudno, pomyślałem, i tak miałem dziś wyregulować przerzutki.

Podziękowałem za posiłek, wróciłem do namiotu i w towarzystwie, choć już mniej licznym niż poprzedniego dnia, zwinąłem obozowisko. Wróciłem jeszcze na moment do kobiety, dając jej pieniądze za nocleg i posiłek, ale stanowczo odmówiła. Zostawiłem więc kilka drobiazgów i ostatnią paczkę herbatników, wziąłem ofiarowany w zamian woreczek *campy* i ruszyłem w głąb wioski.

Na dwóch moich mapach, w wiosce Tsogo wyrysowano most oraz drogę, prowadzącą do wioski Qudang. Próbowałem popytać o dalszą drogę już wczoraj, ale wszyscy wskazywali drugą stronę rzeki. Następnego dnia było podobnie. Kiedy wymieniałem nazwę wioski Qudang, tubylcy powtarzali Czudang i na migi pokazywali, że na rowerze tam nie dojadę, albo zataczali duży łuk ręką, wskazując przeciwległy brzeg. Szkopuł w tym, że na drugiej mapie, wioska Qudang zaznaczona była jako Kharta. Nazwa ta nic nikomu nie mówiła, za to Czudang najwyraźniej wszyscy znali. Wyglądało na to, że powinienem był trzymać się drugiej strony rzeki. Kiedy ja mówiłem Czudang, oni powtarzali Tashi Dzom.



O chwili intymności można tylko pomarzyć

Widoczną w wioski przełęcz Ji, także mi odradzano. Jeden mężczyzna tłumaczył częściowo na migi, że z rowerem się tamtędy nie przeprawię. I rzeczywiście. Stroma ściana wyrastająca na zachód od wioski nie wyglądała na łatwą do pokonania nawet na piechotę, a cóż dopiero z rowerem... Na jednej z map, zaznaczono również inną przełęcz – Chokchu. To słowo też jednak

wywoływało odpowiedź, która zaczynała powoli brzmieć jak mantra – Tashi Dzom, Tashi Dzom, Sampa, Baipa, Czudang. Cóż, wszystko wskazywało na to, że będę musiał wrócić do Quluo i jechać po prawej stronie rzeki Bum, bo raczej nie zamierzałem wracać się do Tashi Dzom...

Stałem przed jednym z budynków, otoczony przez powiększającą się coraz bardziej gromadę mieszkańców. Wieść o tym, że jakiś biały rowerzysta chce dojechać „nie wiadomo do końca gdzie i po co”, zapewne rozeszła się po wiosce lotem błyskawicy. Być może, mój przyjazd będzie odnotowany u lokalnego sołtysa, a ludzie nie będą wspominać zdarzeń z owego roku inaczej niż: „a pamiętacie sąsiadko, jak biały na rowerze przyjechał? To tego roku było, co u Mańki bliźnięta się urodziły!”.





Tsogo. Umorusane buzie miejscowych dzieciaków

Czas mierzony wydarzeniami, a nie datami. Czas przeżywany, na pewno nie tracony. Przez swój nagły przyjazd pewnie pchnąłem go trochę do przodu, zburzyłem spokój, oderwałem mieszkańców od domowych obowiązków, wstrzymałem nieuchronność zdarzeń, zachwiałem przewidywalność dni. Otoczony przez zaciekawione spojrzenia, gesty i niezrozumiałe dźwięki, czułem się trochę jak wędrowny aktor, przybyły z cyrkowym przedstawieniem, ale jedyną rolą, jaką mogłem zagrać, była postać klauna, który i tak zresztą nic nie musiał robić. Uciechę wzbudzał samą swoją obecnością.

Zrobiła się atmosfera małego pikniku, bo dwie kobiety przysiadły się obok mnie i rozłożywszy ogromne koce, nalały z termosów herbatę do rozstawionych miseczek z *campą*. Nie pozostawało mi nic innego, jak przyłączyć się do reszty i dać się ponieść temu, co dzieje się dookoła. Rozłożyłem karimatę i dołączyłem do pikniku. Piliśmy herbatę i pozwalaliśmy czasowi gnuśnie płynąć, spędzając przedpołudnie, jakbyśmy czekali na Godota.

Wśród sennego milczenia, przyglądaliśmy się sobie.

Pośród płochliwych gestów, nieśmiało zbliżaliśmy się do siebie.

Nie rozumiejąc swoich słów, na swój sposób poznawaliśmy się wzajemnie.



Rozdział 15

Nie nocowałem już powtórnie w Tsogo. Wróciłem do mostu, znajdującego się w Quluo i ruszyłem w stronę wioski Chang Suo. Po drugiej stronie rzeki droga odbiła na wschód, a nawierzchnia wyraźnie się poprawiła. Tylko pogoda się zdecydowanie popsowała. Zacinający wiatr i mocny deszcz nie uprzyjemniały jazdy. Jechałem jednak dalej, z myślą, że dojadę do wioski i spróbuję znaleźć jakiś nocleg pod dachem.

Późnym wieczorem, standardowo, zatrzymałem się przy pierwszych zabudowaniach. Brama była otwarta, wszedłem na duże podwórko i od razu natknąłem się na gospodarza. Nawet nie musiałem się wysilać i tłumaczyć, skąd się wziąłem. Przemoczony do suchej nitki, słaniając się na nogach ze zmęczenia, zapytałem, czy mogę zostać na noc. Mężczyzna wykonał znak ręką, który odczytałem jako zaproszenie do środka. Zabrałem jeszcze kilka drobiazgów z sakw – głównie jedzenie i śpiwór i poszedłem za gospodarzem. W przestronnym pokoju, przy ogromnym stole, siedziało kilka osób.

– *Tashi dele!* – powitali mnie wszyscy gromkim głosem.

– *Tashi dele!* – wycharczałem i wyszczerzyłem zęby w uśmiechu. Jest dobrze, domownicy wydają się być zadowoleni z wizyty, może pozwolą zostać w środku. Starsza kobieta od razu zabrała się za nalewanie herbaty do miseczki, a jeden z dwóch chłopców przyniósł miseczkę *campy*. W reklamówce miałem makaron, pomyślałem, że spróbuję poprosić o ugotowanie. Pokazałem menażkę i podszedłem z nią do pieca. Kobieta w mig pojęła, o co chodzi. Wzięła ode mnie jedzenie i sprawnie rozerwała paczkę. Oho, no to miałem makaron, pomyślałem. Dwukilogramowe opakowanie zniknęło w czeluściach wielgachnego gara. No nic, będzie wyzerka dla wszystkich.

W międzyczasie próbowaliśmy nawiązać nic porozumienia. W domu mieszkało sześć osób, rodzice i czwórka dzieci – dwie dziewczynki i dwóch chłopców. Mama, która według mnie wyglądała na co najmniej siedemdziesiąt pięć lat, miała pięćdziesiąt pięć. Tacie spokojnie dałbym osiemdziesiąt, miał

sześćdziesiąt cztery... Rozcapierzając palce, gospodarz wymawiał tybetańskie liczebniki. Po raz pierwszy zauważyłem, że niektóre z nich były w wymowie bardzo podobne do japońskich! Przypadkiem odkryłem też, że jeden z chłopców, jedenastolatek, uczy się angielskiego! Sam bym w życiu na to nie wpadł, bo wszystko, co potrafił powiedzieć, sprowadzało się do *hallo*, ale jego mama posadziła go obok mnie i przyniosła książkę „English is Fun” – poziom czwarty! Mając opanowany chociaż częściowo materiał z tego podręcznika, powinien być móc dość swobodnie rozmawiać...

Zrobiło mi się trochę smutno, bo pomyślałem, że pewnie w szkole nie mają innych podręczników i uczą się z tych zupełnie nieodpowiednich, bo nikt przecież nie zaczyna się uczyć obcego języka od razu z poziomu średnio zaawansowanego... Chłopiec nie potrafił odpowiedzieć na żadne pytanie, nawet na tak proste, jak „Jak masz na imię?” albo „Ile masz lat?”. Nie rozumiał słów: siostra, brat, mieszkać... Z drugiej strony, nawet jeśli uczył się z tak zaawansowanego podręcznika, to przecież nauczyciel, nie mając dostępu do odpowiednich pomocy naukowych, wiele może przygotować sam. Chłopiec zresztą powinien mieć chociaż zeszyt, a takiego mi nie pokazał. Kiedy prosiłem go, aby coś przeczytał, czytał litery, a nie słowa i nic z tego, co czytał, nie rozumiał...

Wciągałem makaron z *campą* i herbatą i przysłuchiwałem się sylabizującemu chłopcu. Co jakiś czas potakiwałem głową, a napotkawszy spojrzenie kobiety, uśmiechałem się miło, potwierdzając lingwistyczne umiejętności syna.

Tego dnia były moje urodziny, co próbowałem wytłumaczyć, pokazując dowód i powtarzając „urodziny” po tybetańsku, ale nie wiem czy zrozumieli. Makaronu zjadłem chyba z pół gara. Nikt mi nie towarzyszył w kolacji, a jak tylko ubyło go trochę z talerza, gospodyni zaraz dokładała. Na nic zdały się protesty. Kiedy jednak poczułem, że za moment pęknę, wyraźnie dałem do zrozumienia, że więcej nie dam rady i wstałem od stołu. Może i było to nieeleganckie, ale jeszcze jedna dokładka i zwałbym się na podłogę. Procentów tym razem żadnych nie było. Tata zresztą prawie się nie odzywał. Siedział w kącie i posapywał.

Domownicy powoli szykowali się do snu. Pomyślałem, że fajnie byłoby umyć zęby, ale już nie chciałem robić zamieszania, a domownicy też zagrzebywali się pod sterty koców bez mycia i przebierania. Dostałem kawałek podłogi, na którym rozłożyłem karimatę, wyciągnąłem śpiwór. W izbie było jeszcze ciepło, ale jak piec wygaśnie, na pewno zrobi się chłodniej. Rozebrałem się jednak, bo miałem ciepły śpiwór i, jak co wieczór, zrobiłem sobie z ubrań poduszkę. Zgaszono lampkę i nastąpiła ciemność. Oczy powoli przyzwyczajały się do wyłaniających się z mroku pozbawionych koloru kształtów. Leżałem na podłodze, w otoczeniu nieznannej mi rodziny, wsłuchany w obce dźwięki, wpatrzony w dogasający nawóz w piecu.

Na zewnątrz, oparty o ubielony wapnem płot, odpoczywał dwukołowy

przyjaciel.

Obudziłem się skoro świt. Rodziców już nie było, a dzieci ciągle jeszcze spały. Ubrałem się i wyszedłem na podwórko. Kilka metrów od schodków gospodyni doiła krowę. Przywołała mnie do siebie i gestem wskazała leżące obok wiadro. Wstała ze stołka i na migi dała do zrozumienia, abym spróbował wyręczyć ją w pracy. Nie jestem mistrzem dojenja, myślę, ale trochę praktyki nie zaszkodzi. Siadam przy wymionach i zaczynam ugniatać, co trzeba. Obciążam delikatnie wymiona, ale chyba nie w tym rzecz, bo nic nie wypływa. Gospodyni śmieje się, podchodzi do mnie i instruuje, co i jak. Coś tam do tego mruczy pod nosem po tybetańsku, pewnie: krowy nie pieścimy, tylko doimy. Patrę, jak spod zręcznych placów wypływają strumienie mleka. Rzeczywiście, musiałem być zbyt delikatny. Dostaję drugą szansę, ale wymiona chyba się zatkały, bo wycisnąłem tylko marną, jedną strużkę. W takim tempie, nie zapełniłbym wiadra do wieczora. Poddaję się i wracam do domu. Dzieci już wstały, a kilka minut później zebrała się reszta domowników.

Zaproszono mnie do wspólnego śniadania, tradycyjnie *campa* z herbatą i ryż z mlekiem. Najadłem się do syta, poprosiłem jeszcze o herbatę do termosu i wyszedłem na zewnątrz spakować rzeczy, a przy okazji sprawdzić stan roweru. Trochę mi zeszło z dopompowaniem kół, smarowaniem łańcucha i wymianą klocków hamulcowych, ale przynajmniej dzieci gospodarzy miały zajęcie. Siedziały cały czas dookoła i nawet trochę pomagały. Nie były w żaden sposób natrętne, podchodząc jak prosiłem o przytrzymanie roweru bądź kluczy.

Gdy rower był gotowy do drogi, dałem go najstarszemu chłopcu, aby sobie pojeździł. Myślałem, że zrobi dwa kółka dookoła podwórka, ale on wyszedł na drogę i pomknął do wioski. No trudno, pomyślałem. Może mu nikt patyka między szprychy nie włoży, a i jemu, na przykład, nie przyjdzie do głowy sprawdzić z pomocą młotka wytrzymałość ramy...

Na zewnątrz wyszedł gospodarz i zaczął coś wykrzykiwać do pozostałej trójki dzieci. Najwyraźniej pytał, gdzie się podział najstarszy syn.



Chang Suo. Pracowita gospodyni, u której miałem okazję nocować



Na krośnie powstaje właśnie nowy wzorzysty chodniczek



Sesja zdjęciowa w Chang Suo



– Pojechał do wioski rowerem białego – zapewne odpowiedziały dzieci, pokazując mnie i stronę, w którą pomknął chłopiec.

Nie wiem, co dokładnie odpowiedział tata, ale z tonu jego głosu mogłem się domyślić, że nie był zachwycony moim szczodrym gestem. Dzieci wymownie milczały, kiedy krępy mężczyzna wyrzucał z siebie głośnie, krótkie zdania.

E tam, co się może stać, pocieszałem siebie, przecież w wiosce i tak mu rower nikt nie ukradnie, a i on sam raczej nie wpadnie na pomysł ucieczki z domu i ruszenia w nieznaną. Na taką nieoczekiwaną zmianę miejsc i zamieszkanie w tybetańskiej wiosce nie byłem wtedy jeszcze gotowy, mogłem więc mieć tylko nadzieję, że chłopiec jednak wróci.

Podszedłem do gospodarza, aby zapłacić za gościnę, ale on, widząc pieniądze, coś tam burknął, kiwnął głową i dał do zrozumienia, abym wszedł do środka.

Za moment okazało się, że kasę w domu trzyma mama, bo to ona wzięła ode mnie pieniądze. Suma, którą zostawiłem, chyba wydała się satysfakcjonująca, bo gospodyni uśmiechnęła się, wsunęła pieniądze w fałdy sukienki i wróciła do pracy przy krośnie.

Wyszedłem na podwórze, a tam już czekał chłopiec z rowerem. Za sobą przyciągnął grupkę kilkunastu kumpli, ale wszyscy grzecznie stali za ogrodzeniem, co jakiś czas tylko zaglądając przez uchyloną furtkę. Wyszedłem do nich na drogę z aparatem i zacząłem fotografować. Pozowali bardzo chętnie, przeciskając się jeden przez drugiego i widać było, że sprawia im to dużą frajdę. Zapewne podobnej rozrywki, w postaci ubawu z opiętego w obcisłe ciuszki białego typu, jeszcze w życiu nie zaznali, choć kto wie, może kiedyś jakiś rowerzysta zaplątał się w Chang Suo. Tego niestety nie mogłem się dowiedzieć.

Zabawę mieliśmy obopólną, ja robiąc zdjęcia, oni poprzez pozowanie i wygłupy. Dzieci, jak to dzieci, mogłyby pewnie ciągnąć swoje harce do wieczora, ja jednak po godzinie wzajemnej uciechy miałem już trochę dość. Ciągnęło mnie w drogę i nie chciałem też nadużywać gościnności rodziny, u której nocowałem. Miałem wyjechać rano, a było już dobrze po południu.



Pozowali bardzo chętnie, przeciskając się jeden przez drugiego i widać było, że sprawia im to dużą frajdę

Wróciłem więc na podwórko, dopakowałem rzeczy, pożegnałem się z gospodarzami i ruszyłem w stronę wioskowych zabudowań, ciągnąc za sobą kilkunastoosobową, wrzeszczącą wniebogłosy obstawę. Z powodu wybojów nie mogłem jechać zbyt szybko, więc chcąc nie chcąc, musiałem tolerować biegnące obok dzieci. W wiosce dołączyło ich jeszcze więcej, ale nawierzchnia drogi

poprawiła się, mogłem więc wreszcie na tyle się rozpędzić, by w końcu zostawić za sobą rozkrzyczaną hałastrę.

Za wioską trochę się pogubiłem, droga właściwie się skończyła i w końcu jechałem w szczerym polu. Nawierzchnia jednak nie była piaszczysta, a kamienista, stąd nawet pomimo braku drogi jechało się dość sprawnie. Postanowiłem zatoczyć koło i wrócić w stronę rzeki Bum, mimo wszystko pewniej czułbym się jadąc jakąś drogą.

Jechałem w stronę kolejnych, widocznych w oddali zabudowań, otoczonych kolczastymi zasiekami i wysokim na kilka metrów murem. Najprawdopodobniej była to jakaś jednostka wojskowa. Pomysł, aby podjechać do zabudowań okazał się słuszny, bo za nimi pojawiła się droga.

O, człowiek, zaraz zapytam o kierunek, myślę, widząc chińskiego żołnierza, obserwującego mnie przez lornetkę. Niestety, wiele się nie dowiedziałem. Leniwemu strażnikowi, wspartemu na balustradzie małej wieżyczki, nawet się nie chciało odpowiedzieć na moje pytanie, czy dojadę stamtąd do wioski NieXia. Wzruszył w końcu kilka razy ramionami, a ja wolałem się oddalić, bo jeszcze przyszłoby mu do głowy sprawdzać jakieś pozwolenia albo doczepić się do tego, co ja tam właściwie robię.

Swoją drogą i tak dziwne, że właściwie nie wykazał moją osobą żadnego zainteresowania, nawet nie wyglądał na choć odrobinę zdziwionego, tak jakby przyzwyczajony był do regularnych wizyt zabłąkanych rowerzystów.

Wreszcie dojechałem do Bum Czu, a po drugiej stronie rzeki dostrzegłem zabudowania wioski Tsogo. Widok był jeszcze piękniejszy niż od strony zachodniej. Zbocza gór utworzyły rozświetlone słońcem tło, rozsnute do góry aż po same chmury, a w rzece mieniły się soczysto zielone łąki, na których pasły się zwierzęta. Nie było sensu jechać dalej na siłę. Rozbiłem namiot, rozłożyłem na kamienistym podłożu karimatę i zjadłem wczesną kolację.

Niezaprzeczalnym plusem podróżowania samemu jest to, że z nikim nie trzeba się dogadywać, układać, szukać kompromisów, rezygnować, ulegać, ustępować, szczególnie w sprawach tak zasadniczych, jak miejsce i długość noclegu, godzina pobudki, ruszenia dalej, zwiedzenia tego czy tamtego, czy w ogóle podejmowania jakichkolwiek decyzji, dotyczących planu dalszej wędrówki. Jeśli chcę, to rozbiję się tutaj, nikogo nie muszę pytać o zgodę, jeśli miejsce mi się spodoba, zostanę w nim choćby i dwa dni. I wcale nie mam potrzeby dzielenia się z kimś trwającą chwilą, o co mnie czasem niektórzy pytają. Nie, nie brakuje mi drugiej osoby do tego, abym mógł przeżywać chwilę, przecież to moje własne przeżycia i zupełnie nie rozumiem stawianych czasem pytań, czy nie odczuwałbym czegoś głębiej, czy nie byłoby mi lepiej, gdyby obok mnie siedziała druga osoba. A skąd ja mam do licha wiedzieć, co wtedy działałoby się w tej drugiej osobie? I dlaczego właściwie miałyby mnie to obchodzić?

Co innego po powrocie, bardzo chętnie dzielę się przeżyciami, choćby poprzez zdjęcia, ale podczas samej podróży doskonale radzę sobie we własnym towarzystwie. I w żaden sposób nie doskwiera mi samotność. Powtórzyłbym za Markiem Kamińskim, że wiele razy czułem się samotny w wielkim mieście, ale nigdy podczas wypraw.

Leżałem z pełnym brzuchem, patrząc na leniwie płynącą wodę i odbijające się w niej zarysy wioski i okolicznych szczytów. Była we mnie pełna równowaga myśli. Porwała je przepływająca obok rzeka, zamieniając w senne, niemrawo przesuujące się obrazy mijającego dnia. Wyzbyty z pragnień, poza jednym, żeby błada twarz przesytu sprolongowała odwiedzin, patrzyłem na zanikające kontury krajobrazu, ospale spowijane przez potęgującą się czerń nocy.

Rankiem, po skromnym śniadaniu złożonym z kilku herbatników, kontynuowałem jazdę przez kilka kilometrów na wschód, by potem, pożegnawszy rzekę po raz kolejny, znów odbić na północ. Jechałem po bardzo suchym terenie wśród wysokich na kilkanaście metrów wydmy. Jedynie na „mapie z mostem” zaznaczono drogę, którą podążałem. Według mapy, powinna doprowadzić mnie do wioski NieXia.

Do wieczora nie spotkałem żywego ducha, nie wyminął mnie ani nie wyprzedził żaden samochód, do wioski ciągle było daleko, a według brytyjskich kartografów już dawno powinienem był do niej dojechać. Myślałem nawet, że może ją minąłem i nie zauważyłem, a z mapy trudno było ustalić, jak daleko od drogi znajdowała się wioska. Sytuacja była trochę nieciekawa, bo wody zabrałem niewiele, a od śniadania nic nie jadłem poza kilkoma herbatnikami. Ciągle liczyłem, że za kolejnym zakrętem wreszcie zobaczę jakieś zabudowania, ale po horyzont ciągnęły się tylko kolejne wydmy.

Raz po raz rylem w zaspach, do tego wiał silny wiatr i piasek wciskał się we wszystkie zakamarki ciała – czułem go już nawet pod bielizną.

Okolo południa, ze strony, w którą jechałem, zaczęły nadciągać groźnie wyglądające chmury. Nie sposób było uciec, ani gdziekolwiek się schować. Godzinę później rozszalała się nade mną istna nawałnica. Przykryłem rower dużym kawałkiem folii, sam schowałem się pod drugi i siedząc w kucki na piasku, zbierałem na sobie liczne razy grubych kropel deszczu i twardych, gradowych kulek. Taki naturalny masaż, muszę przyznać, był bardzo ożywczy.

W międzyczasie zajadałem suchy makaron z chińskiej zupki, popijając go resztką herbaty z termosu. Obiad dość skromny, ale i tak kilka świeżych kalorii poprawiło mi nastrój. Nie jest źle, myślałem, zawsze mogłoby być gorzej. Po raz kolejny cieszyłem się, że jestem sam i nie ma obok nikogo, kogo zły humor trzeba byłoby teraz znosić, a już nie daj Boże kogoś, kogo trzeba byłoby pocieszać. Bombardowany przez coraz większe gradowe kulki, zużywałem i tak wystarczająco dużo energii, aby przekonać samego siebie, że czuję się doskonale

i świetnie się bawię.

Jako że pewne rzeczy są nad wyraz przewidywalne, należało tylko uzbroić się w cierpliwość i poczekać, aż wiatr przegoni chmury, a na niebie znów pojawi się palące słońce. Gradowy masaż powoli wytracał impet i wkrótce zamienił się w delikatną pieszczotę kropel deszczu. Jeszcze pół godziny i mogłem kontynuować jazdę.

Późnym popołudniem dostrzegłem wreszcie jakieś zabudowania. Kilka kilometrów dalej piaszczysta droga odbijała na północ w stronę wioski. Nie wyglądała na zbyt uczęszczaną, ale innej mogło dalej nie być, skręciłem więc w szutrowy szlak i zakopując się raz po raz w zwałach piasku, zbliżałem się do zabudowań. Zatrzymałem się przy pierwszej chacie. Oparty o białe ogrodzenie, siedzący w kucki mężczyzna ćmił papierosa.

– *Tashi dele!* – zawołałem.

– *Tashi dele!* – odpowiedział krępy jegomość, bynajmniej nie wyglądający na Azjatę.

– Czy mógłbym tutaj kupić coś do zjedzenia i picia? – zapytałem po angielsku.

Mężczyzna wstał, otrzepał spodnie i wyrzuciwszy niedopałek, machnął ręką, abym poszedł za nim. Chyba zrozumiał! Zostawiłem rower na podwórku i wszedłem do środka. W pokoju, przy piecu, krzątała się kobieta.

– Dzień dobry! – rzuciłem znów po angielsku, bo sądząc po rysach twarzy oboje zdecydowanie nie byli Azjatami. Na pierwszy rzut okaz stanowili mieszankę Europejczyka z Arabem.

Kobieta coś tam odburknęła i wskazała ręką stół. Za moment zajadałem rosół z kluskami i jakimś niezidentyfikowanym mięsem. Pierwszy raz w Tybecie nie poczęstowano mnie herbatą tylko szklanką wody! I co od razu rzuciło się w oczy – na ścianach nie wisały żadne obrazy z wizerunkami Buddów, nie uśmiechał się do mnie żaden partyjny przywódca, nigdzie też nie było termosów, a w kącie stał najprawdziwszy globus!

– Czy to jest wioska NieXia? – próbowałem zagaić rozmowę, kierując pytanie do gospodyni. Spojrzała na mnie badawczo, jakbym zadał jakieś nieprzyzwoite pytanie, ale nie zaszczyciła mnie odpowiedzią. Milczała. Oboje milczeli. Kręcili głowami, jakby niczego nie rozumieli. Kiedy siorbałem kluski z rosółem, mężczyzna rozłożył się na kanapie i wpatrując się we mnie badawczo, wolno ćmił papierosa. Kobieta w tym czasie zajęła się cerowaniem swetra.



Okolice wioski NieXia

Czułem się nieswojo, ale nie było sensu na siłę zabijać ciszy. Dobrze, skoro mamy milczeć, niech tak będzie. Spokojnie dojadłem posiłek, wstałem i sięgnąłem po pieniądze. Z gestu mężczyzny odczytałem, że mam schować papierki. Poprosiłem jeszcze o wrzątek do termosu, dolałem zimnej wody do bidonów i pożegnałem się z dziwną parą.

Wróciłem do głównej drogi i kontynuowałem jazdę na południowy wschód. Wiał mocny wiatr, ale nie zanosilo się na kolejne gradobicie, niebo pokrywały kłębiaste cumulusy.

Pod wieczór napotkałem nieoczekiwaną przeszkodę. W poprzek drogi płynął głęboki, wartki strumień. Zdjąłem buty i podwinąłem spodnie, ale kiedy już miałem przechodzić na drugą stronę, pomyślałem, że właściwie jest to doskonale miejsce na nocleg. Woda, cisza i spokój, w promieniu wielu kilometrów pewnie nie było żywego ducha. Na wszelki wypadek odszedłem trochę od drogi, żeby w nocy nie rozjechała mnie jakaś zabłąkana ciężarówka (choć od trzech dni nie widziałem żadnych mechanicznych pojazdów) i rozbiłem namiot przy strumyku, wśród rzadko rozsianych kępek trawy.

Zasypiałem wsłuchany w szemrzący obok strumyk. Wieczór w namiocie

podobny do wielu innych, setki razy przeżywanych, kiedy lekki niepokój wpełza cicho, podburza spokojne myśli, kiedy ucho nasłuchuje, wyłapując nieznaną dźwięki, przyzwyczajając się do melodii obcego miejsca. A ciemność, siostra lęku, potęguje tylko senne widziadła. Dzień wszystko zetrze, wytłumaczy dziwne dźwięki, światło nada kształt i barwę, zmory odejdą, przestaną straszyć, ale nocą, nocą wszystko wydaje się inne. Wyolbrzymione, zwielokrotnione, czasem upiorne.

Nie wiem, jak długo to potrwa, może całe życie, ale ciągle nie mam dość nocy daleko od domu.

Rankiem czekała mnie nieprzyjemna niespodzianka – w obu kołach flak. Czyżby ktoś się zakradł i przebił celowo dętki? Wydawało się to mało prawdopodobne. Dobrze, że obok płynęła woda – łatwiej było zlokalizować miejsca przebicia. Miałem aż siedem dziur! Podczas sprawdzania opony, znalazłem kilka ostrych kolców – to one były przyczyną flaków w obu kołach. Szukając poprzedniego dnia dobrego miejsca na rozbicie namiotu, nie zwróciłem uwagi na rosnące wokół maleńkie krzaczki z bardzo ostrymi kolcami, w kształcie gwiazdeczek. To one powbijały się w koło i stąd moje poranne kłopoty. Zeszło trochę czasu, zanim zalepiłem wszystkie dziury. Miałem co prawda jeszcze dwie zapasowe dętki, ale wolałem zachować je na później.



Cerowanie podziurawionych dętek

Na śniadanie zjadłem resztę *campy* z cukrem. Wody ze strumienia nie piłem, bo pływały w nim zdechłe ryby. Nawet gdybym miał butelkę MSR, to chyba i tak nie ryzykowałbym gotowania. W blasku poranka, miejsce noclegu nie wydawało się już tak idylliczne, jak wieczorem. Z krzaków wystawały jakieś pordezwiśle, metalowe pręty, a po obu brzegach strumienia, fosforyzowały w słońcu gęste plamy oleju. Co za idiota zanieczyścił tutaj wodę? Potok płynął od strony leżących nieopodal wysokich wzgórz, może tam było źródło zanieczyszczeń?

Spakowałem rzeczy i wróciłem do drogi. Aby już nie ryzykować ponownego przebiccia, przeniosłem rower przez trawę na plecach. Kiedy wydaląłem z siebie strawione już śniadanie, zauważyłem biegnącego z oddali chłopca. Najchętniej bym mu czmychnął, domyślałem się bowiem, po co biegnie. Tempo miał jednak niezłe, a ja jeszcze musiałem spokojnie dokończyć wypróżnienie i zamocować bagaże do roweru. Podbiegł zdyszany, kiedy siłowałem się z jednym z zatrząsków.

– *Money, money, money* – wysapał, ledwo łapiąc oddech.

Na zabiedzonego nie wyglądał. Godzinę wcześniej zjadłem garść *campy* na śniadanie, pić mi się chciało okropnie, a on mi tutaj maca się po brzuchu i wyciąga dłoń, prosząc o pieniądze. Naprawdę nie byłem w nastroju. Wyrzuciłem z siebie dosadną, soczystą wiązaną inwektyw, sugestywnie dopełniając ją wymownymi gestami. Podziałało.

Wypróżniony podwójnie, wsiałem na rower i odjechałem. No i cały trening cierpliwości diabli wzięli.

Jechałem na południe, nie do końca wiedząc gdzie. Niemniej jednak, miałem nadzieję dojechać do miasteczka Tingkye Dzong. Na mapy nie mogłem już liczyć, bowiem ta najbardziej wiarygodna nie obejmowała terenu, na którym się znajdowałem, a na dwóch pozostałych już się wystarczająco zawiodłem.

Późnym południem dostrzegłem w oddali powiększający się obłoczek kurzu. Wreszcie jacyś ludzie, myślę, zasięgnę informacji, czy jestem na dobrej drodze do miasteczka. Powoli zbliżał się ciągnik z grupą Tybetańczyków. Zsiadłem z roweru i spokojnie czekałem na wybawców. Za moment zatrzymali się obok mnie, pozdrawiając wesoło:

– *Tashi dele!*

– *Tashi dele!* – odpowiedziałem i ruchem ręki wskazałem na południe, powtarzając kilkakrotnie Tingkye Dzong.

Kierowca zsiadł z ciągnika i podszedł do mnie, a ja wskazałem na mapie miejscowość, zapisaną tybetańskimi znaczkami. Mapa najpierw powędrowała w ogromne dłonie mężczyzny, ale z jego nieogarniętej miny wywnioskowałem, że nie wie, o co mi w ogóle chodzi. Pukałem palcem w odpowiednie znaczki, ale on wyraźnie zainteresowany był innymi nazwami, które ku uciesze współpasażerów, głośno wymawiał z nieukrywanym zdziwieniem. Mapa za moment powędrowała

na plandekę ciągnika, gdzie, oczywiście, wzbudziła podobne zainteresowanie.

Ponowiłem pytanie do kierowcy i pokazując kierunek, powtarzałem nazwę miejscowości.

– *Money, money, money* – krótkie słowa rzucone w moją stronę zraniły mocniej niż fizyczne razy.

Jak to, miałem zapłacić za moją mapę czy za informacje, czy może jakieś myto za korzystanie z drogi, a może za wszystko naraz?

Miałem już tego dość. Czułem się chłostany słowami, coraz mocniej, dotkliwiej, boleśniej. Zabrałem mapę, wsiadłem na rower i odjechałem, żegnany śmiechem i gwizdami.

I tyle ze spotkania.

Szeroka, pokryta koleinami szutrówka, ciągnęła się po kamienistym płaskowyzu, wspinając się leniwie w stronę widocznych w oddali wzgórz. Ciągle nie widziałem żadnych zabudowań. Droga biegła nieprzerwanie na południe, a ja byłem coraz bardziej zmęczony.

Późnym popołudniem dostrzegłem wylaniające się zarysy zabudowań. Stromy zjazd doprowadził mnie do zadbanych, otynkowanych na biało baraków. Oho! *Frontier Station*, czytam na tabliczce przy bramie, czyżbym niechcący dojechał do granicy?

Wycofać się już nie mogłem, bo zauważył mnie młody, chiński żołnierz i powoli zbliżał się do bramy.

– Dzień dobry, czy mogę tutaj kupić coś do zjedzenia i picia? – pytam z najniewinniejszym uśmiechem, na jaki mnie było stać.

Ponawiam pytanie, pomagając sobie gestami, bo widzę, że Chińczyk niewiele rozumie. Wreszcie załapał. Żołnierz wydawał się być bardzo sympatyczny i chętny do pomocy, najważniejsze, że nie wykazywał żadnej złości ani agresji.

Weszliśmy do środka budynku. W środku, w małym pokoju, siedział przy stole drugi chłopak, który uśmiechnął się szeroko, kiedy wszedłem. Poczęstowali mnie herbatą i próbowali sklecić kilka pytań po angielsku, ale szło im topornie. Pierwszy żołnierz zostawił mnie w towarzystwie kolegi, który milcząco mi się przypatrywał i podchodził z dolewką, kiedy tylko coś ubyło z kubka.

Za moment weszli trzej oficerowie.

– Co ty tutaj robisz? – pyta jeden z nich.

– No jeżdżę sobie rowerem – odpowiadam zachwycony, że wreszcie ktoś mówi płynnie po angielsku.

– Jak to jeździsz sobie rowerem? Ale skąd, dokąd?

– Kilka dni temu ruszyłem z Baipy, a teraz chciałem dojechać do Tingkye Dzong.

Ze zdziwionej miny wojskowego odczytuję, że nie zrozumiał. Wyciągam mapę i pokazuję miejscowość palcem.

- Skąd ta mapa? – pada gniewne pytanie.
- W Polsce kupiłem – odpowiadam ze skruszoną miną, jakbym przyznawał się do popełnienia poważnego wykroczenia. No tak, no to miałem mapę, myślę.
- W Polsce? To ty jesteś z Polski? Jesteś dziennikarzem?
- Tak. I nie. To znaczy z Polski, ale nie dziennikarzem – mówię i czekam, aż wojskowi pobawią się w wyszukiwanie znajomych miejsc na mapie. Na moment przestali zwracać na mnie uwagę, więc wróciłem do siorbania herbaty.



Nie, nie jestem dziennikarzem. Naprawdę nie jestem dziennikarzem –

spotkanie ze strażnikami

Bąłem się, że zaraz pojawią się pytania o jakieś pozwolenia, permyty, ale oni tylko sprawdzili paszport i wizę, a wszystkie dane przepisali do swoich kajecików. Poza tym, że byli bardzo oficjalni i poważni, wydawali się być zachwyceni możliwością poćwiczenia angielskiego i generalnie porozmawiania. Dwóch mężczyzn w końcu gdzieś wyszło.

– Zaraz dostaniesz coś do jedzenia – powiedział pozostały oficer.

Wkrótce kucharz przyniósł dwie miski ryżu z mięsem i talerz zupy pomidorowej, która ani trochę nie była ostra! Może curry, które miało być użyte do zupy, dodali do ryżu, ten bowiem był prawie nie do przełknięcia bez popicia.

– A po co jedziesz do Tingkye Dzong, tam nic przecież nie ma. Poza tym, nie powinieneś tam jechać, to tereny przygraniczne, turystom nie wolno tam jechać. – Nagle zrobiło się mniej przyjemnie.

– Właściwie to nie muszę jechać aż tak daleko, mogę wrócić do Baipy.

– Ok, ale po co chciałeś jechać do Tingkye Dzong?

– No przecież już mówiłem, że nie chciałem, to znaczy chciałem, ale nie muszę.

– To chciałeś czy nie chciałeś? Jak nie chciałeś, to gdzie jechałeś? I właściwie to co ty tutaj robisz? Jesteś dziennikarzem?

Oficer był cały czas uprzejmy, więc dlaczego nagle poczułem, że jestem cały mokry? Spoko, spoko, myślę sobie, jakby mi mieli coś zrobić, to już by zrobili. Ot, tak sobie rozmawiamy, trochę inaczej, niż w podręczniku do angielskiego, nie pytamy się przecież o ilość braci i sióstr w rodzinie ani gdzie jest najbliższa poczta, ani co sądzę o globalizacji, czy jakie są plusy i minusy bycia jedynakiem.

Pan pyta, trzeba grzecznie odpowiadać.

– Nie, nie jestem dziennikarzem – odpowiadam ze stoickim spokojem. – Pracuję jako nauczyciel. A tutaj naprawdę znalazłem się przypadkiem, chciałem najpierw dojechać do Chudang, ale...

– Do Chudang? – przerwał oficer, unosząc wysoko brwi. – Po co do Chudang??! Tam zupełnie nic nie ma! Zresztą ta droga nie prowadzi do Chudang! To gdzie właściwie chciałeś jechać? Co ty tutaj robisz? Przyznaj się, jesteś dziennikarzem.

– Nie, nie jestem dziennikarzem. Naprawdę nie jestem dziennikarzem. – Poczulem, że zaraz padnę na kolana, żeby ich przekonać, że nie należę do klanu pismaków. – Jechałem do Chudang, ale się zgubiłem, jechałem zupełnie bez celu, chciałem po prostu pozwiedzać wioski, które miałem zaznaczone na mapie, równie dobrze mogłem jechać gdzie indziej, no i tak wyszło, że dojechałem tutaj, bo mapa niedokładna i sam już nie wiem, gdzie dokładnie jestem.

– A Chiny podobają się? – padło nieoczekiwane pytanie.

– Tak, Chiny piękne, cudowne Chiny są, i Chińczycy wspaniali, gościnni i świetne jedzenie i w ogóle, Chiny to piękny kraj!

Jeszcze chwila i dorzuciłbym: niech żyje Mao i socjalizm i przyjaźń polsko-chińska, ale chyba serwilizmu było aż nadto, bo oficer uśmiechnął się pod nosem, poklepał po ramieniu i powiedział:

– Nie martw się, jesteś w dobrych rękach. Wieczorem podrzucimy cię do drogi i ruszysz dalej do Sakji.

– Do Sakji? – zdziwiłem się. – Już byłem w Sakji – dodałem, ale widząc pytającą minę oficera, zaraz tego pożałowałem, słysząc już w myślach kolejne pytanie, po co tam byłem i czy nie jestem dziennikarzem i że na pewno jestem dziennikarzem i już prawie widziałem się w objęciach wytatuowanych, wyposzczonych współwięźniów, którzy spędzają czas na pizganiu żelaza i w kablu mają minimum pół metra, zapewne będą zachwyceni towarzystwem młodego, białego dziennikarza.

– Tak, tak, oczywiście, Sakja, chętnie pojedę jeszcze raz do Sakji, świetne miasto, piękne miejsce, dobre jedzenie, super hotel. Bardzo chcę jeszcze raz do Sakji, o niczym innym nie marzę, w ogóle to miałem w planach pojechać do Sakji, tylko że zgubiłem drogę, takie czarowne miasto. No i Chińczycy, wspaniali. Bardzo gościnni Chińczycy – dorzuciłem na wszelki wypadek.

Mężczyzna pokiwał głową i zmienił temat.

– A ile kosztował twój rower?

Uff, chyba na razie nikt wygłodniały nie będzie mnie przytulał.



Rozdział 16

Późnym popołudniem przyjechała ciężarówka, która miała mnie podrzucić do drogi. Zapakowałem rower na plandekę, a sam usiadłem w szoferce. Oficer wytłumaczył mi, że kierowca nie zna angielskiego, ale wie, gdzie mnie zabrać i ruszymy za dziesięć minut. Wyszedłem jeszcze na moment na zewnątrz i usiadłem przy szlabanie, do którego podjechał ciągnięty przez osiołka niewielki wóz, po brzegi wypełniony Tybetańczykami. Jeden z pasażerów zeskoczył z przyczepy i trzymając w rękach pomięty świstek papieru, podszedł do siedzącego nieopodal żołnierza. Pewnie kontrola dokumentów, pomyślałem.

Nie wiem, co Tybetańczyk przeszkrobał, ale żołnierz był bardzo opryskliwy, przez kilka minut zupełnie ignorując podsuwany przez mężczyznę papier. W końcu wstał, wziął świstek, poszedł z nim do budynku, po czym wrócił za chwilę bez dokumentu i kontynuował opalanie. Tybetańczyk próbował oponować, ale nikt nie zwracał na niego uwagi.

Po chwili wrócił mój kierowca, pożegnałem się z żołnierzami i wsiadłem do ciężarówki. Podniesiono szlaban, silnik zacharczał, samochód ruszył.

Kilka przeciągłych spojrzeń zostawiło ryse na zakurzonej szybie.

Tak więc kierunek dalszej drogi wybrano za mnie. Po kilku kilometrach dojechaliśmy do rozjazdu. Kierowca pomógł mi wypakować rower i wskazał ręką kierunek, dodając Sakja.

– *Sakja, Sakja, yes, yes* – odpowiedziałem z uśmiechem, żeby nie było wątpliwości, gdzie teraz jadę i żeby przekazał komu trzeba, że biały zrozumiał przekaz.

Sam ruszył dalej na południe, a ja zacząłem mozolną wspinaczkę na przełęcz.

Nocowałem na wysokości prawie 5000 m n.p.m. W nocy nad namiotem przetoczyły się dwie potężne burze, ale pioruny tym razem mnie nie dotknęły.

Obudziłem się bardzo wcześnie, nie było jeszcze szóstej. Czulem

przejmującą wilgoć i nie miałem ochoty na dalsze wylegiwanie się w mokrym śpiworze. Założyłem puchówkę i od razu humor się poprawił. Herbata zabrana poprzedniego dnia do termosu była już zimna, ale przynajmniej nie zamarzała, tak jak to bywało czasem na innych wyjazdach. Zjadłem zimny ryż z warzywami, który dostałem na drogę od chińskich żołnierzy i ruszyłem dalej. Na przełęczy, której nazwy nie zaznaczono na mapie, widniał słupek z oznaczeniem trzydzieści sześć. Najprawdopodobniej tyle jeszcze kilometrów dzieliło mnie od Sakji. Czyli za jakieś dwie godziny powinien dojechać do miasta i zjeść porządny posiłek, pocieszałem się.

Droga była w niezłym stanie i chwilami na prostych zjeżdżałem z prędkością ponad sześćdziesiąt kilometrów na godzinę. Do Sakji dojechałem szybciej, niż przypuszczałem, tym razem od strony południowej. I z tej strony także nie natknąłem się na żaden punkt kontrolny ani na żaden patrol drogowy. W miejskim supermarkecie zrobiłem porządne zakupy na drogę, a w przydrożnym barze zjadłem potężny obiad – dwie miski pierożków z mięsem. Kolejną porcję zabrałem na kolację. Siedząc w barze, rozmyślałem o ostatnich wydarzeniach, że może i dobrze się stało, że Chińczycy zawrócili mnie z drogi. Mój czas pobytu w Chinach i Tybecie się kończył, a jeszcze nie wiedziałem, jak będę wracał do Pekinu. Najchętniej pojechałbym pociągiem z Lhasy, ale to zależy, czy uda mi się kupić bilet. Już niedługo miałem się o tym przekonać.



W drodze

Późnym popołudniem ruszyłem w stronę Shigatse. Czekał mnie teraz dwudziestokilkukilometrowy, znajomy już odcinek do głównej drogi, potem krótki podjazd na Lagpa La i następnie dłuugi zjazd do Chemo.

Na przełęcz Lagpa dotarłem później, niż przypuszczałem, głównie przez ulewny deszcz, który złapał mnie po drodze. Kiedy jeszcze nie rozpadało się na dobre, jechałem, przyjmując na twarz orzeźwiające krople, ale kiedy z nieba sypnęło gradem, dałem za wygraną i schowałem się do przydrożnego rowu. Schowałem, to trochę na wyrost powiedziane, po prostu kucnąłem przy rowerze i przykryłem się szczelnie aluminiową folią.

Po przejściu nawałnicy zrobiło się dość rześko, ale nie na tyle, żeby opakować się w puchową kurtkę. Za przełęczą czekał mnie cudowny zjazd, prędkość osiągała siedemdziesiąt kilometrów na godzinę, wspaniała, równa nawierzchnia, łagodne zakręty i długie proste.

Gdybym się bardzo uparł, to dojechałbym jeszcze przed nocą do Chemo, ale tego dnia miałem już dosyć. Rozbiłem się przy drodze, osłonięty od wiatru niewysokim ogrodzeniem. Na kolację wciągnąłem jeszcze puszkę ananasów i smacznie zasnąłem. Około północy rozpętała się kolejna silna burza, a rześisty deszcz towarzyszył mi do samego rana.

Rankiem wiatr rozpuścił chmury i weszło piękne słońce. Zanim wygrzebałem się z namiotu, zdarzyło się coś bardzo dziwnego. Przy drodze zatrzymał się tubylec na koniu, z doczepioną do siodła kolorową flagą. Zanim podszedł bliżej, zapiąłem szybko suwak i udałem, że śpię. Mężczyzna nie powiedział ani słowa. Pokręcił się wokół, poskubał, poszurał, zacharczał, splunął kilka razy i wreszcie wrócił do pozostawionego przy drodze wierzchowca. Tam zwinął flagę, rozsunał i zasunął kilkakrotnie suwak kurtki, spluwając do taktu i charcząc, po czym poprawił kapelusz i odjechał.

Niespodzianka czekała na mnie po wyjściu z namiotu. Otóż obok roweru, pod niedużym kamieniem leżało... dwadzieścia juanów plus jakaś wizytówka. Niestety, zapisana pismem chińskim. Być może była to zachęta do skorzystania z jakiegoś hotelu, ale żeby jeszcze dorzucać pieniądze???

W Chemo byłem przed południem. Zatrzymałem się w pierwszej restauracji na śniadanie. Omlet z miodem i herbata, pycha. Naprzeciwko mnie siedzieli trzej tubylcy i przez bite pół godziny bezwiednie mi się przyglądali. Najpierw jak jadłem, potem jak uzupełniałem dziennik. Co jakiś czas podchodzili i zaglądali przez ramię, patrząc na pojawiające się na kartce literki. Kręcili głowami, coś tam bełkocząc pod nosem. Denerwowali mnie okropnie, ale zupełnie ich ignorowałem.

Cóż takiego osobliwego było w moim sposobie jedzenia? A może dziwił ich mój wygląd? W sumie już od przynajmniej tygodnia nie przypominałem typowego Europejczyka. W miarę schludnego, zadbanego, umytego, kulturalnego. Włosy

tluste, brudne dłonie, czarne, zapuszczone paznokcie, ubłocone buciory, ciemne plamy na ubraniach, wszystko ubabrane, niektóre rzeczy w łatach. A co do jedzenia, to w rzeczy samej, rzeczywiście jem osobiście: nie siorbię, nie ciamkam, nie bekam, nie charczę, nie pryham, nie pluję, nie wyrzucam resztek na podłogę i nie zostawiam chlewu po sobie, a ryż jem łyżką albo widelcem.

Sympatyczna i uśmiechnięta pani z restauracji uspiła moją czujność i kazała zapomnieć o starej zasadzie: najpierw pytaj o cenę, potem zamawiaj posiłek, szczególnie w miejscach, gdzie nie ma angielskiego menu, czyli prawie zawsze. Za omlet i herbatę zapłaciłem majątek.

Za Chemo spotkałem parę włoskich rowerzystów, którzy jechali do Katmandu. Mieli ze sobą specjalne pozwolenia, uprawniające do jazdy na rowerze, kupione w Shigatse od pani Dicki za czterysta juań! Powiedziałem im, że pozwoleń tych nikt nie sprawdza, a sam cieszyłem się w duchu, że nie byłem aż tak naiwny i nie dałem się przedsiębiorczej kobiecie namówić na kupno „specjalnego” rowerowego permitu.

Czekała mnie jeszcze tylko jedna przełęcz i po dwudziestu kilometrach jazdy znów byłem w Shigatse. Zameldowałem się, podobnie jak poprzednim razem, w hotelu Tenzin. W budynku nie było prawie żadnych turystów i cały czteroosobowy pokój miałem dla siebie. Odzwyczailem się od spania w łóżku i od miękkich materaców, także po godzinie bezskutecznego przekręcania się z boku na bok na wygodnych sprężynach, rozłożyłem w końcu karimatę i przespałem się na podłodze.

Z miasta zamierzałem wyjechać po południu, a po śniadaniu poszedłem jeszcze na spacer wokół świątyni. Wspinałem się po wąskich ścieżkach na szczyt wzniesienia, na zboczach którego położone są klasztorne budynki. Razem ze mną wędrowały przygarbione, starsze kobiety, trzymające w rękach młynki modlitewne albo różańce. W metalowych walcach młynków znajdują się wstęgi z sentencjami i wezwaniem do Buddy: *Om mani padme hum!*, czyli, „O, ty klejnocie, w kwiecie lotosu!” Obracanie korbką młynka jest jednym ze sposobów wyzwolenia się z kręgu niekończących się ponownych narodzin.

Właściwie dopiero teraz uderzyło mnie, że praktycznie nie widziałem modlącej się młodzieży. Bardzo rzadko kobietom towarzyszyli mężczyźni, często małe dzieci, ale nastolatków, poza mnichami, w gruncie rzeczy nigdzie nie było, ani w świątyniach, ani w innych religijnych miejscach kultu. Czy to skutek chińskiej kampanii w Tybecie, przedstawiającej buddyzm jako mieszaninę zabobonów i bezkrytycznej, ślepej wiary, czy po prostu współczesny symptom zeświecczenia społeczeństw, nawet tak głęboko religijnych jak naród tybetański?

W nietęgim humorze wróciłem do hotelu, spakowałem sakwy i ruszyłem w dalszą drogę. Do wieczora udało mi się zrobić jeszcze osiemdziesiąt kilometrów. Nocowałem niedaleko miejscowości Trakdruka. W nocy jacyś mężczyźni szurali

wokół namiotu i nieźle mnie wystraszyli. Mimo wszystko, raczej nie mieli złych intencji, bo inaczej pewnie nie doczekałbym ranka. Namiot rozbiłem bowiem w miejscu zupełnie niewidocznym z drogi i w dość dużym oddaleniu od niej, więc w razie jakiegoś nocnego ataku nikt by i tak niczego nie usłyszał.

Obudziłem się, słysząc głosy, co jak na mnie, było dość dziwne, bo zazwyczaj śpię jak kamień i zdarza się, że nawet burza mnie nie obudzi. Tak czy inaczej, głosy wokół namiotu rozbrzmiewały jak odgłos dzwonu i rzeczywiście napędziły mi stracha. Nikt jednak nie nawoływał, abym wyszedł na zewnątrz, nikt też nie szarpał za tropik, ani nie dotykał roweru. W razie konfrontacji pewnie wszystko musiałbym oddać, ale najwidoczniej mężczyźni (słyszałem tylko męskie głosy) nie chcieli psuć sobie karmy i zostawili mnie w spokoju.

Właściwie to często pytają mnie, czy nie boję się takich samotnych noclegów w obcym miejscu. Oczywiście, że trochę się boję, ale nie wyolbrzymiam sytuacji i nie doszukuję się w każdej obcej osobie potencjalnego złoczyńcy.

To prawda, że czasem zmienne sytuacyjne mogą zdecydować o takim, a nie innym zachowaniu i na przykład, widok namiotu z rowerem na kompletnym odludziu może sprowokować jakichś potencjalnych złodziei, którzy wykorzystają sprzyjającą sytuację i pofolgują niecnym instynktom.

Kreślenie czarnych scenariuszy jest jednak pozbawione sensu. Mój wrodzony fatalizm na pewno mi pomaga, choć często idzie w parze z zupełnym brakiem rozsądku. Dla jednych będę po prostu głupi, dla innych zuchwały i lekkomyślny, jak włóczęga w *Sonecie szalonym* Staffa, „zwycięzca słonych wichrów, burz i niepogody, niewierny wszystkim prawdom i sam z sobą sprzeczny⁹”. I ja również, jak ten „król gościńców, pijak słońca wieczny, pod gwiezdny niebem w polu rozkładam gospody, snem i płaszczem nakryty, śpię wszędzie bezpieczny¹⁰”.

Pewien stopień ryzyka i niebezpieczeństwa jest wpisany w wędrówkę i trzeba go umieć zaakceptować i nie myśleć o nim, w przeciwnym razie nie ma sensu wybierać się w podróż. Lepiej zostać w domu przed telewizorem albo pokopać ogródek.

Jak to się mówi, szczęście głupiemu sprzyja, więc i tym razem się udało. Rankiem po nocnych gościach nie było żadnego śladu, może zresztą ta wizyta tylko mi się przyśniła?



Samotne pokonywanie kolejnych kilometrów

Myślałem, że tego dnia będę miał równie łatwą drogę, co poprzedniego, niestety, następny odcinek okazał się być jednym z najcięższych z całej podróży. Jechałem pod silny, przeciwny wiatr, który potrafi odebrać wszystkie siły, do tego musiałem pokonywać niezliczoną ilość krótkich, ale bardzo stromych podjazdów, które nawet dla nieobciążonego bagażem roweru byłyby wyzwaniem.

Nieprzychylny wiatr i mordercze podjazdy zupełnie mnie wykończyły. Do południa przejechałem tylko sześćdziesiąt kilometrów i nie miałem ochoty na choćby jeden więcej. Zatrzymałem się na dużym parkingu, gdzie w restauracji zamówiłem ryż z warzywami.

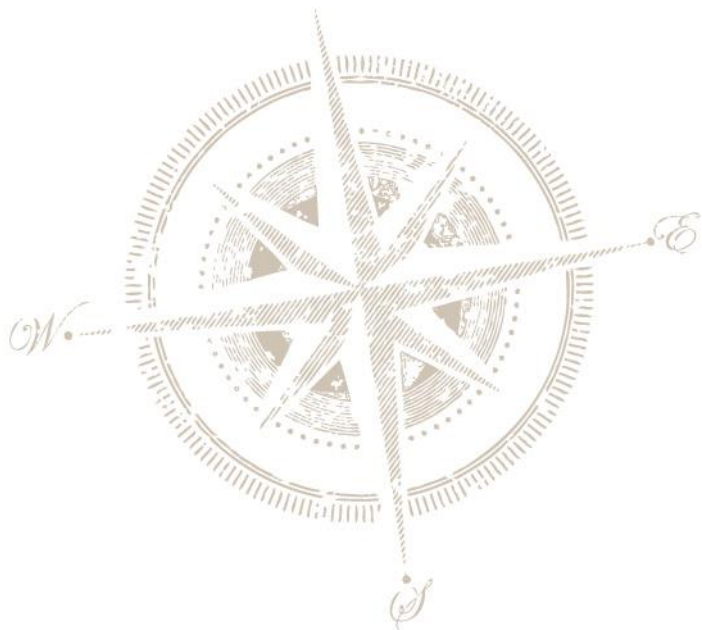
Podczas posiłku, przysiadła się do mnie kucharka i z zainteresowaniem oglądała pozostawiony na stole przewodnik. Pokazywała palcem na zdjęcie z okładki, a potem na mnie, kiwając potakująco głową.

– *No. No me. Ja nie. My friend. Friend* – próbowałem zaprzeczyć.

No niestety, bariera lingwistyczna nie pozwoliła mi wytłumaczyć, że to nie ja jestem na okładce przewodnika.

Nie miałem już ani siły, ani ochoty na dalszą jazdę, ale wreszcie się przemogłem i ruszyłem dalej. Droga ciągle była ciężka, pokonywałem strome podjazdy, czasem kilkusetmetrowe, potem krótkie, szybkie zjazdy, potem znów podjazd i tak aż do wioski Same, gdzie droga nieznacznie odbiegła od rzeki i prowadziła doliną, już bez tak wyczerpujących podjazdów.

Okolo dwudziestej pierwszej stwierdziłem, że jeszcze jeden kilometr i będę musiał amputować obie nogi. W zapadającym zmroku wypatrzyłem więc jakąś boczną drogę prowadzącą do rzeki i tam się skierowałem. Zostawiłem rower na maleńkiej łączce, otoczonej polami dojrzewającego jęczmienia. Kiedy schyliłem się, aby odrzucić kilka kamieni, z przerażeniem odkryłem, że wokół jest pełno ostrej trawy, z kolcami jak szpilki. Sprawdziłem opony. No tak, wyjąłem kilkanaście cierni. Usłyszałem, jak z jednej dętki powoli schodziło powietrze. Trudno, obok jest rzeka, łatanie zajmę się jutro, myślę. Zasypiałem, wyrzucając sobie swoją nieostrożność.



Rozdział 17

Rankiem miałem dużo pracy. Najpierw wziąłem się za łatanie dziur, śniadanie odłożyłem na później. Napompowałem lekko dętki i włożyłem do leniwie płynącego strumyka. W jednej gumie znalazłem dziewięć dziur, w drugiej trzy. Pierwszą wyrzuciłem, drugą zalepiłem łatkami. Machając kilkaset razy swoją miniaturową pompką, pomyślałem o tybetańskiej, mosiężnej pompie, którą tubylcy mają zwyczaj wozić na bagażniku. Pchnąłbym taką dziesięć razy i koła byłyby twarde jak kamień. A tak, musiałem się zdrowo napocić.

Śniadanie postanowiłem jednak zjeść gdzieś po drodze. Zbliżałem się do Lhasy, ruch był coraz większy, a poprzedniego dnia wieczorem natykałem się raz po raz na przydrożne restauracje. Liczyłem więc, że nie będę musiał daleko szukać i jeszcze przed południem szybko dojadę do następnej jadłodajni. Nie myliłem się. W najbliższej wiosce zatrzymałem się na posiłek.

Z pełnym brzuchem jechało mi się doskonale, a piękna pogoda i dość mocny wiatr w plecy z każdym kilometrem przybliżały mnie do Lhasy. Nic nie mogło mnie pozbawić doskonałego nastroju. Nie przeszkadzały mi ani smolące ciężarówki, ani przejeżdżające z głośnym trąbieniem wojskowe konwoje. Około czternastej minąłem Chaksam i w ten sposób zamknąłem swoją rowerową, tybetańską pętlę.

Do Lhasy dotarłem późnym popołudniem i od razu udałem się do znajomego hotelu Snowland. Wniosłem rzeczy do zbiorowej sali, przebrałem się, wziąłem prysznic i poszedłem na spacer.

Siedziałem sobie spokojnie w restauracji Tashi, ciągnąc lokalne piwo przez słomkę. Rozmyślałem o minionej drodze i cieszyłem się, że powoli wracam do

domu.



Ponownie w Lhasie, czyli koniec tybetańskiej pętli

Miałem już wstać i wrócić do hotelu, gdy nagle zobaczyłem, że do mojego stolika zbliża się młoda kobieta. O nie, tylko nie to, pomyślałem. Jakoś nie miałem ochoty na nowe znajomości. Na ucieczkę było już jednak za późno. Kobieta przechwyciła moje spojrzenie i na pewno nie umknął jej uwadze nikły uśmiech, co mogła odczytać tylko i wyłącznie jako zaproszenie do rozmowy.

– Hi! Czy mówisz po angielsku? – zaczęła z grubej rury.

– Tak, troszkę – powiedziałem, jednocześnie zdając sobie sprawę, że właśnie pogrzebałem ostatnią szansę pozbycia się nieproszonego gościa.

– Świetnie! Mam na imię Sandra. Widziałam, jak przyjechałeś rowerem do hotelu – rzuciła, przysiadając się do stołu.

W sumie mogłem okazać się przysłowiowym nieokrzesanym chamem i niewychowanym gburem, olać ją, wstać i pójść w swoją stronę, ale że asertywność nigdy nie była moją mocną stroną, odpowiedziałem:

– Peter. Rowerem.

– O, jesteś Szwedem?

– Nie – uśmiechnąłem się. – Jestem z Polski.

– O, byłam w Polsce, w Krakowie.

No i? Uśmiechnąłem się tylko, bo co miałem powiedzieć...

– Jesteś sam? – padło kolejne pytanie.

Hmm, zlustrowałem ją od stóp do głów, dobra, niech będzie, kontynuujemy znajomość.

– Tak – odpowiadam.

– O, i nie boisz się? Nie napadł na ciebie nikt po drodze?

– Nie, dlaczego pytasz?

I tak oto dowiedziałem się, że wczoraj tak zwani *khampas*, czyli Tybetańczycy z długimi nożami, w biały dzień ograbili niemiecką turystkę. W międzyczasie na stole pojawiło się kolejne piwo i już właściwie było mi wszystko jedno.

– A ty skąd jesteś? – zapytałem właściwie tylko po to, aby się upewnić, bo jej mocny, twardy akcent wyraźnie zdradzał pochodzenie.

– Z Niemiec, z Hamburga.

No tak, myślę, kolejna Niemka, którą zaraz zabierze kolejny Sven.

Sandra była studentką medycyny. Podróżowała po Azji od kilku miesięcy, a obecnie jakiś czas zamierzała spędzić w Tybecie. Bardzo podekscytowana opowiadała, że kilka dni temu uczestniczyła w porodzie w szpitalu i że było to chyba pierwsze cudzoziemskie dziecko urodzone w Lhasie. Dopytywała się też o bazę pod Everestem, bo wybierała się tam następnego dnia z trójką innych turystów.

Po kolejnym piwie świat mi ździebko zawirował i stwierdziłem, że czas iść spać, bo jeszcze chwila i odpłynę w mityczną krainę *Śambhali*. Sandra uparła się, że mnie odprowadzi do hotelu, ale tym razem włączyła mi się lampka asertywności i zdecydowanie powiedziałem nie. Gdziekolwiek teraz miałem odpłynąć, wolałem to zrobić we własnym towarzystwie. Niemka wyraźnie miała jeszcze ochotę odkrywać nowe światy, ale ja już nie byłem w stanie dostarczyć jej dodatkowych atrakcji.

Następnego dnia nawiązałem znajomość z Polakiem – młodym, przesympatycznym Maciem z Krakowa. Okazało się, że można kupić bilety na pociąg z Lhasy do Pekinu, należy tylko odpowiednio wcześniej pojechać na dworzec. Można też spróbować je kupić u przedsiębiorczych Tybetańczyków, należy się jednak liczyć z dużą dopłatą. I rzeczywiście. Na tablicy w hotelu widziałem ogłoszenia informujące, że ktoś ma do sprzedania bilety. Wygodna opcja dla tych, którym się bardzo spieszy i chcieliby pojechać na przykład za dwa albo trzy dni, bowiem na dworcu można je kupić tylko z dziesięciodniowym wyprzedzeniem. Postanowiłem na razie spróbować samemu i wybrać się na miejsce następnego ranka.

Po południu zwiedziłem jeszcze klasztor Drepung, a wieczór zostawiłem na przyziemne atrakcje. Maciek pokazał mi bardzo ciekawe miejsce, księgarnię

muzyczną, znajdującą się na tyłach hotelu Yak. Poza ogromną kolekcją płyt, właściciele, młoda hipisowska para, zgromadzili tam też mnóstwo interesujących książek, również tych, traktujących o Tybecie, a wydanych na Zachodzie. Księgarnia funkcjonowała jako alternatywne miejsce spotkań miejscowej, „zbuntowanej” młodzieży. Trochę taka awangardowa klubokawiarnia, gdzie siedząc na kolorowych matach, można napić się dobrej kawy bądź herbaty, wypić piwo lub zapalić aromatycznego jointa, wsłuchując się w ezoteryczne rytmy transowej muzyki. Do tego można wejść z własnym piwem lub innym paliwem. Aż dziwne, że Chińczycy jeszcze nie zrobili tu nalotu, nie zarekwirowali antagonistycznych ulotek i książek, a właściciele nie zamknęli za działalność konspiracyjną.

Siedziałem w małym kręgu, odurzony aromatycznym ziołem i wsłuchiwałem się w dobiegające wokół rozmowy o wszystkim i o niczym. Powoli moje myśli się roztopiały i prześlizgiwały między opatulającymi mnie kolorowymi smugami kadzidel. W pewnym momencie chciałem coś powiedzieć, ale nie mogłem wydobyć z siebie żadnego dźwięku, zarysy postaci, przybrawszy geometryczne kształty, rozpływały się coraz mocniej w hermetycznych zapachach, miazmaty drażniły nozdrza, podłoga odpływała, a ja spiralnym ruchem unosiłem się wyżej, coraz wyżej i nagle, przez nieduży otwór w dachu, na latającym dywanie uleciałem w stronę światła.

Rankiem wybrałem się na dworzec kolejowy, z zamiarem kupienia biletu. Jako że budynek dworca znajdował się dość daleko od miasta, postanowiłem skorzystać z komunikacji miejskiej. Najpierw taksówką pojechałem na Wschodni Dworzec Autobusowy, by tam wsiąść w bus linii 91. Przy kasie bezskutecznie próbowałem kupić bilet i zapytać o rozkład, całe szczęście, że wiedziałem, jakim numerem mam dalej jechać. I tak mogłem sobie pogratulować, że znalazłem odpowiednie stanowisko z odpowiednim busem.

Okazało się jednak, że i tak na gapę jechać się nie da. W pojeździe była już kontrolerka, która wydając z siebie odgłosy przypominające skrzeczenie zarzynanej gęsi, zbierała od wszystkich po juanie. Przyzwyczajawszy się już do wyższych taryf dla turystów, oczekiwałem, że zapłacę odpowiednio więcej, ale i ode mnie wzięła tylko jednego, zielonego Mao.

Kiedy dojechaliśmy na miejsce, dworzec był już otwarty, a pięć długich kolejek do kas wystawało daleko poza budynek. Maciek ostrzegął, aby pojechać odpowiednio wcześniej, ale nie sądziłem, że o siódmej rano będą już takie tłumy. Czyżby ci ludzie tutaj nocowali?

Wybrałem jeden z ogonków i cierpliwie czekałem. Przez pierwsze pół godziny nie tylko nie zbliżaliśmy się do kasy, ale wręcz przeciwnie, każda z pięciu kolejek ciągle się rozrastała.

Około dziewiętej trzydzieści, wreszcie zaczęliśmy powoli zbliżać się do hali

dworca. Po dziesiątej byłem już w środku. Wybrałem zdecydowanie najszybciej topniejącą kolejkę. Nawiązałem rozmowę z kilkoma stojącymi ze mną Chińczykami. Wszyscy mieli nadzieję, że kupią choć najtańszy bilet, czyli siedzenie. Ja najchętniej kupiłbym tak zwane „twarde łóżko”. Około jedenastej coś ogłoszono i kilkanaście osób opuściło kolejkę. Stojący za mną chłopiec wytłumaczył mi, że wyprzedano już bilety do Chengdu.

Pół godziny później byłem przy okienku.

– Poproszę jedno „twarde łóżko” – mówię do wyglądającej na przestraszoną kasjerki.

No tak, nie zna angielskiego, myślę. Z pomocą przyszedł stojący za mną chłopak. Dowiedziałem się, że nie ma już twardych leżanek, ale są miękkie, w cenie, bagatela, około stu pięćdziesięciu dolarów amerykańskich. Choć miałem jeszcze przy sobie taką gotówkę, to zdecydowałem się nie kupować tego dnia biletu, ale spróbować następnego, choćbym miał przyjechać o czwartej nad ranem. Pamiętając, że zostało mi prawie dwa tygodnie do powrotu, wolałem mieć przy sobie jakąś rezerwę pieniędzy.

Wracając do hotelu, spotkałem Michała i niemiecką parę z hotelu – Svena i Sarę. Szli do miejsca, w którym, według nich, można było wypić jedyne prawdziwe espresso w całym mieście. Po drodze dołączył do nas pięćdziesięcioletni Włoch, nauczyciel historii i Keiko, japońska studentka. W tym międzynarodowym towarzystwie weszliśmy do restauracji. Jak dla mnie, było to typowe, snobistyczne miejsce dla tych turystów, którzy nie lubią bratać się z tubylcami i dobrze czują się w kulinarnej bańce, przypominającej ich własny kraj.

W środku, przy zadbanym stolikach, siedziało kilka osób, zatopionych w lekturze kolorowych magazynów, rozłożonych wraz z książkami na licznych stojakach. Na ścianach wisiały obrazy flamandzkich mistrzów, wespół ze zdjęciami smakowitych pizz i makaronów.

Wszyscy, poza mną, zamówili kawę. Nie czułem się tam zbyt dobrze. Może to przez światło, potęgujące kontrast za oknem, a może słomkowe kapelusze brzuchatych sąsiadów, a może przez świadomość, że nie stać mnie w tym miejscu na kupno kawy w cenie dwóch misek ryżu z warzywami... Kurtuazja wymagała jednak odrobiny obecności i szczypty zainteresowania.



Lhasa

Włoch przejął pierwsze skrzypce. Typowy mędek – wszytkowiedzący, zadowolony z siebie besserwisser. Bez krzty autokrytyki, pewny siebie, dobrze odżywiony sensat. Właściwie to z początku nawet ciekawie się go słuchało, ale kiedy zaczął się szarogęścić, pogłębiać temat religii, perorować o przeznaczeniu, predestynacji, Kosmicznym Drzewie, sensie życia, już naprawdę nie mogłem wytrzymać. Szukałem sposobności, aby dyskretnie i taktownie czmychnąć, ale wszyscy wydawali się pogrążeni w górnolotnej tyradzie Włocha, zaśluchani, zapatrzeni, nieobecni. Wreszcie chwila rozprężenia, Sven poszedł coś zamówić, a ja wyszedłem na ulicę.

Choć Maciek ze znajomymi zapraszali na spacer, wieczór spędziłem w hotelu i nie wychodziłem szukać nocnych wrażeń. Rano czekała mnie kolejna wizyta na dworcu.



Rozdział 18

Tym razem na miejsce pojechałem rowerem. Znałem już drogę, więc bez trudu mogłem sobie poradzić, bez konieczności upychania się w ciasnych i dusznych autobusach. Przed piątą byłem przed dworcem. Drzwi do środka budynku były zamknięte, ale dookoła kręciło się już mnóstwo ludzi. Niektórzy spali pod ścianą, przykryci stertą koców, inni potworzyli małe grupki i stali zziębnięci, podskakując dla rozgrzewki.

Nie bardzo wiedziałem, co robić. Nikt nie formował kolejki, wejść do budynku było kilka, chyba najrozsądniej byłoby zająć jakieś miejsce przy drzwiach wejściowych, pomyślałem. Zostawiłem rower pod ścianą, mając nadzieję, że nie widzę go po raz ostatni i stanąłem na strategicznej pozycji przy środkowych drzwiach.

Obok mnie stał młody chłopak, przypatrując mi się jakby z lekkim zdziwieniem. Wydawało mi się, że chce mnie o coś zapytać, ale nie może się zebrać na odwagę.

– Cześć. Nie wiesz, o której otwierają dworzec? – postanowiłem przejąć inicjatywę.

W pierwszej chwili chłopiec chyba się przestraszył, bowiem rozejrzał się nerwowo, jakby chciał uzyskać przyzwolenie wszystkich dookoła, że można się do *laowai*, czyli białego, odezwać. Dla pewności, czy zrozumiał, powtórzyłem jeszcze raz pytanie.

– *No English* – odpowiedział i przeszedł na chiński, podtykając mi przy tym pod nos niewielką kartkę z pieczątką.

– *No Chinese*. Nie mówię po chińsku! – nie byłem mu dłużny i przeszedłem na polski.

Do konwersacji dołączyli inni i dopiero teraz zauważyłem, że wszyscy trzymali jednakowe karteczki. Co więcej, przypomniałem sobie, że podobne mieli wczoraj ludzie, stojący w kolejce do kas. To zmieniło postać rzeczy. Należało jak

najszybciej dowiedzieć się, o co chodzi. Próbowałem dopytać się na migi, czy i mnie potrzebny jest podobny świstek i gdzie ewentualnie mógłbym go dostać, ale wszyscy ciągle mówili po chińsku.

Wreszcie znalazł się ktoś znający angielski i za moment wszystko stało się jasne.

– Ty za późno, papiery rozdane, jutro przyjsć – powiedział mężczyzna.

O nie, tak łatwo się mnie stąd nie pozbędziecie, pomyślałem. Wczoraj nie miałem żadnych świstków, a jednak prawie kupiłem bilet, więc o co tutaj chodzi?

– Ja dziś musieć kupić, wczoraj być, kartki nie mieć, a bilet prawie kupić. Dziś nie wracać, teraz w kolejce stać – chińską odmianą angielskiego próbowałem wytłumaczyć, że prędzej tu zanocuję, niż odjadę.

– Ty kartka mieć. Nie mieć kartka, nie kupić biletu – mężczyzna brnął w zaparte.

– Ok, ja zostać, ja zobaczyć – i poklepawszy pomocnego skądinąd Chińczyka, wróciłem w pobliże środkowych drzwi wejściowych.

Powoli zaczęło się rozwidniać, spod koców wynurzyli się zaspani tubylcy, a stojący dookoła tłum coraz intensywniej napierał na budynek dworca. Czulem się trochę jak fragment zbitej bryły, ściskanej przez dwie szczęki imadła. Zapełniając ciałami coraz ciaśniej przestrzeń, tłum zaczął wydawać z siebie nieartykułowane dźwięki, włączając odgłosy charczenia, bekania i spluwania. Na wszelki wypadek zasunąłem kaptur mocniej na czoło.

Wreszcie otworzono drzwi wejściowe. Niestety, nie te, przy których stałem. Rozjuszony tłum rozluźnił uścisk i rozpoczął odwrót. Kiedy wreszcie, właściwym wejściem, udało mi się wcisnąć do hali dworca, kolejki były już bardzo długie, a i tak ciągle się rozrastały. Po kwadransie, znów byłem na zewnątrz.

Okazało się też, że jednak karteczki do czegoś się przydawały, bowiem osoby posiadające takowe, pomimo że przychodziły później, były upychane przez policjantów do uformowanych już kolejek.

Kasy otworzyli punktualnie o ósmej. Podobnie jak poprzedniego dnia, przez półtorej godziny kolejka albo stała, albo nawet nieznacznie przesuwiała się do tyłu. Około dziewiątej trzydzieści wreszcie zacząłem przybliżać się powoli w stronę kas. O jedenastej, stojący przede mną mężczyzna, poinformował mnie, że nie ma już miejsc leżących. Kilkanaście osób opuściło kolejkę. W południe byłem już bardzo blisko celu, przede mną stało zaledwie kilka osób. Moment później dało się odczuć wyraźny rozgardiasz, a ludzie zaczęli się niespokojnie kręcić, podając sobie coś z ust do ust. Niektórzy wyglądali, jakby protestowali, a co poniektórzy zaczęli się przepychać do kas.

Nie wiedziałem, czy opuścić kolejkę i też spróbować się precyzyjnie bliżej, tym bardziej że mężczyzna stojący przede mną, spojrzawszy na mnie i pokręciwszy głowę, dodając: *no tickets*. Już miałem się dopytać, na jaki kurs skończyły się bilety, gdy

nagle do kolejki podszedł obserwujący mnie od dłuższego czasu policjant.

– *Come with me* – powiedział, zaciągając mnie pod kasę.

Wszyscy się rozstąpili i absolutnie nikt nie protestował!

– Jeden bilet do Pekinu, twarda leżanka – rzuciłem, jeszcze na dobre nie ochłonawszy.

– *No tickets.*

Cóż, po zamieszczeniu na dworcu było dla mnie oczywiste, że nie ma już twardych leżanek, nie pozostawało mi więc nic innego, jak kupić droższy bilet.

– Miękka leżanka, jeden bilet do Pekinu – wykrztusiłem z westchnieniem i lekką złością, bo przecież już wczoraj mogłem kupić taki bilet, oszczędzając sobie wątpliwej rozkoszy porannych przygód.

– *No softbeds* – usłyszałem w odpowiedzi.

No to się nieźle wrobiłem, myślę, trzeba było brać wczoraj, jak były. Trudno, kupię tylko bilet na siedzenie, a w pociągu już się coś wymyśli, na pewno po drodze zwolni się jakieś miejsce.

– Poproszę więc miejsce siedzące – prawie krzyknąłem do okienka, bo hałas za mną wzmógł się tak bardzo, że ledwo słyszałem własne myśli. Gdyby nie policjant obok, to ci z kolejki chyba dokonaliby na mnie samosądu. Szturmowali zwartą ciżbą coraz mocniej i nawet przedstawiciel władzy już nie mógł sobie poradzić ze wzmożonym parciem rozrastającego się wokół tłumu.

– *No tickets, no seats, no more tickets* – wśród powodzi dźwięków wyłowilem strumień słów, który orzeźwił mnie lepiej, niż zrobiłby to kubek zimnej wody.

– Jak to nie ma? – powtórzyłem z przerażeniem. – Nie ma żadnych biletów?

– *No tickets* – z niezachwianym spokojem odpowiedziała kasjerka.

– Nawet jednego siedzenia, choćby jednego biletu? – zaraz padnę na kolana, pomyślałem.

Zobaczyłem, że kobieta wystukała na klawiaturze komputera ciąg chińskich znaczków. Za moment pojawiło się coś na monitorze.

– Jest jeszcze jeden bilet – usłyszałem.

Prawie krzyknąłem z radości.

Zgodnie z zasadą, że bilety na tę trasę kupuje się z dziesięciodniowym wyprzedzeniem, kupiony bilet był ważny na następny piątek. Podróż do Pekinu trwa czterdzieści osiem godzin, a w poniedziałek rano miałem samolot powrotny do Polski. Tak więc, gdybym nie kupił tego dnia biletu, mógłbym nie zdążyć dojechać na czas na lotnisko. Jakże byłem wdzięczny panu policjantowi. Niemalże rzuciłem mu się na szyję.

W doskonałym humorze wróciłem do hotelu. Zostało mi jeszcze dziesięć dni pobytu w Tybecie. Cieszyłem się, że będę miał czas, aby zwiedzić tereny leżące na północ od Lhasy. Tyle dni, to w sam raz, aby dojechać nad jezioro Nam Tso

i spędzić tam trochę czasu z nomadami, myślałem. Wyjazd zaplanowałem na następny ranek, a tego samego dnia pojechałem jeszcze zwiedzić klasztor Ganden. Jest to szczególnie miejsce dla wielu Tybetańczyków, bowiem znajduje się tam stupa grobowa założyciela sekty Żółtych Czapek, Cong-k'a-py.

Po płaskim terenie i dobrej nawierzchni, sprawnie pokonałem kilkadziesiąt kilometrów. Jedyne ostatnie dziesięć stanowiło niemałe wyzwanie, gdyż droga wspinała się serpentyną po piaszczystej, bardzo stromej szutrówce.

Klasztor usytuowany jest w przepięknej, malowniczej scenerii, jego piękna nie przyćmiewa nawet to, że większość budynków nie jest jeszcze odbudowana po zniszczeniach z czasów tzw. Wielkiej Rewolucji Kulturalnej.

Oto bowiem w 1966 roku przewodniczący Mao wyskoczył ze wspaniałym pomysłem zniszczenia wszystkich dóbr kulturowych i wszelkich istniejących hierarchii. Zlikwidowano księgarnie i muzea, pozamykano uczelnie, teatry, kina. Przez Chiny przemierzały paramilitarne oddziały, złożone głównie z młodzieży, znane jako „Czerwona Gwardia”. Skutkiem ustawicznego niszczenia, plądrowania, oraz okrutnych gwałtów i rozbojów na inteligencji, było unicestwienie większości dziedzictwa kulturowego Chin i Tybetu. Wydaje się to niewiarygodne, ale w Chinach ciągle wiele osób uważa, że Mao chciał dobrze, a winę ponoszą jego współpracownicy i nadgorliwi wykonawcy.

Powłóczyłem się trochę po okolicy, najchętniej zostałbym jeszcze dzień lub dwa, trochę żałowałem, że nie wziąłem namiotu, no ale następnego dnia miałem jechać nad jezioro Nam Tso. Chcąc nie chcąc, musiałem więc wrócić.

Do Lhasy dotarłem już grubo po zmroku. Choć prawie padałem z sił, dałem się jeszcze wyciągnąć na wieczorny spacer do baru Traveler. Tak na pożegnanie z Maćkiem i resztą. Bar Traveler jest bardzo dobrym miejscem, aby poznać kogoś na wspólny wypad za miasto. Ja akurat tego nie potrzebowałem, a informacja, że przyjechałem na rowerze, kończyła temat propozycji wspólnej przejażdżki jeepem pod Everest albo dalej.

Piwo i inne wspomagacze roznosiła rezolutna, energiczna Chinka, bardzo dobrze znająca angielski. Jakoś tak się złożyło, że przysiadła się w końcu do nas, a potem jeszcze bliżej i nawet nie spostrzegłem, a już wiedziałem, jak ma na imię, skąd jest i co robi i co znaczy wtrącone zdanie, z końca pewnej melodii z filmu *Spragnieni miłości*, które puściłem jej z przenośnego odtwarzacza MP3.

„Gdybym miał jeszcze jeden bilet, pojechałabyś ze mną?”

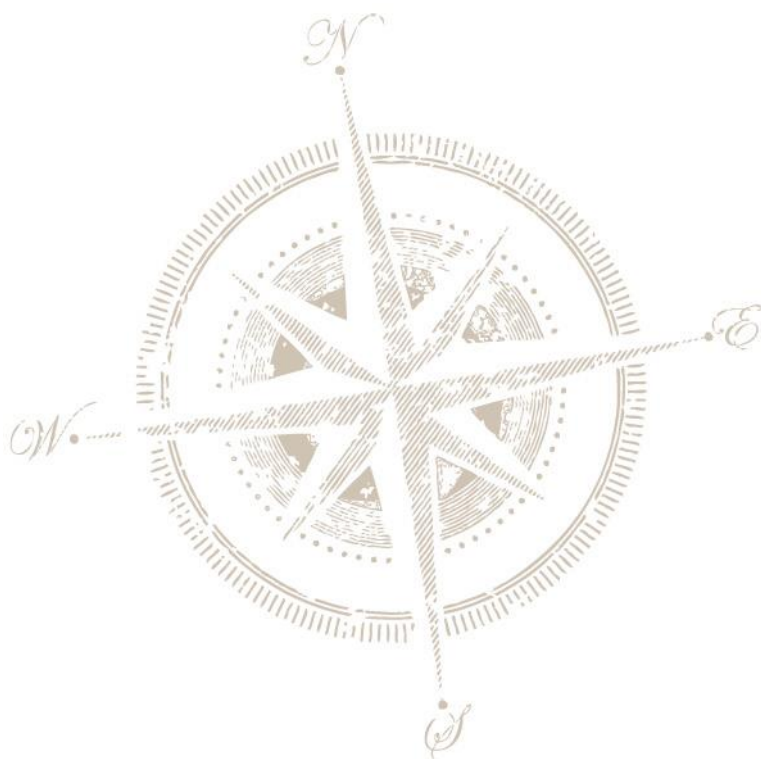
Wydawało mi się, że usłyszałem odpowiedź, ale ona lawirowała tylko w przyćmionym świetle fioletowych jarzeniówek i zamiast wreszcie znaleźć drogę do mojego ucha, utonęła tam, skąd przyszła, zanurzając się w głębi ciemnego spojrzenia wąskich, półprzymkniętych powiek.



Jak na tle klasztoru w Ganden, na wschód od Lhasy



Malownicze okolice Ganden



Rozdział 19

Tym razem Song Lee, filigranowa chińska dziewczyna, nie pojechała ze mną. Miała wakacje, pracowała, aby zarobić na studia i nie mogła tak po prostu wszystkiego zostawić.

Wstałem skoro świt i pomknąłem na przystanek autobusowy, znajdujący się pod hotelem Kirey. Zamierzałem podjechać busem do miasteczka Damshung i kontynuować podróż rowerem. Według wszelkich dostępnych informacji wynikało, że na te tereny nie będę potrzebował żadnego pozwolenia i kierowcy raczej nie powinni robić problemów z zabraniem mnie ze sobą.

Pod hotelem stały już busy i całkiem spora grupa podróżnych. Bez problemu wskazano mi właściwy pojazd i kierowcę. Wyglądający na Chińczyka mężczyzna powiedział, że może mnie zabrać do Damshung i że ruszamy za pół godziny. Trochę kręcił nosem, jak zobaczył mój frymuśnie objuczony rower, ale kiedy odczepiłem sakwy, rzucił tylko *no problem* i ręką wskazał dach pojazdu. Jasne, rower na dach, a sakwy do bagażnika.

Z pomocą innego Chińczyka wciągnąłem jednośląd na górę i umocowałem go dla pewności pajęczkami i zatraskami do metalowego rusztowania. Trochę skomplikowałyby to moją podróż, gdybyśmy zgubili rumaka po drodze. Moje obawy były jednak bezzasadne. Kiedy na dach powędrowały już wszystkie ponadwymiarowe bagaże, włączając dwa telewizory, wielkie kartonowe pudła z niewiadomą zawartością i olbrzymie worki mąki, przykryto go nieprzemakalnym

brezentem, a potem jeszcze na wszystko założono elastyczną siatkę, zapinając ją do specjalnie przyspawanych na bokach uchwytów.

Do Damshung dojechaliśmy około jedenastej. Zanim ruszyłem w dalszą drogę, poszedłem jeszcze porządnie się najeść. Nieprzyzwyczajony do częstego widoku sklepów w wioskach, na wszelki wypadek uzupełniłem też zapasy żywniowe.

Dopompowiałem powietrze w kołach, pomachałem tubylcom, przypatrującym się mojej krzątaninie i wreszcie ruszyłem w stronę przełęczy Largen. Cekał mnie ciężki dzień, bo przełęcz położona jest grubo ponad 5000 m n.p.m.

Kilka kilometrów za miastem musiałem zatrzymać się na posterunku, na którym uiściłem opłatę za przejazd.

Z powodu silnego, przeciwnego wiatru i bardzo stromego nachylenia, chwilami jechałem zaledwie trzy kilometry na godzinę. Metr po metrze pokonywałem wysokość. Umordowany okrutnie, z niewysłowioną ulgą powitałem majestatyczną panoramę ogromnej doliny, z wypełniającym ją błękitno-zielonym jeziorem. Wiatr i przenikliwe zimno nie pozwoliły mi na zbyt długie podziwianie krajobrazu. Pomimo obezwładniającego mnie poczucia wyczerpania, trzeźwa myśl na moment orzeźwiła ciało. Należało jak najszybciej przebrać się i zjechać do doliny. Pomimo dobrej aklimatyzacji, odczuwałem standardowe objawy, związane ze zbyt szybkim pokonywaniem wysokości. Silny ból głowy byłby jeszcze do zniesienia, ale coraz wyraźniej zaczynał mi wirować świat dookoła, a na horyzoncie, zza ciemniejących gór, wypęły posępne, chmurne potwory, zdążając na wieczorowe harce z legendarnym smokiem, który podobno zamieszkuje otchłanie jeziora Nam.

Zmrok spopielił kolory na górskich zboczach, a taflę jeziora pociągnął hebanowym pędzlem. Błysnięcia nad szczytami zwiastowały huczne bachanalia, niebiańską symfonię z nieobecnym dyrygentem mrocznych dźwięków, wirtuozem grzmotów i błyskawic. Wiatr już podśpiewywał preludium. Na arię wołałem nie czekać.

Z przełęczy wydawało się, że brzegi jeziora znajdują się niemal na wyciągnięcie ręki, ale musiałem jeszcze przejechać kilkanaście kilometrów, zanim zrównałem się z poziomem tafli wody. Dystans pokonałem momentalnie, z łatwością osiągając prędkość ponad siedemdziesięciu kilometrów na godzinę.

Droga nie doprowadziła mnie do brzegu, ciągnęła się bowiem w dość dużym oddaleniu od niego. W dogasającym świetle dnia zatrzymałem się w końcu przy jednej z wielu rozstawionych dookoła jurt, prosząc na migi o możliwość rozbicia namiotu. Mężczyzna i kobieta stojący przy jurcie wydawali się nie mieć nic przeciwko. Za moment cała rodzina wyległa na zewnątrz, patrząc, jak przy świetle latarki rozbijam namiot. Szybko uporałem się z jego rozstawieniem, wrzuciłem

bagażę do środka, rozłożyłem karimatę i śpiwór i w zasadzie mogłem położyć się spać. Byłem taki zmęczony, że marzyłem już tylko o przyjęciu pozycji horyzontalnej i przytuleniu się do poduszki.

Gospodarze zachęcali mnie jednak, abym wszedł z nimi do jurty. Zdecydowanie nieładnie byłoby odmówić, przewyciężając więc wszechogarniające mnie zmęczenie, wszedłem do środka. Stałem na moment u progu, aby przyzwyczać wzrok do półmroku miejsca. Namiot oświetlony był przez ogień, buchający z umieszczonego obok masztu paleniska, na którym ustawiono kociołek z wodą. Chyba coś się w nim gotowało, bo jedna z kobiet z wysiłkiem mieszała parującą wodę, a druga odkrawała od kości kawałki mięsa i wrzucała je do garnka. Usiadłem obok i przypatrywałem się w milczeniu mieszkańcom jurty. Razem z dziećmi naliczyłem wszystkich jednaście osób. Dwóch mężczyzn, trzy kobiety i maluchy. Po mojej prawej stronie, pod ścianą, znajdował się mini ołtarzyk z figurkami, portretami świętobliwych mężów i małymi naczyniami, wypełnionymi masłem, służącymi zapewne jako świece. Za drewnianą ławą piętrzył się stos plastikowych butelek, a obok stały wypełnione po brzegi worki z mąką i ryżem.

Wnętrze przenikał spokój i charakterystyczny, łagodny zapach dymu z palącego się łąjna jaków. Czas płynął leniwie, nawet dzieci były jakieś ospałe, wlepiły we mnie tępe spojrzenie, jakby się bały intruza i nie bardzo wiedziały, jak się zachować. Ich umorusanym buziom, ogorzałym od słońca i wiatru policzkom i zaschniętym smarkom, przydałoby się trochę mydła i wody, choć moja twarz, po dzisiejszym dniu, pewnie wyglądała podobnie.

Znajdowałem się w miejscu, stanowiącym egzemplifikację teorii czasów lokalnych. Jakkolwiek banalnie to zabrzmie, czas rzeczywiście płynął tu wolniej. Bez zegarków, tej mechanicznej abstrakcji, bez bycia na czas, na godzinę. Pory roku i dnia wyznaczają kolejne, proste, niezbędne życiu czynności. Czas dostosowany jest do lokalnych, zastanych warunków egzystencji, do geografii miejsca. Nie ma pojęcia jego tracenia. Czas się spędza, ale bynajmniej nie traci, na domowych pracach, na zabawie, na rozmowie, ale i na milczeniu, na uśmiechach, nieśmiałych próbach zbliżenia, wzajemnego poznania, zrastania się myśli, zaplatania spędzanych razem chwil.

Zapachy z kociołka drażniły nozdrza. Zawartość wreszcie została odcedzona i nałożona do miseczek. Wspólnie jedliśmy gotowane kluski z kawałkami mięsa, popijając je litrami słonej herbaty. Głośnym ciamkaniem i kiwaniem głową dawałem znać siedzącej obok babci, że kolacja bardzo mi smakuje. Jedzono powoli, jakby z pewnym namaszczeniem, prawie w milczeniu, przerywanym markotnym dziecięcym mamrotaniem. Najmłodszy wyglądał już tak, jakby myślami byli po drugiej stronie lustra, najchętniej pewnie zagrzebaliby się pod koce i derki. Swoją drogą, nie mogłem nadziwić się temu, że dzieci w ogóle mnie nie

zaczepiały. Owszem, patrzyły ciągle ukradkiem, ale z dystansem, jakby szacunkiem dla gościa i choć pewnie paliła je ciekawość i marzyły, aby sprawdzić, czy da się wyrwać moją rudą brodę i białe włosy na łydkach, to nie zbliżyły się na więcej niż metr.

Staralem się nie jeść za dużo, myśląc o tym, że wszystko, co wkładam do ust, jest wytworem rąk i ciężkiej pracy tych ludzi, którzy okazali mi swoją gościnność i zaprosili do środka. To im musiało wystarczyć pożywienia, ja za kilka dni wrócę do miasta i bez głębszej refleksji zrobię w sklepie zakupy i zapcham pusty żołądek.

Czekałem, aż wszyscy skończą zjeść, aby wstać i wrócić do namiotu. Być może oni czekali na to samo, gdyż ciągle pozostawali na swoich miejscach i nikt się nie ruszał. Ach, te subtelne rytuały, niewidoczne dla moich oczu, misternie wplecione w powszednie czynności dnia, których nieznajomość pewnie już nieraz w Tybecie okazałem. *Ignoramus et ignorabimus*. Nie wiemy i nie dowiemy się nigdy.

Podniosłem się wreszcie na nogi i wykonałem ruch, jakbym chciał wrócić do namiotu, ale mężczyzna wskazał na rozłożone deski i oparł głowę na złożonych dłoniach. Hmm, chyba chcieli, żebym spał w jurcie. W sumie, czemu nie, pomyślałem, muszę tylko opróżnić pęcherz. Pokazałem na migi, że zaraz wrócę i wyszedłem na zewnątrz.

Wiatr ciągle silnie wiał, ale przestało błyskać, chwilowo na burzę się nie zanosilo. Sprawdziłem jeszcze umocowanie namiotu, zajrzałem do środka, na wszelki wypadek wziąłem ze sobą dokumenty, dopiąłem suwak i wróciłem do jurty. Będzie przyjemnie i ciepło zasypiać, pomyślałem, patrząc na tłący się jeszcze w palenisku ogień. Mężczyzna wskazał mi miejsce między dwoma chłopcami i dopiero teraz zauważyłem, że kobiety spały po jednej, a mężczyźni po drugiej stronie jurty. Podziękowałem i zagrzebałem się w swoim śpiworze.

Kiedy z pełnym brzuchem, przy dogasającym ognisku, zasypiałem wciśnięty między zawinięte w koce chude ciała, wydawało mi się, choć może tylko iluzorycznie, że wreszcie znalazłem swoją chwilę prawdy.

Obudziły mnie odgłosy domowej krzątanimy. Jeszcze na dobre się nie rozwidniło, a jurta tętniła już życiem. Nawet dzieci wygrzebały się spod koców i przecierały zaspane oczy.

Gospodyni zauważyła, że nie śpię i powiedziała coś po tybetańsku. Niestety, mogłem tylko wzruszyć ramionami. Powtórzyła jeszcze kilka razy zdanie, zakładając może, że jestem przygłuchy, bo przecież mówiła wyraźnie. Ja w zaparte – ramiona do góry i uśmiech na twarzy. Zwróciła się więc do dzieci, na co te głośno się roześmiały. No tak, przyjechał biały na rowerze z dalekich krajów, szmat drogi pewnie zwiedził, a mówić nie umie.

Założyłem spodnie i bluzę i wyszedłem na zewnątrz. Jedna z dziewczynek,

najwyżej siedmioletnia, wracała z wiadrem do połowy wypełnionym tłustym, o ciemnożółtej barwie mlekiem. Chciałem pomóc jej go zanieść do jurty, ale chyba nie zrozumiała mojego gestu i wystraszona wbiegła do środka.

Rozejrzałem się. Tropik mojego namiotu pokrył się rosą poranka. Na zielonym materiale pęczniały duże krople wody. Zebrałem trochę na dłonie i przetrarłem zaspane jeszcze oczy. Taki poranny prysznic.

Niedaleko pasło się małe stado jaków, a na zamglonym jeszcze horyzoncie, majaczyły dalsze jurty i jakby wrośnięte w ziemię zwierzęta, spokojne, nieruchome, zastygłe w ciszy przebudzonego właśnie nadchodzącego dnia. Ten pozorny bezruch wzmagał tylko poczucie odosobnienia, izolacji.

Z oddali nadchodzili mężczyźni, mieszkańcy jurty, w której przyszło mi spędzić noc. Ciekawe, gdzie oni byli? Raczej nie za potrzebą, bo w celach intymnych nie odchodziło się zbyt daleko. Szkoda, że nie mogłem zapytać... Brak języka może nie stanowi przeszkody na poziomie prostej komunikacji, ale gdybym chciał dowiedzieć się od nich czegoś więcej, samymi gestami i kilkoma słowami wyuczonymi z rozmówek z przewodnika, raczej wiele bym nie zdziałał.

Pozdrowiliśmy się wzajemnie i weszliśmy wszyscy do środka. Domownicy usiedli na derkach i gestem dali mi do zrozumienia, że czas na śniadanie. Gospodyni wskazała termosy i miseczki z czymś, co przypominało masło. W innych była znajoma *campa*, z której dzieci robiły już małe kuleczki i wkładały do buzi. Powygłupiałem się trochę z maluchami, które zrobiły się śmielsze i pobawiłem razem z nimi ich glinianymi zabawkami, przypominającymi jaki. Nie chciałem nadużywać gościnności, wyszedłem więc w końcu na zewnątrz, aby spakować się i ruszyć w dalszą drogę.

Wszyscy wyszli na zewnątrz popatrzeć, jak się krzątam z upychaniem sakw i składaniem namiotu. Szczególnie ten ostatni był długo obmacywany, a po złożeniu, podawany z rąk do rąk i podrzucany lekko. Chyba jego niska waga zrobiła na nich wrażenie i może coś jeszcze, albo wręcz przeciwnie, jakiegokolwiek porównanie mojego przenośnego domu z ich jurtą, wypadło śmiesznie blado i mizernie.



Jurta nad Nam Tso na wysokości ok. 4800 m n.p.m.



Przełęcz Laken. Ostatnie spojrzenie na Nam Tso

Zostawiłem kilka papierków z Mao, które powędrowały w fałdy sukienki gospodyni. Mama rzuciła coś głośno do jednej z dziewcząt, a ta wróciła zaraz z woreczkiem mąki. Będzie na czarną godzinę, pomyślałem. Wsiadłem na rower, pomachałem wszystkim i pomknąłem w stronę drogi.

Miałem lekki dylemat, w którą stronę jechać. Droga na zachód, wzdłuż południowego brzegu jeziora, prowadziła do pustelni Tashi Dor. Dużego ruchu jeszcze na niej nie było, ale pamiętając ilość wyprzedzających mnie białych jeepów z poprzedniego dnia, jakoś nie miałem ochoty nią jechać. Ruszyłem zatem najpierw na wschód, a potem odbiłem trochę na północ.

Asfalt szybko się skończył i jechałem szutrówką, która potem zamieniła się w szeroką ścieżkę, aż w końcu i ona zlała się z podłożem i sam wytyczałem szlak po kamienistym podłożu, pokrytym rzadką trawą. Po południu zacząłem się poważnie zastanawiać, czy rzeczywiście wybrałem dobry kierunek. Nie miałem aż tyle czasu, aby objechać całe jezioro, być może gdzieś niedaleko znajdowała się droga (zaznaczono ją na mapie), ale równie dobrze mogło jej nie być. Jedynym plusem wariantu północnego była absolutnie nieskazitelna przyroda, cisza i spokój. Jednak w tych pogarszających się warunkach terenowych, rower z kilometra na kilometr stawał się tylko zbędnym balastem.

Zatrzymałem się na późny posiłek, złożony z kanapek, przygotowanych kilka dni wcześniej w Lhasie. Chleb jeszcze nie spleśniał, ser śmierdział znajomo, można było zaryzykować ucztę dla podniebienia. Po raz kolejny odczułem brak kuchenki. Z przyjemnością zagotowałem wodę i zjadłem coś ciepłego. Trudno, musiałem zadowolić się suchym prowiantem. Na deser zjadłem kawałek czekolady, a raczej, czekoladowej mazi. Konsystencja jednak w tamtej chwili absolutnie nie miała znaczenia. Liczył się smak w ustach i na podniebieniu. Siedziałem na kamieniu z pełną homeostazą myśli, trwając w milczeniu, nikt nie bajdurzył, nie plółł, nie bredził. Taki komfort nieczęsto mi się zdarza. Jakże ogromna wydawała mi się teraz odległość od miasta, jego hałasu, sklepów, spalin, tłumów, świateł. Słońce paliło mocno. Zdrzemnąłem się.

Obudził mnie dziwny dźwięk, jakby zatartego silnika. Samochód tutaj? Podniosłem głowę. Obok mnie stali trzej młodzi chłopcy na koniach. Musieli podjechać dosłownie przed momentem, gdyż zwierzęta łąpczywie wciągały powietrze przez chrapy i parskwały niespokojnie, jakby miały za złe, że galop się skończył i musiały się zatrzymać.

Wyglądający na najstarszego chłopiec krzyknął coś, jakby gniewnie, ściągnął cugle, obrócił konia i pomknął w drugą stronę. Dwaj pozostali puścili się za nim w pogoń. Wszystko zdarzyło się tak nagle, że nawet nie zdążyłem nic powiedzieć, nie mówiąc o wyciągnięciu aparatu i zrobieniu im zdjęcia, bo zaiste, wyglądali dostojnie.

Patrzyłem na trzy zanikające punkty i za moment, jak u Sepulvedy, „gdzieś z daleka, z odległych gór, dobiegł mnie łoskot kamieni, strącanych w przepaść przez galopujące konie, konie mknące niby wichry, konie znikające we mgle lodowców, konie pierzchające na zawsze z moich marzeń”¹¹.

Dla mnie jednak jeszcze nie nadszedł czas pożegnań. Choć chętnie

pomknąłbym na koniu za niewidocznymi już chłopcami. Może kiedyś.

Słońce prawie dotykało gór na horyzoncie. Właściwie to nie musiałem już tego dnia nigdzie jechać. Mogłem rozbić namiot tutaj, gdzie stałem, i iść spać. Postanowiłem jednak podjechać trochę na północ, z nadzieją na nocleg przy jurcie i ciepłą herbatę na śniadanie.

Ruszyłem w drogę, jadąc w pewnym oddaleniu od brzegu jeziora. Co jakiś czas mijalem namioty koczowników i pasące się stada zwierząt. Kilkakrotnie dobiegały do mnie dzieci i biegły obok przy rowerze. Myślałem, że tu, na tym wysoko położonym płaskowyżu, nie będę słyszał pekuniarnej mantry. Niestety, *money, money, money* drażniło ciszę, burzyło spokój. Dzieci nie były natrętne, napastliwe, może nawet do końca nie wiedziały, co mówią, może po prostu biegły za mną dla zabawy, dla chwilowej celebracji niecodziennego wydarzenia, osobliwego widoku kolorowego kuriozum na rowerze, a nie po to, aby wysepić ode mnie jakieś pieniądze. Może biegły za mną instynktownie, tak jak i ja sam w dzieciństwie na wsi, goniłem domokrażnego sprzedawcę lodów Bambino, albo próbowałem ścigać się z dwupłatowcem, biegnąc po łące i wołając „panie pilocie, dziura w samolocie”.

Dzień powoli miał się ku końcowi i należało wreszcie podjechać do jakiejś jurty. Wybrałem jedną z widocznych na horyzoncie i ruszyłem w jej stronę. Tym razem dzieci, stojące niedaleko, na wszelki wypadek czmychnęły do środka, standardowo robiąc przy tym mnóstwo hałasu. Obok jurty pasły się dwa konie, a przed wejściem siedziała staruszka, kręcąc młynkiem modlitewnym i szepcząc mantrę pod nosem.

Podszedłem bliżej, z namiotu wyszła jeszcze jedna kobieta, a za nią dwójka, wyglądających na mocno przestraszonych, kilkuletnich chłopców. Gestami gospodyni zaprosiła do środka. Jurta, poza tym, że była mniejsza, była lustrzanym odbiciem tej, w której spałem poprzedniego dnia. Wielki, solidny maszt wbity w ziemię obok paleniska, podtrzymywał konstrukcję namiotu. Podobno maszty takie robi się ze skór dzikich jaków. Mogą mierzyć nawet do dwóch metrów i osiemdziesięciu centymetrów. Aby taki maszt wykonać, tnie się skórę na długie paski, z których formuje się rurki, zszywa je nicią z jelit i wypełnia piaskiem. Tuby takie zamarzają i pęcznieją na dworze, a potem suszy się je, aby skóra jak najbardziej stwardniała. Po odpowiednim czasie po wysypaniu piasku otrzymuje się lekki, niezwykle twardy maszt, który może utrzymać namiot w czasie najsilniejszych wiatrów.

Usiedliśmy na derkach, gospodyni podała mi miseczkę z *campą*, otworzyła termos i próbowała porozmawiać. Niestety, nie rozumiałem pytań, choć pewnie części mogłem się domyślić. Uśmiechałem się tylko z wdzięcznością, rozkoszując się rozlewającą się po przetyku ciepłą, tłustą, słoną herbatą.

W międzyczasie do jurty wszedł mężczyzna z jeszcze jednym chłopcem.

Zajęli miejsca po drugiej stronie namiotu. W ich ruchach i dźwiękach słów była jakaś skromność, prostota, a może i lekkie zażenowanie, tak jakby od lat przyzwyczajeni do tych samych gestów, do ustalonych quasi-rytuałów codziennej egzystencji, nagle nie bardzo wiedzieli, jak należy się zachować w towarzystwie białego intruza. Ile czasu musiałyby upłynąć, aby mogli mnie zaakceptować? Co myśleli o mnie, patrząc ukradkiem przez nikły dym ogniska?

Oto kolejną noc miałem spędzić wśród ludzi, wyzbytych cywilizacyjnych śmieci. Przypomniałem sobie *Dziennik Północny* Mariusza Wilka i to, co pisał o Saamach, cytując Tacyta. Podobnie jak polski pisarz-włóczęga, który przebywał wśród wypasających renifery ludów Północy, tak i ja teraz byłem wśród ludzi, którzy uważają się za szczęśliwszych od tych, co zdychają przy pługu, wykańczają się budową domu czy trwożą o swój dobytek. Nie pożądam niczego i niczego nie mogąc stracić, „nie bojąc się niesprawiedliwości ludzkiej ni gniewu bogów, osiągnęli to, co najtrudniejsze w życiu: nie mają czego żałować”¹².

Patrzyłem dyskretnie. Starłem się wtopić w ich świat, choć na chwilę. W otoczeniu pozbawionym jakichkolwiek zbędnych rzeczy, poza tymi służącymi do przeżycia, słów używano oszczędnie. Czy to dlatego, że siedziałem obok? Wszyscy, łącznie z dziećmi, wydawali się bardzo spokojni i opanowani, a ten spokój udzielał się również mnie. Milczenie wcale nie ciążyło, wręcz przeciwnie.

Zaspokoiwszy głód, wyszedłem na zewnątrz. Księżyc wzeszedł już ponad góry, metalowa rama roweru odbijała się w jego świetle. Wziąłem pod pachę karimatę i śpiwór i wróciłem do namiotu. Domownicy powoli szykowali się do snu. Mężczyzna wskazał mi miejsce bliżej ognia, ale swój barłóg rozłożyłem trochę dalej. Na wszelki wypadek.



Rozdział 20

Następnego ranka, po sutym śniadaniu i pożegnaniu się z gościnnymi nomadami, ruszyłem z powrotem na południe. Mężczyzna z najstarszym chłopcem towarzyszyli mi jeszcze kilka kilometrów konno, by potem galopem pomknąć w stronę rozciągających się na horyzoncie wzgórz.

Odbiwszy trochę na wschód, dojechałem do drogi, a właściwie szerokiej ścieżki, po czym kontynuowałem nią jazdę na południe, aż do pojawienia się asfaltu. Po swojej lewej stronie minąłem dużą osadę, ale nie zajeżdżałem do niej. Na razie miałem wszystko, co było mi potrzebne do przeżycia, zresztą wieczorem powinienem dojechać do Tashi Dor.

Przy drodze, szczególnie w miejscach, gdzie niedaleko rozstawione były jurty, często zatrzymywały się jeepy, z których wychodzili objuczeni aparatami i kamerami turyści. Momentalnie wokół nich robiło się zbiegowisko. Podchodziły nie tylko dzieci, ale i starsi, czasem niosąc ze sobą kolorowe derki albo koraliki. Co chwilę z namiotów biegły do mnie dzieci, żebrzące o pieniądze. Te już nie były wstydliwe, stanowiłem łakomy kąsek dla ich proc i parę razy kamyki pacnęły niebezpiecznie blisko.

Na sześćdziesiątym pierwszym kilometrze, prawie o zmroku, dotarłem do turystycznej mekki.

Nawet w zapadających ciemnościach brud tego miejsca i porozrzucane śmieci drażniły niezmiernie. Najchętniej uciekłbym stamtąd, gdzie pieprz rośnie, ale byłem już bardzo zmęczony, postanowiłem zatem przenocować w jakimś ustronnym miejscu, mając nadzieję doczekać poranka.

Namiot rozbiłem obok restauracji, w której zjadłem pierogi z mięsem. Początkowo miałem zamiar poszukać czegoś leżącego bardziej na uboczu, ale wszędzie dookoła kręciły się podejrzanе typy, na każdym kroku ktoś mnie nagabywał o pieniądze i to nie tylko dzieci, wołałem zatem nie ryzykować jakichś nocnych odwiedzin.

Właściciel restauracji skasował mnie odpowiednio za możliwość zajęcia kawałka placu, niekoniecznie należącego do niego. Trudno, przynajmniej czułem się trochę bezpieczniej, a mężczyzna twierdził, że obok jego sklepu nic mi w nocy, poza psami, nie grozi. Wokół znajdowało się jeszcze kilka namiotów-restauracji i sklepów, ale powoli je zamykano i ruch był coraz mniejszy. Turyści wrócili do Lhasy, a ci, co zostali, pewnie zaryglowali się już w znajdujących się tutaj kilku hotelach.

Mimo względnego poczucia bezpieczeństwa, spałem bardzo niespokojnie, budząc się często i wsłuchując w dziwne odgłosy za namiotem. Najbardziej obawiałem się o rower, który co prawda przypięty był spinką do ogrodzenia sklepu, ale gdyby ktoś uparł się go podprowadzić, przeciąłby ją z łatwością.

Wstałem bardzo wcześnie, sklepy były jeszcze pozamykane i musiałem trochę poczekać na to, aby plac znów zaczął tętnić życiem. W międzyczasie zwinąłem namiot, schowałem się z całym dobytkiem pod daszkiem, wyjąłem zeszyt i wziąłem się za uzupełnianie notatek.





Czas dostosowany jest do lokalnych, zastanych warunków egzystencji, do geografii miejsca. Nie ma pojęcia jego tracenia. Czas się spędza, ale bynajmniej nie traci...

Około ósmej ze sklepu wyszedł właściciel i zaprosił mnie do środka. Sklep pełnił również rolę restauracji, mogłem więc zamówić herbatę i coś na śniadanie. Omlet z pięciu jajek i kawa z mlekiem smakowały wybornie.

Nie zamierzałem spędzić w tym miejscu kolejnej nocy, najchętniej od razu po posiłku ruszyłbym do Lhasy. Pomyślałem jednak, że skoro już tu jestem, to może skorzystam z okazji i pójdę obejrzeć okolicę. Zapytałem właściciela, czy mógłbym zostawić rzeczy pod jego sklepem. Trochę grymasił, że nie będzie w stanie cały czas pilnować roweru, ale zapewniłem go, że wszystkie cenne rzeczy zabieram ze sobą, sprzęt będzie przypięty, a ja niebawem wrócę.

Kiedy wracałem w stronę restauracji, na placu stało już kilka jeepów. Przy moim rowerze kręcił się wyglądający na turystę mężczyzna. Podeszedłem bliżej.

– Twój rower? – zwrócił się do mnie z uśmiechem.

– Tak.

– Ja też dużo jeżdżę, teraz co prawda rower został w domu, w Niemczech, ale podróżowałem kiedyś na dwóch kółkach po Chinach.

Jeżeli to, co mówił, było prawdą, to rzeczywiście zwiedził kawał świata. Wymienił mnóstwo krajów, na kilku kontynentach, był nawet na Antarktydzie, ale tam rowerem nie jeździł.

– O, też podróżujesz z przyjaciółmi. Poczekaj, pokażę ci coś – powiedział w pewnej chwili, macając reniferzycę Rafinerię i żabę Kermita zawieszonych na kierownicy roweru.

Te dwie maskotki towarzyszą mi podczas podróży od lat. Rafineria trochę dłużej. Pewnej zimy, niedaleko Yorku, kiedy pracowałem z osobami niepełnosprawnymi, próbując zarazić ich swoim wrodzonym optymizmem, reniferzyca przyleciała z Polski samolotem i tak już została. Kermita dokooptowałem do wspólnej paczki parę lat później, żeby Rafinerii nie było smutno, jak gdzieś zostawiam ją z rowerem i żeby miała z kim pogadać. No i w trójkę zawsze trochę raźniej, aczkolwiek Kermit jest raczej małomówny.

Niemiec wrócił za moment z małym albumem zdjęć.

– Zobacz, tutaj mam fotki z podróży z moją maskotką, Peggi – otworzył album i powoli przewracał strony, na których, ni mniej, ni więcej, fotografowana była różowa mała świnka ubrana w kolorowy, wełniany sweterek.

– Peggi na wieży Eiffla, Peggi na tle Buckingham Palce, Peggi na Machu Picchu, na Borneo, Nowej Zelandii i... na rynku w Krakowie.

– Jestem z Polski! – przerwałem – poczekaj i ja ci coś pokażę.

Pogrzebałem w torbie od aparatu i wyjąłem swój magiczny album.

– Zobacz, fotki z podróży z Rafinerią – powiedziałem i wskazałem zdjęcia małej, pluszowej reniferzycy na tle wulkanów na Islandii, na plaży w Hiszpanii, na przewieszce w Alpach, na poletku gandzi w Indiach, na głowie Świętego Męża i tak dalej.

Spojrzał na mnie, jak na wariata i schował swój album do kieszeni.

– I wszędzie z nią jeździsz? – zapytał podejrzliwie.

– Wszędzie – odpowiedziałem zgodnie z prawdą. – Doskonały kompan do podróży. No i jest z kim pogadać, jak zasypiasz sam w namiocie.

Niemiec spojrzał na mnie spode łba.

– To rozmawiacie sobie?

– No pewnie. A ty nie rozmawiasz z Peggi? – zapytałem.

– Nie no, zdarza mi się... ale nie za często – odparł. – Słuchaj, to ja na razie idę do moich przyjaciół – dorzucił i wskazał dwie kobiety, stojące przy białym jeepie. – W razie czego jestem w samochodzie. Na razie!

Sunt certi denique fines. Okazuje się, że są granice, których przekraczać nie można. Jest w porządku fotografować świnkę wśród pingwinów, ale mówić do niej to już lekka przesada. Ech.

Dochodziła druga po południu, a ja już powoli zacząłem myśleć o obiedzie. Należało zdecydować czy zostaję do jutra, czy wracam do Lhasy. Rafineria i Kermit patrzyli wyczekująco. Dobra, zostaniemy tu jeszcze jedną noc, rzuciłem w stronę dwójki kompanów. Ich umorusane paszczęki wyrażały pełną akceptację. Zrozumieliśmy się bez słów.

Poszedłem do gospodarza i zapytałem go, czy mógłbym przenocować w jego noclegowni. Miał akurat jedno wolne łóżko, później mieli się zjawić kolejni turyści, którzy już zarezerwowali miejsca. Jako pełnoprawny klient „hotelu”, otrzymałem odpowiednie przywileje. Nie musiałem już obawiać się o bezpieczeństwo pozostawionego przy płocie roweru, bowiem, za sugestią właściciela, schowałem go do zamykanej na klucz komórki.

Po obiedzie wybrałem się na długi spacer wzdłuż jeziora. Wystarczyło odejść na kilometr od turystycznej bańki, aby z powrotem poczuć się jak na końcu świata. Nic nie bełtało myśli, nikt nie mącił ciszy, przenikającej zwodniczo pusty krajobraz. W pustce pełnia.

Do hotelu wróciłem dopiero wieczorem. Rzeczywiście, tak jak mówił gospodarz, w pokoju byli już nowi turyści. Dwoje Szwajcarów i dwie Koreanki. Wszyscy wyglądali na cierpiących potworne katusze. Domyśliłem się, co jest przyczyną ich fatalnego samopoczucia, co za moment potwierdził Szwajcar.

– W Lhasie czuliśmy się bardzo dobrze, a kierowca powiedział, że będziemy tylko jedną noc tutaj i lepiej się zaaklimatyzujemy przed wycieczką do bazy pod Everestem.

– No tak, a ile dni spędziliście w Lhasie?

– Dwie noce i poza lekką zadyszką przy wysiłku i lekkim bólem głowy nic się nie działo, a teraz czuję, jakby mi miało rozsadzić głowę – powiedział, przyciskając czoło wierzchem dłoni.

– Rozumiem, ale nie mogliście jeszcze kilku dni poczekać w Lhasie i lepiej się zaaklimatyzować? Nikt wam nie mówił, że to niebezpieczne?

– Nie mogliśmy dłużej czekać, bo nasza chińska wiza kończy się za tydzień, a zależało nam na tym, by zobaczyć jeszcze kilka miejsc.

To właśnie je oglądacie, pomyślałem, patrząc na wychodzącą trupioblada Koreankę. Za moment, zza cienkiej ściany, usłyszeliśmy odgłosy walki z żołądkową treścią.

Dziwiło mnie, jak to możliwe, że rozsądni przecież ludzie, a na pewno wyglądający na takich, lekceważą tak elementarne zasady przebywania w górach wysokich. Przecież już sama Lhasa jest położona wysoko, a teraz znajdowaliśmy się na prawie 5000 m n.p.m. Przebycie takiego przewyższenia w kilka dni, może naprawdę bardzo źle się skończyć. Gdybym miał helikopter, to odwiózłbym ich wszystkich do miasta, a może i prosto do szpitala.

Należało tylko mieć nadzieję, że jakoś wszyscy wytrzymają do rana. Potem mieli jechać na południe, przejadą na mniejszą wysokość i powinno im się poprawić.

Nie nagabywałem ich więcej, poszedłem z mapą i przewodnikiem do sali jadalnej. Ślęczałem nad wyrysowanymi szlakami i gompami zastanawiając się, czy będę miał jeszcze czas, aby pojechać do Doliny Królów, znajdującej się na

południe od Lhasy. Teoretycznie było to do zrobienia. Jeśli jutro o przyzwoitej porze dojadę do Damshung, to wieczorem powinienem być w Lhasie, myślałem. Zostaną mi zatem cztery noce przed powrotem do Pekinu. W sam raz na krótką wycieczkę.

Dojadłem wypełnione czymś zielonym *momo* i wróciłem do pokoju. Wszyscy już spali albo przynajmniej wyglądali na takich. Małe okno zaryglowano na cztery spusty, wewnątrz wypełniał zaduch ludzkiego potu, przyprószony zapachem świeżej farby ze ścian i stęchłych ubrań z moich sakw.

Usiadłem na łóżku. Kontemplowałem siekierę unoszącą się w pokoju i zastanawiałem się, czy wpłynie ona na mój sen. Pomyślałem nawet, że może lepiej byłoby rozbić namiot na podwórku, ale już zupełnie nie miałem na to siły.

Obok jęknęła jedna z Koreanek. Niechący omiotłem ją światłem latarki. Miała kompres na głowie.

Zdjąłem ubranie i wskoczyłem do spiwora. Sam zaczynałem czuć się trochę kiepsko. Powietrze zgęstniało i oddychało się ciężiej, pokój jakby lekko się kołysał, a skronie coraz mocniej zaciskało coś w szczękach imadła. Trzeba zasnąć, pomyślałem. Im bardziej jednak zapadałem w noc, tym gorzej się czułem, wydawało mi się, że uchodzi ze mnie powietrze, że coś zasysa mnie do środka, że coś lub ktoś zabiera mi wszystkie siły...



Autor z nieodłącznymi kompanami podróży – Rafinerią i Kermitem

Kolejny ranek w Tashi Dor był ciężki. We wzajemnych pojękiwaniach powoli zwlekaliśmy się z posłań. Ból coraz mocniej ścisnął mi głowę, płuca i wszystkie mięśnie. Wstałem z łóżka, ale dosłownie nie mogłem utrzymać się na nogach. Współlokatorzy z pokoju wyglądali o niebo lepiej ode mnie. Czyżbym jakimś cudem przejął na siebie ich wszystkie wczorajsze dolegliwości?



Uliczka w Lhasie na dzień przed odjazdem

Poszliśmy razem ze Szwajcami na śniadanie. Nie mogłem niczego przełknąć, bo wydawało mi się, że zaraz pobiegnę wszystko zwrócić. Huczało mi w głowie, świat wirował, jak na karuzeli, do tego czułem, jakbym zupełnie stracił wszystkie siły. Samo chodzenie sprawiało mi trudność. Na dodatek zacząłem silnie kaszleć. Już poprzedniego dnia trochę pokasływałem, ale tłumaczyłem to sobie nałykaniem się haustów zimnego powietrza, nie przyszło mi do głowy, że to może początek jakiejś infekcji.

Wypiłem trochę herbaty i odczołgałem się od stołu w kierunku pokoju. Zrobiłem standardowy test na rozpoznanie początków choroby wysokościowej: przejście w prostej linii dwóch metrów dostawiając piętę do czubka stóp. Efekt nie napawał optymizmem. Nie byłem w stanie utrzymać pionowej pozycji nawet przez metr. Przed drzwiami wyjściowymi prawie się przewróciłem. Szwajcar wziął mnie

pod rękę i pomógł dojść do pokoju. Zwalilem się na łóżko jak kłoda. Nie wiem, o czym myślałem. Zapadłem w jakąś malignę, w głowie dudniło, chciałem wymiotować, ale nie miałem czym, chciałem się podnieść, ale nie mogłem.

Koncentrowałem się na niemyśleniu o bólu, na oswojeniu go, na zapomnieniu. Nie wiem, jak długo leżałem. Ktoś wchodził i wychodził, czułem pochylające się spojrzenia, może i pytania, ale nawet, jeśli były wypowiedane, to pozostawały nade mną, zatrzymane i zbędne, milknąc w końcu, topiąc się wśród paroksyzmowych przypływów płomieni piekielnych. Skronie paliły, zionęły ogniem. Kaszel zatykał mi oddech. Chciałem być dzielny, mężnie stać na scenie, jeszcze tylko cztery akty, cztery noce i do domu, ale żaden sufler świata nic by tu nie pomógł. Stałem się głuchy i bezwładny. Uszło ze mnie powietrze.

Poczułem, że ktoś próbuje zwlec mnie z łóżka. Otworzyłem oczy. Szwajcar załatwił mi transport do Lhasy, odwiezą mnie zaraz samochodem.

– A rower? – wycharczałem.

– Rower też zabiorą, to znaczy zabierzemy. Nie martw się, jedziesz z nami, zabierzemy cię ze sobą i odwieziemy do hotelu.

Byłem zbyt nieprzytomny, żeby protestować albo jakkolwiek się ustosunkować do propozycji. W samochodzie siedziały już Koreanki. Zająłem miejsce z tyłu, komfortowo nie będzie, przyszło mi do głowy, kiedy zobaczyłem, że z tyłu będzie siedziała jeszcze jedna dziewczyna. Nie miało to jednak żadnego znaczenia. Było ważne, że zjadę na niższą wysokość, co może poprawi mi samopoczucie. Choć z drugiej strony wydawało mi się to absurdalne, abym po prawie dwóch miesiącach przebywania na dużej wysokości, nagle dostał ciężkich objawów choroby wysokościowej.

Z drogi, poza potwornym bólem głowy i nudnościami, nie pamiętam niczego. Wciśnięty między kobiece ciała, przez cały czas wiłem się jak w ekstazie, niezrodzonej bynajmniej z rozkoszy.

W Lhasie byliśmy około siedemnastej. Z pomocą doczłapałem do pokoju i padłem na łóżko. Marzyłem już tylko o śnie, który może sprawi, że ból trochę zelżeje. Podziękowałem bardzo gorąco Szwajcarowi, który zajął się też rowerem i bezpiecznie przypiął go do balustrady na piętrze hotelu Snowland.

Następny dzień przyniósł lekką poprawę. Współtowarzysze z pokoju patrzyli podejrzliwie, jak wypluwałem płuca i raczej obchodzili moje łóżko dużym łukiem, musiałem więc radzić sobie sam. Wieczorem wyszedłem na chwilę do pobliskiej restauracji i zjadłem lekką kolację. Ciągle miałem potworne zawroty głowy, ale ból zarówno w klatce piersiowej i w głowie trochę ustał. Rozważałem nawet pójście do jakiegoś lekarza, ale ciągle miałem nadzieję, że do dnia odjazdu pociągu objawy zupełnie przeminą.

W czwartek odwiedziła mnie Song Lee. Ze strapioną trochę miną patrzyła, jak łapię powietrze po kolejnym ataku kaszlu.

- Nie jest źle, krwią jeszcze nie pluję – próbowałem zażartować.
- Piotr, chyba powinieneś pójść do lekarza.
- Może powinienem był pójść dwa dni temu, teraz już chyba poczekam, jutro wyjeżdżam, w sumie czuję się coraz lepiej, a za kilka dni będę w domu.
- W porządku, jak uważasz, ale ja bym poszła na twoim miejscu.

Mój wrodzony tępy upór nie dopuszczał już myśli o ewentualnej wizycie u medyka. W rzeczy samej, czułem się trochę lepiej. Ciągłe ślaniałem się na nogach i kasłałem jak gruźlik, ale temperatura spadła i o własnych siłach byłem w stanie przejść kilkaset metrów wzdłuż ulicy.

– Słuchaj, to ja jutro jeszcze pojedę z tobą na dworzec – dorzuciła, wychodząc.

– Dziękuję, byłoby mi bardzo miło.

Rankiem zamówiłem taksówkę, która dowiozła mnie na miejsce. Pociąg miał odjeżdżać o ósmej. Zapobiegawczo przyjechałem godzinę wcześniej, aby jeszcze upewnić się, czy nie muszę dopłacić do biletu za przewóz roweru. W kasie nikt nic nie wiedział, odsyłano mnie na peron i do kierownika pociągu.

Wejścia na peron strzegły bramki i dwóch strażników. Kiedy zbliżałem się z objuczonym rowerem, jeden z nich podszedł w moją stronę.

– *No bicycle.* Żadnych rowerów.

Cholera, myślę, będą mi go kazali zapakować w pudło czy co?

– Ja jechać Pekin. Mieć bilet. Odjazd pół godziny. Rower z Polski wziąć, jeździć rowerem po Tybet.

– Ty ok, rower nie.

Proszę pana, to właśnie rower w porządku, a ja trochę mniej. Może powinienem był dodać, że od kilku dni praktycznie nie wychodziłem z łóżka, że mam zawroty głowy i lekką gorączkę, ale pewnie i to nie przekonałoby upartego służbisty. Zaczęło mnie to przekomarżanie już trochę drażnić, ale jasne było, że nic nie wskóram, choćbym nawet położył się na ziemi. Bezradnie rozglądałem się dookoła, bezgłośnie wysyłając błagalne spojrzenia przechodzącym pospiesznie podróżnym. Song Lee także nigdzie nie widziałem. Pewnie jeszcze spała po przepracowanej nocy w barze...

Jeden ze stojących obok mężczyzn wytłumaczył mi łamaną angielszczyzną, że nie mogę wejść na peron z rowerem, bo tak jest napisane w regulaminie. Poza tym, pociąg nie ma wagonu bagażowego i nie będę mógł wnieść do środka jednoślada. Mógłbym go nadać innym pociągiem albo rozłożyć i zapakować w jakieś pudło.

Należało działać. Na szukanie pudeł i rozkładanie roweru było już za późno. Pomyślałem, że obejdę budynek i dojdę do pociągu od strony torów, choćbym miał nawet jechać po podkładach. Znalazłem odpowiednie miejsce i za moment wtaszczałem bagaże na pełen podróżnych peron. Pociąg, jak można się było tego

spodziewać, już był prawie gotów do odjazdu, dochodziła bowiem siódma czterdzieści pięć.

Doszedłem do pierwszego wagonu i zatrzymałem się przed wąskim wejściem



Ostatnie dni pobytu w Lhasie były już tylko mglistym wspomnieniem

iem. Musiałem odczepić sakwy, aby wcisnąć rower. Prawie już byłem w środku, gdy nagle usłyszałem jakieś okrzyki. W towarzystwie dwóch umundurowanych kobiet zbliżał się jeden ze strażników. No, to jestem załatwiony, pomyślałem. Zabawa zaczęła się na nowo, tyle że z większą intensywnością, wzbogacona piskliwymi okrzykami kobiet, których wodewilowa ekspresyjność zwróciła uwagę połowy dworca. Momentalnie zrobiło się niezłe zbiegowisko. Miałem nadzieję, że to mi pomoże przekonać służbistów, że ktoś się za mną wstawi, wytłumaczy. Niestety, ten werbalny, bezkrwawy turniej był z góry przeze mnie przegrany. Coraz wyraźniej kazano mi się wynosić z *kangari*, czyli rowerem, albo wsiadać do pociągu bez niego.

– Bez roweru nie wsiadam, nie ma takiej opcji – powtarzałem.

Zostało pięć minut do odjazdu.

Jak zбитy, pobity albo i prawie zabity pies, stałem z sakwami w rękach, bezradnie wpatrzony w rozsierzdzonych kolejarzy.

Ratunku! Co mam robić?!

Trzy minuty.

Nie pozostawało mi nic innego, jak walnąć głową w mur, gdy nagle dostrzegłem zdyszana Chinę Song Lee.

– Sorry Peter, zasnęłam!

– W porządku, wytłumacz tym ludziom, że muszę wejść do pociągu z rowerem.

Na dyplomatyczny kondukt nie było czasu. Dziewczyna od razu zabrała się do rzeczy. Byłem pełen podziwu dla porywczej Chinki, która prawie przywaliła torebką w strażnika, ale to tylko przypieczętowało moją klęskę. Ktoś z boku głośno gwizdał, nadbiegali policjanci.

Jedna minuta.

– Słuchaj, zostawię ci rower i wrócę po niego za rok – próbowałem uspokoić rozjątrzoną dziewczynę.

Kątem oka spostrzegłem, że konduktor zamierza zamknąć drzwi. W ostatniej chwili wskoczyłem do środka. Pociąg ruszył bezgłośnie.

– Zaopiekuj się rowerem!!! – krzyknąłem do ciągle zaciętrzewionej Song Lee.

Chyba na mnie spojrzała. Chyba odkrzyknęła *no problem*. Chyba ma mój adres. Chyba...

O cholera, czy aby na pewno ona ma mój adres?! Musi mieć.

Z pomocą konduktora precyzyjnie się do właściwego wagonu. Jak bardzo żałowałem teraz, że nie mam miejsca leżącego! Za własne skąpstwo i idiotyczną chęć zaoszczędzenia kilkudziesięciu dolarów mogłem winić tylko samego siebie. Na zdrowiu nie powinno się oszczędzać. Kiedy wreszcie się tego nauczę?

Zająłem swoje miejsce i próbowałem uspokoić rozpędzone myśli. Jest w porządku, pocieszałem się. Chinka ma rower, przyjadę za rok, jednośląd będzie już na miejscu. Żeby tylko się odezwała. Napisałem jej adres na kartce, ale nie wziąłem żadnego od niej samej. Zobaczmy, na razie należało wrócić bezpiecznie do domu.

Myślałem, że uda mi się zasnąć, ale ból w skroniach i spazmatyczne ataki kaszlu nie pozwoliły na choćby chwilę ulgi od fatalnego samopoczucia. Z przerażeniem myślałem o nocy i czekającej mnie prawie pięćdziesięciogodzinnej podróży w pozycji z podkurczonymi nogami i głową na twardym blacie. Siedzący obok mężczyźni próbowali nawet do mnie zagadać, ale zupełnie nie miałem siły na jakąkolwiek konwersację. Wieczorem zmusiłem się do zjedzenia kilku zabranych na drogę pierożków, ale zaraz je zwróciłem. Pytałem konduktora, czy nie ma jakichś wolnych miejsc leżących, ale niestety wszystkie były zajęte, a te pozostałe, zarezerwowały osoby dosiadające się w Golmud. Nie pozostawało mi nic innego jak wrócić na i tak cenne miejsce przy oknie, oprzeć głowę i spróbować mimo

wszystko zasnąć.

Z perspektywy czasu nie pamiętam zbyt wiele z tej nocy. Wiem tylko, że była to zdecydowanie najpodlejsza noc ze wszystkich, jakie zostawiły choćby śladowe wspomnienie w mojej głowie. Budziłem się co chwila, głowę rozsadały prawie realistyczne w swej sile kanonady, paliło mi skronie, a ciałem targały nieopanowane ataki konwulsyjnego kaszlu.

Rankiem wcale nie było lepiej. Siłą woli zwlokłem się z zamiarem skorzystania z łazienki. Świat dookoła wirował, twarze siedzących obok osób rozjeżdżały się na wszystkie strony, niewyraźne głosy dochodziły do mnie zwielokrotnione, jakby odbite, już nie myślałem racjonalnie, marzyłem o przyjęciu pozycji leżącej, chciałem się położyć, przyjąć na moment pozycję horyzontalną, żeby choć przez chwilę nie czuć się jak na karuzeli. Musiałem znaleźć konduktora.

Nie wiem czy to przez moją prawie płaczącą prośbę, czy z powodu tego, że wyglądałem jak *zombie*, ale tym razem konduktor nie mówił, że nie ma miejsc. Po prostu zaprowadził mnie do sześćoosobowego przedziału i wskazał palcem górne łóżko, dodając, że dopłacę do biletu przy wysiadaniu. Myślę, że to, co działo się w tamtej chwili w mojej głowie, byłoby porównywalne z uczuciem, gdybym umierał z pragnienia i ktoś podały mi szklankę wody.

Chciałem jeszcze wrócić po bagaże, ale konduktor powiedział, że zaraz je przyniesie. Wdrapałem się na łóżko i położyłem na czystej pościeli. Wpadłem w rozkoszny błogostan. Nie ruszę się stąd aż do Pekinu, pomyślałem. Przez chwilę przyszło mi jeszcze do głowy, jak on znajdzie moje bagaże, ale przecież byłem jedynym białym turystą w pociągu, który nie wykupił miejsca leżącego, tylko podróżował w fotelu.

Konduktor wrócił z bagażami, położył je pod oknem, coś do mnie mówił, ale jego słowa zlały się w amorficzną, niewyraźną bryłę. Zza zapadającej wreszcie kotary snu, wyszeptalem w jego stronę dziękuję, ale chyba za słabo...

Nieobecny kapelmistrz obwieścił zasłużony antrakt.



Bilet z Lhasy do

Pekinu

- 1 B. Chatwin, *W Patagonii*, Warszawa 2007, s. 229.
- 2 R. Kapuściński, *Lapidaria I-III*, Warszawa 2008, s. 376.
- 3 Częściowo pokonana rowerem w 2007 roku przez Joannę Mostowską, a w 2008 przez Pawła Opaskę i Magdalenę Nitkiewicz podczas ich podróży dookoła świata.
- 4 H. Uhlig, *Tybet*, Katowice 2008, s. 22.
- 5 R. Kapuściński, *Lapidaria IV-VI*, Warszawa 2008, s. 102.
- 6 K. Brandys, *Bardzo starzy oboje*, Warszawa 1965, s. 213.
- 7 B. Chatwin, *tamże*, s.153.
- 8 S. Marai, *Dzienniki*, Warszawa 2009, s. 17.
- 9 L. Staff, *Wybór poezji*, Wrocław-Warszawa-Kraków 1970, s. 37.
- 10 L. Staff, *tamże*, s. 37.
- 11 L. Sepulveda, *Przegapienia*, Warszawa 2005, s. 32
- 12 Mariusz Wilk, *Tropami rena*, Warszawa 2007, s.13

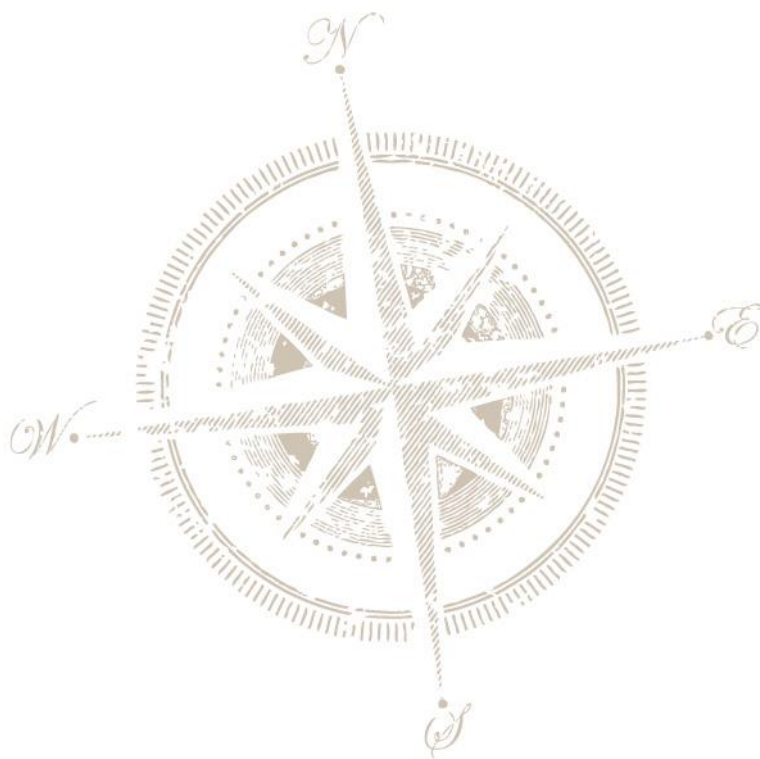


Czasem uśmiech znaczy więcej niż tysiąc słów





Część druga: Zimowy epilog



Rozdział 21

Wróciłem do domu bez dalszych przygód. Po jako tako przespanej nocy w pociągu i kolejnej, spędzonej już w pekińskim hotelu, czułem się trochę lepiej. Ból zelżał i nie kaszlałem tak mocno, choć i tak siedząca w samolocie obok mnie kobieta, patrzyła bardzo podejrzliwie, kiedy wypluwałem płuca w chusteczkę.

Minął miesiąc, a Song Lee nie pisała i nie dzwoniła. Jak mogłem być taki nieroztropny, że na dworcu nie wziąłem od niej żadnego adresu? Choć z drugiej strony, nie było już na to czasu... Wydawało mi się, że kiedy rozmawialiśmy w barze, gdzieś go zapisałem, ale za nic nie mogłem sobie przypomnieć, gdzie... Miałem adresy mailowe do właścicieli sklepu muzycznego z Lhasy, ale oni też nie byli w stanie mi w niczym pomóc. Pamiętali dziewczynę, nawet rozmawiali z nią po moim wyjeździe. Twierdzili, że zabrała rower z dworca i miała się do mnie odezwać...

Kiedy już właściwie straciłem nadzieję, że Song Lee napisze, pewnego dnia odebrałem krótkiego maila „Piotr, rower jest, wróciłam do Chongqing, przyjedź do mnie”.

I tak się zaczęło. To znaczy, nie romantyczna znajomość, tylko pomysł wyjazdu w zimie do Tybetu. Rower stał się więc *spiritus movens* całej podróży. Przez następne tygodnie wymieniliśmy kilka maili, z których raz wynikało, że mój *kangari* jest w Chongqing, a raz, że został w Lhasie. Ostateczna wersja brzmiała, że

jednak ciągle jest w Tybecie.

Z biegiem czasu coraz bardziej przekonywałem się do myśli, że pojedę po niego zimą, a nie latem i tak zwaną „Autostradą Przyjaźni” przejadę nim do Katmandu. Pomysł ten nie wziął się z jakichś masochistycznych pobudek ani z tego, że jazdę po bezdrożach w trzydziestostopniowym mrozie i silnie wiejącym, lodowatym wietrze przedkładałam nad letnią przejażdżkę po urokliwych polach i lasach. Chciałem jednak znów zobaczyć tybetański płaskowyż, chciałem podpatrzeć, poobserwować, podejrzeć, jak w jeszcze bardziej surowych warunkach radzą sobie Tybetańczycy. Miałem wielką ochotę na nową, barbarzyńską przygodę.

Poza tym, zawsze lubiłem zimę i ubolewam bardzo nad tym, że z roku na rok jest coraz bledsza, cieplejsza, bezśnieżna. Owszem, zdarzają się kilkudniowe, albo i nawet nieco dłuższe mrozy, ale czym to jest w porównaniu z niektórymi zimami z lat siedemdziesiątych czy osiemdziesiątych, kiedy zamykano szkoły, autobusy nie kursowały, w domu siedziałem w kurtce i spałem pod ogromną pierzyną, bo pękła rura od centralnego ogrzewania, a zaspy sięgały dwóch metrów.

Kiedy nadchodził listopad, było oczywiste, że spadnie śnieg, w grudniu słupek rtęci zbliży się do dolnej granicy podziałki termometru, w pańnikach będzie świeże siano i łatwiej będzie można podglądać sarny, na zamrożonych na kość stawach będzie się grało w hokeja krążkiem z pudełka po paście do butów wypełnionego piaskiem, że w święta będzie kulig, marchewkowe nosy białych stworów, radość z ciepłego pieca, skrzące się drwa w kominku, a powietrze, choć pozbawione kolorowych barw, będzie ostre, świetliste, rozjarzone, kłujące w oczy od odbijających się w puszystej bieli słonecznych promieni.

Zima 2007 roku, a przynajmniej jej początek, była łagodna, bardzo wietrzna i prawie bezśnieżna. Cieszyłem się więc na myśl, że jadę prosto w środek himalajskiej zawieruchy, będzie białe, mroźno i prawdziwie. Im więcej napotkam trudności, tym bardziej docenię drogę, tym mocniej będę się cieszył z powrotu, z ciepłego kubka herbaty, z ciepła rodzinnego domu.

Nie przerażały mnie mrozy i silne wiatry. Przynajmniej wtedy, nad mapą, łatwo kreśliło się czekającą mnie tysięczkilometrową drogę.



Song Lee (z lewej) z przyjaciółką



W Chongqing

Ponieważ odcinek, który zamierzałem pokonać, znałem częściowo z autopsji, postanowiłem nie zabierać ze sobą namiotu, a tylko karimatę, folię NRC i ciepły śpiwór. Zakładałem, że nawet jak nie uda mi się dojechać do jakiejś wioski

i zanocować pod dachem u tybetańskiej rodziny, to zawsze będę mógł zatrzymać się w jakiejś opustoszałej szopie, bądź ruinach, które osłonią od wiatru. Deszczu tym razem nie musiałem się obawiać, a jeśli nawet nie udałoby mi się dojechać do jakichś zabudowań, to po prostu wykopię jamę w śniegu, okutam się w folię i jakoś do rana dociągnę.

Najważniejsze wydawało mi się nastawienie psychiczne, fizycznego wysiłku się nie obawiałem. Musiałem tylko przestawić co nieco w głowie, przekonać samego siebie, że nie ma nic dziwnego w jeżdżeniu rowerem po śniegu, że zimno da się oswoić i zaakceptować. Tłumaczyłem sobie, że przecież będąc dzieckiem, zdarzało mi się jeździć w dwudziestokilkustopniowych mrozach i jakoś przeżyłem i nigdy niczego sobie nie odmroziłem. Będzie to więc trochę powrót do dziecięcych, zimowych rowerowych wspomnień, tyle że scena się rozrosła. Pola i lasy pod Hutą Czechi czy Trąbkami ustąpiły miejsca podniebnym płaskowyżom, takim jak tybetański. Może to droga w jedną stronę, przywracanie dawnych wspomnień poprzez kreowanie nowych. Nie wiem. Tak czy inaczej, decyzja zapadła.

Pojawił się jednak nowy problem. Kiedy poinformowałem Song Lee, że pod koniec stycznia zawitam do jej rodzinnej metropolii, by potem pojechać do Lhasy i kontynuować podróż do Katmandu, dziewczyna zasugerowała, że pojedzie ze mną. Z jednej strony nie miałem nic przeciwko jej towarzystwu. Na pewno jako znająca język chiński przydałaby się po drodze. Łatwiej też pewnie byłoby mi kupić bilet na pociąg z Chongqing do Lhasy, bez konieczności korzystania z biura podróży i ponoszenia dodatkowych opłat. Z drugiej jednak strony, mając na uwadze dość trudną trasę i niechybnie czekające nas siarczyste mrozy, istniało realne niebezpieczeństwo, że dziewczyna okaże się przysłowiową kulą u nogi. Dyplomatycznie, w jednym z maili odpowiedziałem „w sumie czemu nie”, mając nadzieję, że pomysł wspólnych wojaży uda mi się jej wyperswadować. Ostatecznie, pomyślałem, pojedziemy razem do Lhasy, a tam będzie na tyle zimno i wietrznie, że Chince odejdzie ochota na rowerowe peregrynacje.

Kupiłem więc bilet do Pekinu w jedną stronę (linie FinnAir) i stamtąd do Chongqing (linie Air China), razem z powrotnym biletem z Katmandu do Warszawy, przez Delhi (Indian Airlines) i Helsinki (FinnAir). Cały bilet na wszystkie wymienione powyżej przeloty kosztował dwa tysiące osiemset pięćdziesiąt złotych.

Siedemnastego stycznia 2007 roku stałem w kolejce na lotnisku, gotowy do odprawy. Tym razem nie musiałem się obawiać problemów z nadbagażem, pudłem na rower i tak dalej. Jednośląd gdzieś już tam na mnie czekał, a przynajmniej taką wtedy miałem nadzieję. Mój bagaż wynosił zaledwie kilkanaście kilogramów. Wszystko, poza śpiworem, który miałem w małym plecaku jako bagaż podręczny, udało mi się upchnąć do niedużej torby.

Bez problemu doleciałem do Pekinu, by tam przesiąść się w samolot linii Air China, lecący do Chongqing. Prawie w samo południe byliśmy na miejscu. Odebrałem bagaż, zarzuciłem na ramię bazarową torbę i skierowałem się ku wyjściu. Song Lee miała na mnie czekać w hali przylotów. Jak na ponad dwudziestomilionową metropolię, lotnisko nie było zbyt duże, nie musiałem się więc obawiać, że nie znajdę właściwej drogi. Bez trudu znalazłem niedużą poczekalnię. Stałem na środku, aby łatwiej mnie było wypatrzeć, choć i bez tego pewnie wystarczająco rzucałem się w oczy.

Ale dziewczyny nie było.

Może się spóźni, nie ma co panikować, przecież wyraźnie jeszcze wczoraj potwierdziła w mailu, że na pewno będzie na lotnisku. Po pół godzinie zacząłem się trochę martwić, po godzinie postanowiłem zadzwonić. Rozmieniłem pieniądze, znalazłem aparat telefoniczny i wystukałem numer. O, jak fajnie, ktoś coś mówi po chińsku. Ale nie był to głos Song Lee. Spróbowałem raz jeszcze. Ten sam kobiecy głos chciał mi coś przekazać. Może to, że abonent czasowo niedostępny? Trudno, poczekam i zadzwonię za jakiś czas.

W międzyczasie znalazłem kafejkę internetową. Sprawdziłem historię maili. Wszystko się zgadzało. Chinka potwierdziła, że będzie czekać na mnie na lotnisku w południe. Miasto się zgadzało, lotnisko też, data się zgadzała, godzina się zgadzała.

W takim razie coś się musiało stać. Inaczej przecież dałaby mi znać choćby mailowo. Zacząłem się poważnie martwić, bardziej o nią niż o siebie. Napisałem maila, że jestem na lotnisku i jeszcze raz spróbowałem zadzwonić, tym razem w towarzystwie młodego chłopca. Poprosiłem go, aby przetłumaczył mi informację ze słuchawki. Tak jak myślałem, kobiecy głos mówił, że abonent jest czasowo niedostępny. Poczekałem na odpowiedni sygnał i nagrałem wiadomość na skrzynkę.

Miałem teraz duży dylemat. Czekać czy jechać do centrum? Nie miałem adresu dziewczyny, miałem tylko jej numer telefonu. Jeśli chodzi o nocleg, zawsze mogłem coś znaleźć, pytanie tylko, co dalej. Podróż do Tybetu? A co z rowerem?

Wydawało mi się to niemożliwe, żeby zupełnie wystawiła mnie do wiatru, jaki miałyby w tym cel? Może zgubiła telefon, stoi w korku albo miała wypadek i przyśle kogoś po mnie? Na pewno przecież, jeśli tylko może, zrobi coś, żeby mnie stąd zabrać, pocieszałem się. Postanowiłem poczekać do osiemnastej i potem ewentualnie pojechać do centrum poszukać noclegu. Usiadłem w jednej z kafejek, zjadłem kanapki i zanurzyłem się w lekturze przewodnika. Miasto oferowało wiele tanich noclegów, należało tylko konkretnie się zdecydować.

W głowie kreśliłem bardzo czarne scenariusze dalszej podróży, łącznie z powrotem do Polski. Choć z drugiej strony, skoro jestem już tak blisko, mógłbym pojechać do Lhasy i spróbować na miejscu kupić rower i pojechać na nim do

Katmandu. Tyle że z gotówką, którą dysponowałem, nie mogłem liczyć na jednośląd odpowiednio dobry na himalajskie przełęcze. Mogłem też kupić rower w Chongqing i zamiast po Tybecie, zrobić sobie wycieczkę po Chinach. Wiązałoby się to jednak z koniecznością kupna biletu powrotnego z Pekinu do Polski, a tutaj znów ograniczały mnie finanse.

O osiemnastej trzydzieści pozbyłem się resztek złudzeń i wyszedłem na zewnątrz. Poszedłem we wskazanym przez sympatyczną pracownicę kawiarni kierunku, z nadzieją na odnalezienie odpowiedniego numeru autobusu, który dowiedzie mnie do centrum. Niestety, słowo „centrum” wymawiane przeze mnie na wszystkie możliwe sposoby akcentowania, modulowania, tonowania, zabarwiania i cieniowania, nie wywoływało u nagabywanych osób niczego poza rozbrajającym uśmiechem i wzruszeniem ramion. Bynajmniej mało rozczulającym w tamtym momencie.

Nie miałem siły na tłumaczenia i poszukiwania odpowiedniego autobusu. Wybrałem taksówkę. Kierowca starego, prawie rozsypującego się Audi 100 ochoczo wrzucił moją torbę do bagażnika i ruszyliśmy w stronę miasta. Oczywiście o dogadaniu się nie było mowy, ale kiedy podetknąłem taksówkarzowi pod nos nazwę i adres hotelu, kiwnął głową ze zrozumieniem i powiedział „ok”. Nie pozostawało mi nic innego, jak oddać się w jego ręce i zaufać, że wie, dokąd jedzie.

Siedziałem na tylnym siedzeniu samochodu, oddzielony od kierowcy grubą, metalową kratą. Przez zakurzone okno, z nietęgą miną, oglądałem zagęszczający się miejski krajobraz. Szczerze mówiąc, to na zewnątrz nie było zbyt pięknie. Mówiąc eufemistycznie, było dość brzydko. I tak nie przepadam za miastami, ale te betonowe molochy i mrowie samochodów zupełnie mnie przytłaczały. I stąd miałbym jechać rowerem? O nie, nawet jeśli byłoby mnie stać na jego kupno, to wolałbym wyjechać najpierw gdzieś na prowincję.

Całe miasto wyglądało jak jeden wielki plac budowy – ogromne żurawie, szerokie na kilkadziesiąt metrów estakady, rozjazdy, wielkie bezkolizyjne skrzyżowania, rusztowania, potężne buldożery ciągnące się środkiem drogi i, co najbardziej mnie drażniło, wszechobecny hałas. Ryk pneumatycznych młotów, słyszanych, kiedy stawaliśmy na gęsto rozsianych światłach sygnalizacyjnych, zgrzyt pił tarczowych, świrdrów, wiertel, no i oczywiście klaksonów. Trąbili wszyscy, czy było to potrzebne, czy nie. Trąbili podjeżdżając, trąbili wyprzedzając i stojąc przed sygnalizacją świetlną, popędzając przechodzących na czerwonym świetle pieszych.



Na targu dwudziestomilionowego miasta Chongqing

Widoczny z oddali unoszący się nad miastem smog, utwierdził tylko potęgujące się we mnie wrażenie chaosu i nieporządku. W sumie ten brudny obłok nie powinien mnie dziwić: Chiny już dawno wyprzedziły wszystkie gospodarki świata, razem ze Stanami Zjednoczonymi, jeśli chodzi o emisję dwutlenku węgla. Zrozumiałoby więc być widok tak wielu osób, chodzących po ulicach i chodnikach w maskach chirurgicznych. Jak oni mogą żyć w takich warunkach? W dodatku jest zima, co tutaj musi się dziać w lecie, kiedy temperatury dochodzą do czterdziestu stopni...

Dojechaliśmy na miejsce. Wszedłem do hotelowej recepcji, zapłaciłem z góry za jedną noc i udałem się do pokoju. Ciągle nie bardzo wiedziałem, co mam dalej robić. Było już po dziewiętnastej, może powinienem jeszcze raz zadzwonić? Plan A spalił na panewce, należało wykoncypować plan B.

B jak brzuch, pomyślałem, świetny pomysł, trzeba coś zjeść, z pełnym brzuchem pomysły same wskoczą do głowy. Wziąłem mały plecak i wyszedłem na ulicę.

Było już dość późno, ale i tak dookoła gorączkowo przepływało mrowie ludzi. Co ciekawe, wśród tej lawiny ludzkich stworzeń, prawie nie widziałem

innych osób, poza samymi Chińczykami. Nie widziałem żadnych turystów ani żadnych europejskich biznesmenów, wlokących się po dwunastu godzinach pracy do domu, by kolejnych pięć spędzić nad zabranymi do stylowej teczki papierami.

Nie mogłem więc umknąć uwadze naganiaczy i innych podejrzanych typków. Na odcinku dwustu metrów od hotelu do restauracji nagabywano mnie co najmniej dziesięć razy. Sprzedawano standardowe badziewia typu zegarki, breloczki czy długopisy, ale były też i ciekawsze propozycje. Jeden z sympatycznie wyglądających młodych chłopców zaczął od niewinnego pytania, czy podobają mi się chińskie dziewczyny. I owszem, odpowiedziałem, ale zaraz tego pożałowałem. Chłopiec miał imponującą kolekcję zdjęć „masażystek” w wieku, na oko, od lat trzynastu do sześćdziesięciu. Nie przekonało go, że nie lubię masażu. Szedł za mną i uparcie próbował namówić na „chińską specjalność”, która miała na mnie czekać tuż za rogiem. Ostatecznie zgodziłem się wziąć wizytówkę i obiecałem, że jak się najem, to wrócę, obmyślając już w głowie powrót do hotelu inną drogą.

Był też taki, który zapytał mnie, czy lubię sztukę. Tym razem byłem ostrożniejszy, ale i tak nie uchroniłem się przez natarczywością nalegań, aby odwiedzić jego studio malarskie. Chłopiec przedstawił się jako biedny student Akademii Sztuk Plastycznych, którego nie stać na samodzielne pokrycie kosztów nauki i że ja, jako bogaty, pełną gębą Europejczyk, mógłbym mu pomóc w ukończeniu studiów, poprzez kupno jakiegoś obrazu albo rzeźby.

Pomijając już wątpliwą w swojej prawdziwości historyjkę o ubogim studencie, jak i zasobność mojego portfela, to nawet jakbym kupił jakiś bohomaz, to w jaki sposób miałem go dalej wieźć? W zębach? Próbowałem to przekazać sympatycznemu skądinąd chłopakowi, ale ni w ząb to do niego nie docierało. W końcu więc musiałem uciec się do bardzo brzydkich słów. Może mało adekwatnych do sytuacji, ale naprawdę nie mogłem już wytrzymać.

Wybrałem restaurację, w której na szybko zapisano menu po angielsku, aby mieć pewność, że dziś nie zjem niczego, co pogorszy moje i tak już nadwątlone samopoczucie. Ryż z warzywami wydawał się bezpieczną opcją. Zapomniałem o zabraniu z hotelu łyżki, musiałem więc męczyć się pałeczkami. Tak, wiem, że można się nauczyć i nawet podczas ubiegłorocznego wyjazdu do Chin i Tybetu dość skutecznie zgłębiałem tajniki wciągania klusek i wygrzebywania mięsa z zupy dwiema cienkimi pałeczkami, ale nikt mnie nie przekona o ich prakseologicznej wyższości nad łyżką czy widelcem podczas jedzenia ryżu. Ryż wolę jeść sztućcami.

Męczyłem się więc nad talerzem, pomagając sobie rękoma i nagle stała się rzecz niebywała: kelnerka przyniosła mi łyżkę! W sumie mogłem o nią poprosić...

Z pełnym brzuchem wyszedłem na ulicę i udałem się w stronę najbliższego automatu telefonicznego. Postanowiłem jeszcze raz spróbować zadzwonić do Song Lee. Wystukałem numer.

– Halo? – słyszę znajomy głos.

– To ja Peter! Jestem już w Chongqing – byłem tak zaskoczony, że nic innego nie przyszło mi do głowy.

– Co, już? Jak to? Przecież miałaś przyjechać jutro!

– Nie, dziś, miałem przyjechać dziś, przecież sama to potwierdziłaś w mailu!

– Ojej, Peter, sorry, gdzie ty jesteś? Przyjadę zaraz po ciebie.

Podaliśmy nazwę ulicy, okazało się, że to nawet nie tak daleko od miejsca, w którym mieszkała. Miała się zjawić za godzinę.

– Ale przyjedziesz dziś? Za godzinę? Pod hotelem? – powtórzyłem to samo chyba ze trzy razy, aby tym razem mieć pewność, że dziś to dziś, a za godzinę, to nie jutro.

– Tak, tak, będę za godzinę, czekaj pod hotelem.

Uff. No to wracamy do planu A. Jest Chinka, może będzie rower, może dojadę do Tybetu, sam czy z nią, bez znaczenia i może razem albo oddzielnie dojedziemy do Nepalu.

O wszystkich, kreślonych przez ostatnie godziny czarnych scenariuszach mogłem teraz zapomnieć. Poczulem dziwny spokój i rozleniwienie, tak jakby nierozpoczęta właściwie podróż już się zakończyła. Jakbym czekał na kogoś, komu chcę opowiedzieć o przeżyciach, zdarzeniach, o karkołomnych przygodach, które w wyobraźni już odbyłem. Jakby już naprawdę wszystko się stało, a nie dopiero miało nastąpić.



Kolacja przygotowana przez przyjaciół Song Lee

Song Lee zabrała mnie spod hotelu. Wsiadłem do taksówki, którą przyjechała i pojechaliśmy do niej. Bardzo przepraszała, że pomyliła dni (Sic!). A myślałem, że to ja jestem roztargniony. Wydawało jej się, że mam przyjechać następnego dnia...

– Peter, nie gniewaj się, wynagrodzę ci to jakoś – po raz enty zaczęła mnie przepraszać.

– Wszystko w porządku, ważne, że mimo wszystko jesteś – patrząc na jej pełną skruchy minę nie sposób było się gniewać. Zresztą, gniewanie nigdy nie było moją mocną stroną. Zanim dojechaliśmy do jej mieszkania, pozbyłem się zupełnie resztek animozji.

Song Lee, razem z dwójką przyjaciół, wynajmowała trzy duże pokoje w ogromnym, kilkunastopiętrowym molochu.

– Nie spodziewałam się ciebie dzisiaj, więc przepraszam za bałagan, a moi znajomi przyjdą późno w nocy, więc nie miał kto posprzątać – powiedziała, kiedy weszliśmy do środka.

– Nie szkodzi – odpowiedziałem, myśląc, że chyba nie widziała, jak wygląda bałagan. Trzy pokoje były prawie pozbawione mebli, pośrodku jednego stał

ogromny stół, w dwóch pozostałych głównym sprzętem było łóżko i elektryczny grzejnik.

– Peter, mam tylko jedno łóżko, ale za to dwa koce – powiedziała Song znienacka, kiedy już rozłożyłem na podłodze torbę i plecak. – Miałam ci załatwić materac, ale nie zdążyłam – dodała.

No tak, *ce que femme veut, Dieu le veut*. Kobieta zawsze dopnie swego, pomyślałem.

– Nie szkodzi, łóżko jest ogromne, zmieścimy się, a koc niepotrzebny, mam swój śpiwór.

– O, to dobrze, bo w nocy może być zimno.

Rzeczywiście, na zewnątrz było kilka stopni na plusie, w mieszkaniu niewiele więcej.

– Nie macie tu centralnego ogrzewania? – zapytałem.

– Nie mamy, tak jest zdrowiej. Nawet u mnie w szkole nie włączają. Co prawda w klasach jest ogrzewanie, ale nie używa się go, chyba że temperatura wewnątrz spadnie poniżej zera.

– Jak to, siedzicie w klasie mając kilka stopni ciepła?!

– No tak, czemu się dziwisz?

– Ale przecież jest zimno... Nie jest wam zimno? – spytałem lekko skonsternowany.

– Nie, bo siedzimy w kurtkach, a pod spodem mamy jeszcze dresy. Dres to w Chinach szkolny mundurek, nie trzeba się przebierać idąc na WF, apel albo ćwiczenia między zajęciami.

– Ćwiczenia między zajęciami? Hmm. A jak często macie te ćwiczenia?

– Peter, to zależy od szkoły. W mojej są raz dziennie, ale jeszcze jest poranny apel, na którym też się ruszamy, potem jedna albo dwie godziny WF, no i często ćwiczymy w czasie zajęć, jak się zrobi chłodno albo jak pada na zewnątrz.

– Rozumiem, czyli dziś śpimy w kurtkach?

– Peter, zaraz będzie cieplej, włączę grzejnik i do północy się nagrzej. Co ty taki zmarzluch?

– W porządku, zaraz się ubiorę... A woda ciepła jest?

– Oczywiście, że jest, to znaczy teraz nie ma, trzeba zagrzać, chodź, pokażę ci.

Czego, jak czego, ale widoku ubikacji „dla narciarzy” naprawdę się nie spodziewałem. Korzystałem już z publicznych, pozbawionych ścian szaletów, gdzie bez żadnych ceregieli Chińczycy rozmawiają sobie, jakby właśnie byli na kolacji, przy akompaniamencie odpowiednich odgłosów i zapachów, ćmiąc jeszcze przy tym papierosy. Ale widzieć kucaną toaletę w bloku?

W środku odchodnego przybytku zionęła wielka dziura. Przynajmniej nie będzie problemów z trafieniem, pomyślałem i spojrzałem na dziewczynę.

– Tak, wiem, nie ma papieru, zapomniałam kupić – powiedziała bez cienia zażenowania. – Ale jest woda w wiaderku. A, i pamiętaj, nie wrzucaj niczego do toalety, bo się zapcha.

Na dziś miałem dość wrażeń. Mycie przełożyłem na następny dzień. Dziewczyna uparła się, że zrobi jeszcze coś do jedzenia, ale żołądek miałem ciągle wypełniony ryżem z warzywami, więc ograniczyłem się do jabłka, umycia zębów i zagrzebania w śpiworze.

– Peter, jest ci ciepło? – usłyszałem jeszcze przed zaśnięciem.

– Tak, jest mi gorąco – odpowiedziałem, zaciągając mocniej kaptur na głowę.

Chyba odpowiedziała, „a mi nie za bardzo”, ale może to było tylko chińskie „dobranoc”.



Rozdział 22

Rankiem poznałem dwoje współlokatorów. Choć „poznałem” właściwie nie jest dobrym słowem. Młody chłopak i dziewczyna zmyli się do swojego pokoju, jak tylko wszedłem do kuchni i zostałem im przedstawiony. Nawet nie udało mi się usłyszeć wyraźnie ich imion, ale w sumie nie miało to znaczenia. Song Lee stwierdziła bowiem, że *primo*, są nieśmiali, *secundo*, nie znają angielskiego i przez to w naszej obecności będą jeszcze bardziej nieśmiali.

- Ale to przecież doskonała okazja, żeby poćwiczyć język – zaproponowałem.
- Tak, ale żeby poćwiczyć, trzeba coś umieć, a oni nie znają nawet najprostszych słów. Tak czy inaczej, będziemy musieli z nimi zjeść wieczorem kolację.
- O, to już przestaną się wstydzić?
- Nie, ale tak trzeba. Tego wymaga *guanxi*.
- Kto wymaga?? – zapytałem zdziwiony.
- Nie kto, tylko co. Oj, Peter, zaraz ci wytłumaczę.

Tak więc dowiedziałem się, że chodzi tu o specyficzną kurtuazję, pewnego rodzaju wzajemne wyświadczenie sobie najróżniejszych uprzejmości czy grzeczności. Trochę takie coś za coś, ale bez podtekstu roszczeniowego, raczej spontaniczna ochota sprawienia komuś odrobiny radości, bez oczekiwania wzajemności. W pewnym sensie też potrzeba zaakcentowania tożsamości, a nie indywidualizmu, tak bliskiemu naszej kulturze. W Chinach jest inaczej, kultywuje się raczej wzajemne powiązania, związki i układy, przy czym te ostatnie nie mają negatywnego wydźwięku. Okazało się, że Song Lee dwa dni temu robiła kolację dla współlokatorów, naturalną kolejną rzeczą było więc, że dziś zrobią ją oni dla nas.

- W porządku, to kolację mamy z głowy, a co ze śniadaniem? – zapytałem, gdyż nic nie wskazywało na to, że nastąpią zaraz jakieś kulinarne manewry.
- Śniadanie zjemy na zewnątrz – powiedziała Song Lee i zaraz dodała – tylko się umyję, póki jest ciepła woda.

Swoją ablucję przełożyłem *ad calendas Graecas*.

W pobliskiej restauracji zdałem się na gust mojej gospodyni, z jednym zastrzeżeniem – *bujao latiao*.

Mogłem jednak poszperać trochę w menu, gdyż Song Lee zamówiła na śniadanie rosół z górą mięsa. Do tego dość mocno przyprawionego.

– Song, prosiłem cię, żeby nie było na ostro.

– Peter, przecież zamówiłam nie na ostro, spróbuj tego – i podstawiła mi pod nos swoją miseczkę.

Siorbnąłem tłustej mazi, po której poczułem, jakby ktoś przejechał mi po ustach pokrzywą.

– Chyba wypaliło mi przełyk – zacharczałem.

– Widzisz, mówiłam, że twoje nie jest ostre.

Ze swojej miski wyjadłem prawie cały makaron, a Song Lee wypiła po mnie rosół. Na dnie zostało trochę małych gwiazdeczek, wyglądających na badian. Kucharz chyba jednak nie wytrzymał i coś dorzucił. Może i rzeczywiście byłyby to ujma dla niego, gdyby podał posiłek zupełnie bez przypraw. Przecież wtedy nie miałby on żadnego smaku.

Po śniadaniu poszliśmy na bazar, kupić warzywa i owoce na kolację. Ciekawa rzecz, że nawet Chinka targowała się o cenę towarów. Myślałem, że sprzedawcy praktykują zawyżanie cen tylko w stosunku do zagranicznych turystów. Już się oswoiłem z tym w ubiegłym roku, że najpierw na wyświetlaczu kalkulatora albo telefonu komórkowego pojawia się mocno zawyżona cena. Jeśli zgodzimy się na pertraktacje, to musimy jeszcze być świadkiem przedstawienia, w którym sprzedawca będzie biadolił, jaki to jest biedny, ile to ma dzieci na utrzymaniu i jak bardzo pomożemy mu wykarmić rodzinę, jeśli cokolwiek kupimy. A gdy już będziemy mieć dość sztuki i będziemy chcieli odejść, wystuka połowę uprzedniej kwoty i tak dalej, aż do skutku.

Pertraktacje Song Lee nie były aż tak „wyszukane”, ale i tak było na co popatrzeć. Tłumaczyła mi potem, że nie zawsze się targuje, ale wydawało jej się, że straganiarz żądał za wiele.

Oczywiście, wymiana zdań wyglądała jak kłótnia, tym ostrzejsza, że Song w ogóle była nad wyraz ekspresywna i miała bardzo zjadliwy język. Dobrze, że nie rozumiałem niczego po chińsku, wystarczyły mi jej dosadne *fuck-owe* kontaminacje, wykorzystywane w najróżniejszych zestawieniach słownych i rejestrach.

– *Fuck*, to pewnie przez ciebie, Peter – powiedziała z udawanym wyrzutem.

– Pewnie pomyślał, że ty będziesz płacił, a ja jestem twoją żoną, *fuck!*

– W takim razie, jako dobry mąż, pozwól, że wezmę od ciebie siatki – powiedziałem, sięgając po wypchane torby.

– Peter, *fuck*, sama mogę ponieść!

No i odezwała się wojująca chińska feministka. To miało być z mojej strony budowanie *guanxi* między nami, ale chyba coś przekombinowałem.

Kolacja odbyła się wcześniej, niż myślałem. O piątej po południu stół był już nakryty, a dania gotowe do spożycia. Współlokatorka przyrządziła wołowinę z warzywami i nawet moje wrażliwe podniebienie mogło ją znieść, gdyż najostrejsze przyprawy były podane w osobnych salaterkach. Swoją drogą, jedzenie było pyszne, nie wiem, czy to za sprawą przypraw, czy samego smaku mięsa i warzyw. Ryż również podany był w oddzielnych pojemnikach. Do tego jeszcze pierogi z mięsem i gotowane na parze bułki.

Po kolacji udaliśmy się na dworzec w celu kupna biletu do Tybetu. Już wczorajszego dnia stało się jasne, że Song jednak zostanie w Chongqing. Nie powiem, że bym był bardzo strapiiony tą informacją, ale oczywiście szarmancko udałem rozżalonego i przygnębitego.

Dziewczyna była bardzo zdziwiona, kiedy powiedziałem, że ja, jako obcokrajowiec, nie będę mógł kupić biletu do Lhasy. Zrobiliśmy więc eksperyment. Stałem sam w kolejce, a Song Lee cierpliwie czekała przed dworcem. Tak jak przewidziałem, kasjerka udawała, że nic nie rozumie, a kiedy pomógł mi stojący za mną mężczyzna, tłumacząc pytanie, kobieta odsyłała mnie do biura podróży albo sugerowała podróż samolotem.

Wyszedłem na zewnątrz, rozkładając ręce. Rzucając *fuck, fuck, fuck*, Song Lee wzięła ode mnie pieniądze. Na wszelki wypadek powiedziałem, że zapomniałem, przy którym stałem okienku, ale i tak pewnie zrobiła burdę. Wyszła po niedługim czasie, cała z wypiekami na twarzy, mówiąc, że kupiła bilet bez najmniejszego problemu.

Miałem upragniony papierek w kieszeni, do tego miejsce leżące. Tybet znów był na wyciągnięcie ręki, należało mieć nadzieję, że wpuszczą mnie do pociągu bez żadnych pozwoleń.

Do odjazdu zostały dwa dni. Nie powiem, że bym przez te następne kilkadziesiąt godzin, choć przez moment nie wiedział, co zrobić z wolnym czasem. Dziewczyna nie odstępowała mnie ani na krok, czy to w dzień, czy w nocy. Ciągnęła mnie po parkach, muzeach, imprezach, przerywanych najróżniejszymi atrakcjami typu wycieczka łodzią po rzece czy bar karaoke, ciągle coś opowiadając, gestykulując, śmiejąc się przy tym tak perliście, że nie mogłem nie dać się ponieść.

Unosiłem się więc przez dwa dni, czy to w towarzystwie jej znajomych, czy też jej samej, a kiedy delikatnym, kocim ruchem nadszedł czas odjazdu, nagle zdałem sobie sprawę, że kończy się coś, co więcej się nie powtórzy i już nie musiałem udawać rozżalonego i przygnębitego, bo naprawdę zrobiło się smętnie, że filigranowa postać zostaje, choć Song Lee do samego końca doskonale grała rolę uśmiechniętej, zadowolonej z życia, pozytywnej wariatki.

Pojechaliśmy taksówką na dworzec. Chińska dziewczyna ciągle tryskająca humorem i optymizmem, ja trochę ze ściśniętym sercem, czy aby na pewno wpuszczą mnie do pociągu.

– Peter, *fuck*, przecież masz bilet, czym się martwisz? – pocieszała mnie.

Jak zwykle oczekiwałem jakichś problemów i byłem przygotowany na najgorsze, ale okazało się, że niepotrzebnie. Być może stało się to dzięki temu, że Song Lee była ze mną, ale bilet miałem tylko ja, ona kupiła jedynie taki, który uprawnia do wejścia na peron.

Tradycyjnie, wskakiwałem do pociągu w ostatniej chwili. Trochę szkoda, że nie mogłem jej zabrać. Coś zdecydowało, że miejsca, na tę przynajmniej podróż, zabrakło. Może kiedyś, na inną...

Pociąg ruszył, drzwi się zatrzasnęły, na peronie zostawiłem kolejny fragment siebie, stuk, stuk, puk, puk, Peter, *fuck*, płakać nie będę, nie martw się, nie martwię się, może zapomniałem się uśmiechnąć, czym tu się martwić, rozpocząłem kolejny rozdział, kiedy poprzedniego dobrze nie zamknąłem.



Ani przez moment nie zastanawiałem się, co zrobić z wolnym czasem

Nic się nie zmieniło. Na razie jadę. Przede mną nowa podróż. Krótka. Będę miał nieco ponad trzy tygodnie na dotarcie do Katmandu. Ostatnia prosta. Może wreszcie się zatrzymam? Wątpię. Najpierw muszę dojechać. A jak pisał Terlecki: „Żadna podróż nie zaspokaja, nie nasycza, nie ucisza. W porządku doczesnym, w wymiarze czysto ludzkim i wyłącznie ziemskim jest to bodaj nie do osiągnięcia

lub trudno osiągalne. W tym zawiera się może metafizyczny, religijny sens podróowania”1.

Zająłem miejsce wskazane przez konduktora, który wziął mój bilet i schował do kieszeni w surducie. W sześciuosobowym przedziale zajęte było tylko jedno, dolne łóżko, na którym ktoś, odwrócony plecami, smacznie pochrapywał. Nie pozostawało mi nic innego, jak zająć górną pryczę, zapalić nad głową lampkę i poczytać przed snem. Przez okno i tak niewiele już bym zobaczył. Na zewnątrz zrobiło się zupełnie ciemno i tylko światło latarni, w regularnych interwałach, krótkim liźnięciem omiatało sąsiedni rząd łóżek.

Nie mogłem czytać, nie mogłem zasnąć. Leżałem wpatrzony w zawieszony trzydzieści centymetrów nade mną sufit i snułem obrazy wspomnień, na które nakładały się lekko niepokojące myśli o nadchodzących dniach. Czy rower będzie tam, gdzie ma być, to znaczy, czy spotkam się z tajemniczym Pubu? Czy rower będzie się jeszcze nadawał do dalszej jazdy?

Jak zwykle, trochę się bałem. Nie samej drogi, ale tego nieprzewidywalnego czegoś, na co i tak nie miałbym wpływu, okoliczności, których i tak bym nie przewidział, czy zaskakujących zmiennych sytuacyjnych, które mogą odmienić bieg wydarzeń.

Właściwie, jak zwykle zresztą, jechałem zupełnie w ciemno, bez określonego planu podróży, pomijając kupiony już bilet powrotny z Katmandu. To jedno było pewne – za dwadzieścia trzy dni musiałem być w stolicy Nepalu. Nieważne w jaki sposób tam się dostanę. Innej opcji nie ma. Bilet na samolot do Delhi i potem do Warszawy przez Helsinki był nie do zwrócenia, o zmianie daty wylotu też mogłem zapomnieć. A na inny nie było mnie stać. Musiało się udać.

Obudziły mnie dochodzące z korytarza odgłosy. No tak, chińska pogawędka na podkreślonych decybelach. Podniosłem się z łóżka i powitałem ranek soczystym *fuck*, natychmiast po tym, jak moja głowa spotkała się z sufitem. A powtarzałem sobie przed zaśnięciem – nie wstawaj gwałtownie z wyrka. Spojrzałem w dół. Mój współlokator już nie spał i patrzył na mnie pytająco. Hmm, chyba nie potraktował tego jako zachętę do rozmowy.



Widok z okna pociągu relacji Chongqing – Lhasa. Na zewnątrz minus trzydzieści trzy stopnie Celsjusza

Zeskoczyłem na podłogę i obdarzyłem go szczerym, porannym, zapyziałym uśmiechem. Aby pozbyć się resztek wątpliwości, zagadałem po angielsku. Mężczyzna wzruszył tylko ramionami. Może i dobrze. Nie będzie się naprzykrzał. Choć z drugiej strony, czekało nas jeszcze ponad trzydzieści godzin jazdy, wystarczająco dużo, aby dzieląc tak długo wspólną przestrzeń, trochę się zaprzyjaźnić.

Chciałem uchylić okno, ale sąsiad potrząsnął głową. No tak. Jak kiedyś na Ukrainie. *Uże zabite na zimoj*. Pomysłowi kolejarze zamknęli okna na zimę, tyle że był środek lata...

Już po powrocie do domu przeczytałem, że w pociągu do Lhasy okna latem też są zamknięte. Wynika to z faktu, że są one specjalnie uszczelniane, aby do środka nie dostawało się ubogie w tlen, rozrzedzone, wysokogórskie powietrze. Do tego szyby powleczone są specjalną powłoką, chroniącą przed promieniowaniem ultrafioletowym, zabójczym na dużych wysokościach. I na tym nie koniec, jeśli chodzi o bezpieczeństwo podróżnych. Nad każdym łóżkiem znajduje się maska tlenowa, gdyby ktoś, pomimo wszystkich wewnętrznych zabezpieczeń, na tybetańskim płaskowyżu zaczął odczuwać jakieś dolegliwości.

Wyszedłem na korytarz i zwiedziłem inne wagony. Dopiero teraz, w świetle dnia, widać było, jak komfortowy jest pociąg, którym jechałem. Na korytarzu, elektroniczne tablice wyświetlały naprzemiennie w językach chińskim i angielskim

informacje o drodze, przewidywanych utrudnieniach, temperaturze czy prędkości jazdy. W czteroosobowych przedziałach nad łózkami były nawet telewizory.

Z głośników sączyła się nastrojowa muzyka, przerywana propagandowymi ciekawostkami o budowie tego „cudu chińskiej inżynierii”. Opisywano doskonałe warunki pracy, w jakich przyszło pracować robotnikom, podkreślano, że podczas kilkuletniej pracy nikt nie zginął, akcentowano działania służące ochronie środowiska naturalnego i na końcu wyrażano opinię, że kolej przyniesie nowe standardy życia zarówno Chińczykom, pragnącym osiedlić się w Tybecie, jak i samym Tybetańczykom.

Ciekawe tylko, ilu z nich pytano o zdanie.

Faktem jest, że chiński rząd ułatwia swoim obywatelom przeniesienie się do Tybetu. Pracownicy otrzymują tu wyższe płace, a urlopy są znacznie dłuższe. „Chińskim przedsiębiorcom przysługują specjalne zwolnienia podatkowe i niskoprocentowe kredyty, podczas gdy Tybetańczykom, pragnącym założyć firmę we własnym kraju, trudno zdobyć nawet niezbędne zezwolenia”².

Jakkolwiek absurdalnie to brzmi, Tybetańczycy powoli stają się etnograficzną ciekawostką i na coraz większych obszarach etniczną mniejszością. W takim świetle trudno mówić o wymiernych korzyściach, jakie im samym przynosi ekonomiczny i gospodarczy rozwój, dokonywany niby w ich imieniu.

Ciekawe, skądinał, kim był siedzący obok mnie chiński mężczyzna. Może właśnie jechał do nowego miejsca pracy w Lhasie albo Shigatse, albo odwiedzał rodzinę, która już od lat tam mieszkała. Próbowiałem go kilka razy zagadnąć, ale zbywał mnie w podobny sposób. Wzruszał ramionami i kiwając głową dodawał: *no English*. Może po prostu mężczyzna nie chciał rozmawiać i udawał, że nie zna języka. Łatwo było powiedzieć *no English* i pozbyć się niechcianego rozmówcy. Może to taki ogólnoswiatowy trend, „coś się zmieniło, dziwna nieufność nastąpiła, trudno otworzyć jamę gębową w przedziale, a zamiast konwersacji wybieramy milczenie, podróż w głąb neuroz, wykonywany z chirurgiczną precyzją rozbiór zaokiennych krajobrazów, ucieczkę w prasę bądź podręczniki”³.

Trochę szkoda, bo tak jak zazwyczaj w pociągach czy w innych środkach komunikacji sam wybieram milczenie, to teraz chętnie czegoś bym się dowiedział. Po raz kolejny dotarło do mnie, jak nieznamość języka docelowego kraju zubaża jego głębsze poznanie, jeśli tylko jesteśmy gotowi na twórczy wysiłek zauważenia czegoś, nauczenia się, dostrzeżenia.

O ileż łatwiej byłoby aktywnie podróżować, posiadając choćby szczątkową umiejętność komunikowania się, przekazania marzeń, uczuć, pragnień, o ileż bogatsze byłoby poznanie, ileż innych, obcych, cudzych światów można by odkryć!

Ciągle ślizgam się po powierzchni, zbieram okruchy, skorupy popękanych w dzieciństwie naczyń, naiwnie łudząc się, że złożę je kiedyś w całość.

Pewne rzeczy chyba zawsze pozostaną dla mnie nie do przeskoczenia.

Mężczyzna z przedziału nie był najemnym wyrobnikiem ani odwiedzającym rodzinę w Lhasie czy innym tybetańskim mieście. Wsiadł w Golmudzie i dalsze godziny spędziłem w przedziale sam. Swoją drogą, w ogóle w pociągu zostało niewielu podróżnych. Kiedy pociąg mozolnie wspiął się na Płaskowyż Tybetański, mogłem do woli podziwiać przepiękny, surowy krajobraz. Temperatura na zewnątrz oscylowała w granicach minus trzydziestu stopni. Trochę z niepokojem myślałem o drodze do Katmandu, którą zapewne będę musiał pokonać w podobnych warunkach.

Późnym popołudniem drugiego dnia od rozpoczęcia podróży z Chongqing dojeżdżaliśmy powoli do Lhasy. Widziany z oddali pałac Potala wzbudził we mnie bardzo silne uczucie wzruszenia, jakbym wracał do dawno nieodwiedzanego, rodzinnego domu, z którym łączyły mnie same pozytywne myśli i wspomnienia. Na jaskrawoniebieskim niebie mocno świeciło słońce, a na szczytach okalających miasto i w nim samym prawie nie było widać śniegu. To akurat mnie nie martwiło, wręcz przeciwnie, spodziewałem się widoku wielkich zasp i białych krajobrazów, a tu okazało się, że wszystko dookoła przypominało środek lata. Choć przyznam, że miło byłoby popatrzeć na biały puch, ale niekoniecznie po nim jechać.

Pociąg przyjechał na stację punktualnie, z wagonów na peron wysypała się garstka podróżnych, w tym i ja, ciągnący za sobą dużą torbę i małą reklamówkę.

Spojrzałem na przeciwległą ścianę budynku, o którą parę miesięcy wcześniej oparłem rower. Mniej więcej w tym samym miejscu stał teraz pusty wózek, z krótkim dyszlem rzuconym niedbale o ziemię.

Przypomniałem sobie całe zdarzenie z końca letniej podróży: problemy z wniesieniem roweru na peron, upartych służbistów, spóźnioną Song Lee... Tak, gdyby nie ona, już więcej nie zobaczyłbym roweru, a może i Tybetu też nie... Ciekawe, czy jeszcze się kiedyś z nią spotkam...

Strzepnąłem z siebie chwilowo nieistotne myśli i wyszedłem na zewnątrz, będąc momentalnie obkoczonym przez taksówkarzy. Z miną cwaniaczka odpowiedziałem, że przecież są autobusy i skierowałem się we właściwie miejsce. Bus już czekał na podróżnych i za chwilę ruszyliśmy do centrum. Naprawdę czułem się, jakbym wracał do rodzinnego miasta. Trasę prawie znałem na pamięć. Po lewej stronie raz po raz pokazywał się na wzgórzu pałac Potala, już widać było budynki miasta za rzeką.



Przed świątynią Jokhang w Lhasie



Świątynia Jokhang na tle pałacu Potala

Z dworca do hotelu udałem się pieszo. Było rześko, ale nie bardzo mroźnie,

temperatura wynosiła minus dziesięć stopni poniżej zera. Zacząłem odczuwać lekkie zawroty głowy i mdłości, ale nie na tyle silne, abym nie mógł kontynuować marszu. Konieczna będzie właściwa aklimatyzacja. Kilka dni w mieście wystarczy, potem, rowerem, stopniowo będę zdobywał wysokość. Należało go tylko odzyskać. Jutrzejszy dzień przyniesie odpowiedź, jak będę dalej jechał z miasta. O siedemnastej byłem bowiem umówiony ze wspomnianym już tajemniczym Pubu, znajomym Song Lee, u którego, jak twierdziła, zostawiła rower. Na wszelki wypadek dostałem też jego numer telefonu i miałem zadzwonić, aby potwierdzić godzinę i miejsce. Mieliśmy się spotkać przy zamkniętym na razie sklepie muzycznym, który tak dobrze mi się kojarzył.

To wszystko miało nastąpić następnego dnia. Na razie jednak szedłem do hotelu, zdziwiony tłumami mijanych po drodze Tybetańczyków. Na ulicach prawie nie było turystów, za to kolorowo ubranych mieszkańców Tybetu – mnóstwo. Być może, wielu z nich przybyło na świętowanie Nowego Roku, *losar*, który w 2007 roku przypadał na luty.

Niestety, ja nie będę mógł zobaczyć wspaniałych zapewne uroczystości związanych z obchodami. Jak tylko uda mi się odzyskać rower, ruszę w drogę do Nepalu.

Zameldowałem się w tym samym hotelu, w którym nocowałem latem, z tym, że mogłem sobie pozwolić na wyższy standard i wziąć pokój trzyosobowy z elektrycznym grzejnikiem. Pomimo zbliżającego się krótkiego sezonu, związanego ze świętem *losar*, to nadal ceny były dość niskie w porównaniu z cenami z lata.

Próbowałem zadzwonić do Pubu, ale nikt nie odpowiadał. Trochę przez to wieczorem zmarkotniałem, ale nie było sensu martwić się na zapas. Zobaczymy, co przyniesie jutro, pomyślałem.

Po śniadaniu włączyłem się do późnego popołudnia po mieście, zwiedziłem raz jeszcze świątynię Jokhang, odwiedziłem kilka znajomych restauracji i po raz kolejny poczułem się jak u siebie.

Ciągle nie mogłem się przyzwycząić do tych niezliczonych tłumów Tybetańczyków, wałęsających się po mieście, nie mówiąc o placu przed świątynią Jokhang, gdzie modlących się osób było zatrzęsienie. Czuło się również wzmożoną obecność wojska i policji, patrolujących dosłownie każdy róg ulicy. Nie powiem, żeby w jakiś sposób przeszkadzali, ale ta ich beczelna, nieskrywana wszechobecność była jakby gwałcząca, ingerująca, pozornie łagodna i pokojowa, ale z drugiej strony o krok zawieszona od wybuchu złości, jawnej agresji.



Tybetańska Pippi

Kwadrans przed siedemnastą zjawiłem się w umówionym miejscu, czekając na Pubu. Ciekawy byłem, jak też ten człowiek wygląda, no i jak będzie wyglądał mój rower. A jeśli przyniesie inny, wmawiając mi, że to mój? Jeśli byłby wystarczająco sprawny, to może i będę w stanie go przyjąć... W sumie i tak, w takim przypadku wiele bym nie wskórał. Jeśli chcę dojechać do Katmandu, muszę mieć rower. Autobus mnie nie zabierze, a na jeepa mnie nie stać, do tego byłby problem ze znalezieniem chętnych. Oczywiście w Lhasie też są sklepy i serwisy rowerowe, ale sprzęty w nich są bardzo marne. Podróż na takich rowerach byłaby niewspółmiernie bardziej męcząca. Na pewno możliwa do wykonania, ale przy większym nakładzie sił i, co dla mnie było szczególnie istotne, czasu. A ja przecież nie miałem go zbyt wiele.

Spacerując wzdłuż ulicy i wymyślając możliwe scenariusze spotkania, nagle spojrzałem na jeden czarny rower, upchnięty przy pobliskim sklepie między innymi jednośladami. Podeszedłem bliżej. Bardzo, ale to bardzo przypominał ten, który zostawiłem kilka miesięcy wcześniej. Podeszedłem jeszcze bliżej. Dotknąłem. Niemożliwe! Przecież to mój rower! I nawet nie był przypięty!



Tybetanki świętujące Nowy Rok w Lhasie

Nie posiadałem się z radości, widząc go w stanie, w jakim zostawiłem go latem. Brakowało jedynie bagażnika z przodu i kilku drobiazgów, ale najważniejsze, że koła były całe i kierownica i rama! Hurra, mam rower. Rozejrzałem się dookoła. Może tajemniczy Pubu zgotował mi taką miłą niespodziankę i teraz patrzy gdzieś z boku i dobrze się bawi. Jeśli tak było, to musiał się dobrze ukryć, bo na ulicy nie było nikogo.

Wyciągnąłem rower ze sterty pojazdów. Już miałem na nim odjechać, kiedy to z pobliskiego sklepu wyszło kilka osób, wykrzykując coś w moją stronę i mocno przy tym gestykulując.

– To mój rower. Zostawił go dla mnie pan Pubu! – próbowałem przekazać istotną informację, ale niestety wybrałem zły język. Wyraźnie widziałem, że nikt nie rozumie po angielsku. Podeszli do mnie bliżej i sytuacja się zaogniła. Ewidentnie dawali mi do zrozumienia, żebym rower odstawił na miejsce.

– To mój rower. Mój. Pubu przyniósł. Na pewno znacie Pubu. Mój rower – powtarzałem już prawie ze łzami z oczach, bo postawny mężczyzna oparł się o kierownicę i pomyślałem, że zaraz mi przyłoży.

I wtedy, jakby spod ziemi, zjawił się policjant.

– Panie policjancie, czy pan mówi po angielsku? – skierowałem błagalne pytanie.

Ale mundurowy w ogóle mnie nie słuchał. Przekrzykując siebie nawzajem, motłoch dookoła wraz z policjantem wymachiwali nade mną rękoma i wydawało mi się, że za moment wszyscy się na mnie zwałą i nie będzie już ani mnie, ani roweru, ani nic.

– Rower tutaj – wreszcie padło zdanie, odbierające wszelką nadzieję. Przedstawiciel prawa nawet nie próbował mnie wysłuchać. Sytuacja mocno się zaogniła. Co robić? Rozglądając się dookoła, patrząc na wrogie mi twarze, starając się znaleźć choć jedną wyrażającą odrobinę współczucia, nagle zauważyłem na ścianie sklepu napis: telefon. Właśnie! Trzeba zadzwonić do Song Lee i ona wszystko po chińsku wytłumaczy.



– Telefon, telefon, telefon! – z furią w oczach i pianą na ustach cedziłem w kółko to samo słowo.

Chyba zrozumieli. Odstawiwszy rower, eskortowany przez policjanta i resztę gawiedzi, wszedłem do sklepu.

– Ja zadzwonię, przyjaciółka, ona wytłumaczy – pokazując policjantowi kartkę z numerem telefonu, wykręciłem odpowiednie cyferki. Policjant przyglądał mi się coraz bardziej podejrzliwie. Z dzikim obłędem w oczach, rozwichrzoną czupryną i nie najświeższymi spodniami musiałem wyglądać jak kompletny wariat. Jak nic zaraz mnie wsadzi do paki, pomyślałem. Dziewczyna musi odebrać, inaczej już po mnie.

– Halo? – usłyszałem w słuchawce znajomy, dziewczęcy głosik.

– Halo, Song Lee? *Fuck!* To ja, Peter!

Byłem uratowany.

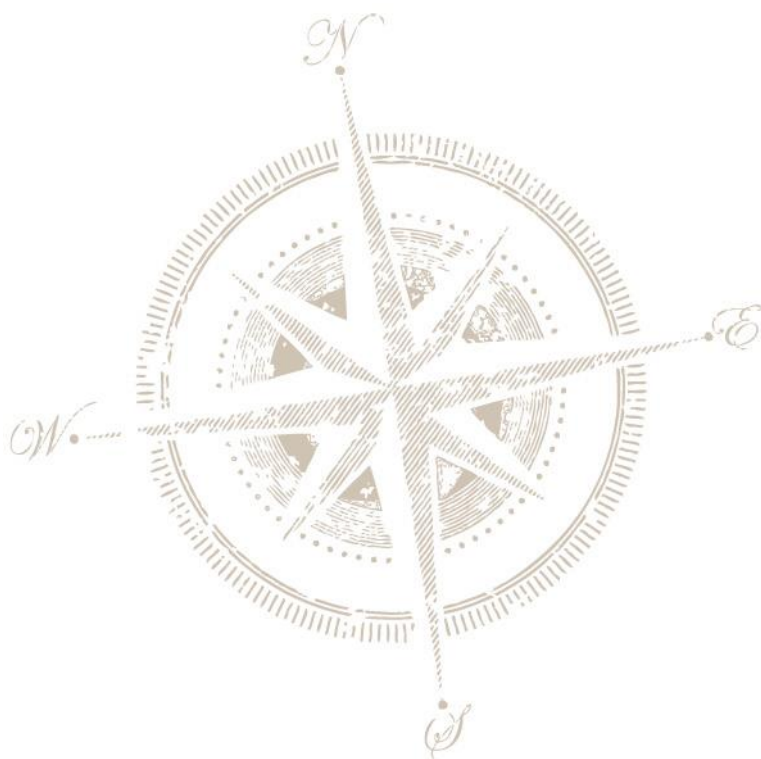
Z triumfującym uśmiechem, oddałem słuchawkę panu policjantowi.

Za moment wszystko było jasne. Dziewczyna wytłumaczyła, że to ja jestem właścicielem roweru. Oblicze policjanta w okamgnieniu zmieniło się z chmurnego na rozpromienione. Motłoch żądał wyjaśnień. Stojący dookoła gapie wyglądali, jakby tylko czekali na sygnał do rozpoczęcia linczu.

Mundurowy na moment odłożył słuchawkę i wykrzyczał coś do gawiedzi. Wśród gromkiego śmiechu odprowadzono mnie na zewnątrz, podano rower, poklepano po plecach i rzucono na pożegnanie chińskie *good luck*.

Oddaliłem się szybko, na wszelki wypadek, gdyby jednak policjant i reszta zmienili zdanie, ale tego chyba już nie musiałem się obawiać.

Dopiero za rogiem dotarło do mnie, że odzyskałem rower. Tajemniczego Pubu nie dane mi było poznać, ale najważniejsze, że miałem na czym jechać i mogłem kontynuować podróż do Katmandu.



Rozdział 23

Ruszyłem następnego dnia, kierując się w stronę Shigatse. Stan roweru był bez zarzutu, choć wyraźnie było widać, że ktoś na nim trochę jeździł. Wymieniłem jeszcze tylną oponę i obie pary klocków hamulcowych, dopompowałem koła, przeczyściłem i nasmarowałem łańcuch, sprawdziłem łączenia, bagażnik, przymocowałem sakwy i doczepiłem Rafinerię i Kermita.

Byliśmy gotowi do drogi.

Gdyby nie przenikliwe zimno, dające się we znaki podczas jazdy, czy widok szczerlnie opatulonych, mijanych postaci na drodze, to patrząc na krajobraz, można by pomyśleć, że jechałem w środku lata. Ten całkowity brak śniegu przez pierwsze dni jazdy był dla mnie bardzo przyjemną niespodzianką. Nawierzchnia była sucha, koła lekko toczyły się po równej, asfaltowej drodze, nie musiałem obawiać się rozbryzgującego się spod kół błota pośniegowego, oblodzonych zakrętów czy zasp na drodze.

Pierwszego dnia nie zrobiłem zbyt wielu kilometrów. Był to trochę taki dzień testowy, który miał mi dać odpowiedź na pytanie, jak organizm będzie znosił wysokość i reagował na niskie temperatury. Brak tlenu znosiłem wyjątkowo dobrze. Oddech rzeczywiście miałem krótki i na podjazdach szybko się męczyłem, ale podobnie było latem, mogłem więc założyć, że za kilka dni zaaklimatyzuję się na dobre. Co do temperatury, raniem było minus jednaście stopni, potem zrobiło się cieplej, tym bardziej że wzeszło słońce.

Kiedy ruszyłem, miałem na sobie wszystkie warstwy ubrań, w tym cztery warstwy wierzchnie (koszulka, bluza polarowa, windstoper i kurtka) i trzy pary spodni (długie kolarki z lycry, polarowe i od wiatru) i wcale nie było mi za ciepło. Jednakże po godzinie pedałowania byłem już mocno spocony. W południe, pomimo mrozu, jechałem tylko w polarze, goreteksowej kurtce i jednych spodniach.

Idealem byłoby poruszanie się bez pocenia, ale to było niemożliwe. Na siodełku było mi ciepło, wystarczyło jednak na moment się zatrzymać, aby organizm momentalnie się wychłodził, szczególnie, że wiał dość mocny wiatr. Cały czas trzymałem więc na wierzchu resztę ubrań, aby zakładać je na siebie w czasie postojów. Kiedy tylko poczułem mokre plecy, zatrzymywałem się, aby się schłodzić. Ruszałem, kiedy zaczynało mi być zimno. I tak, co jakieś dwadzieścia–trzydzieści minut. Oczywiście, to wszystko powodowało, że o zrobieniu stu kilometrów jednego dnia mogłem sobie tylko pomarzyć. Nieważne jednak wtedy było bicie dziennych rekordów. Przede mną był prawie tysiąckilometrowy odcinek i musiałem go pokonać w kilkanaście dni. Dawało mi to średnią jakieś pięćdziesiąt kilometrów dziennie i tego trzeba się było trzymać.

Co do picia, to nie wiozłem zbyt wiele wody. Włożony do butelki płyn zamarzał po kilku godzinach jazdy, a w termosie mieścił się niecały litr. I tak byłem w o wiele lepszej sytuacji niż na przykład Grąbczewski, polski podróżnik, który pod koniec XIX wieku penetrował obszary środkowej Azji. Oto, co pisał w swoich wspomnieniach: „Wstępując na płaskowzgórze Tybetu, wiedziałem, że będziemy musieli przetrwać wiele cierpień, związanych z przebywaniem na olbrzymich wysokościach, oraz z mrozem i wichrami: wiedziałem, że prawie wcale nie spotkamy trawy, że nie będzie opału i możliwości gotowania żywności. (...) Lecz na chwilę nie przyszło mi na myśl, żeby mogło nie być wody”⁴.

Podróżnik nie spodziewał się, że tak wiele jezior, na które natrafi, będzie wypełnionych słoną wodą. Moja droga do Katmandu wydawała się śmiesznie łatwa w porównaniu z trudnościami, z jakimi musieli się borykać każdego dnia Grąbczewski i jego współtowarzysze. Ja miałem rower, mapę, jedzenie, ciepły śpiwór, wiedziałem, dokąd jadę i co mniej więcej spotka mnie po drodze. Choć z drugiej strony obaj musieliśmy dać sobie radę z żywiołem, zmęczeniem i, chyba największym wrogiem rowerzysty, wiatrem. Kiedy pada, można jechać, najwyżej zmokniemy, kiedy jest zimno, można się ciepłej ubrać, ale kiedy wieje tak, że podmuch dosłownie powala na ziemię (a zdarzyło mi się parę razy w życiu być przewróconym przez wiatr), nic się nie da zrobić, można albo się zatrzymać i przeczekać, albo pchać rower wprost w objęcia morderczego żywiołu.

Grąbczewski nie miał roweru, nie musiał wnosić bagaży na przełęcz, bo miał konie, ale i tak w dzienniku przywołuje wspomnienia „tańczących z wiatrami”.

„Termometr w nocy spadał do minus trzydziestu pięciu. Do tego stopnia przyzwyczailiśmy się do zimna, że czulibyśmy się zupełnie dobrze, gdyby nie straszne wichury, które powstawały o świcie, a o godzinie 2 po południu osiągały siłę huraganu: huragan miotał żwir i kamyki i do krwi smagał niemi twarz i ręce, zrywał namioty z żelaznych drążków, przewracał ludzi i juki. Uchronić się od wichury nie było możliwości: nie było gdzie się schować, ani czym przykryć”⁵.

Czytając jego wspomnienia przyszło mi do głowy: szkoda, że nie miał jaków zamiast koni. Choć wydawałoby się, że zwierzęta te nie są odpowiednio szybkim środkiem transportu, to od wieków wykorzystywano je w Tybecie w celach transportowych. Są o wiele bardziej wytrzymałe, a więc mogą iść dłużej i poza noclegiem w zasadzie nie potrzebują czasu na odpoczynek. Wysokość czy strome nachylenie zboczy także nie stanowią dla nich problemu, w praktyce można więc nimi pokonać dziennie dłuższe odcinki niż konno. No i co najważniejsze, jaki nie potrzebują aż tyle wody, co konie.

Ja na razie miałem swojego jaka, który spisywał się doskonale.

Czasem ludzie pytają mnie, o czym myślę podczas jazdy, kiedy jadę sam i nie mam się do kogo odezwać. Pytanie jest trochę źle postawione, bo przecież nie jadę sam, jadą jeszcze Rafineria i Kermit, więc jest z kim pogadać, ale co do myślenia, to rzeczywiście trudno odpowiedzieć, co się myśli podczas jazdy.

Nie myśli się o niczym.

Przeżywa się minuty i godziny w rytmie miarowo obracających się kół, w zależności od warunków chłonie się krajobraz albo go przeklina, czasem złorzeczy się na kierowców, a jak się jedzie zimą, to jeszcze trzeba dodać trochę akceptacji, pokory, posłuszeństwa. Akceptacji bólu, pokory przed potęgą przyrody, posłuszeństwa swojemu ciału. Trzeba wsłuchać się w swoje ciało. Ono mówi, daje sygnały, tylko trzeba uważnie się wsłuchać.

Może to nie jest dojrzałe, dorosłe, ale ja nie jestem dojrzały, więc zachowuję się w stosunku do rzeczywistości jak dziecko albo jak zwierzę, nie myśląc o niej, nie zastanawiając się, ale starając ją odczuć i zaakceptować.



Młynki modlitewne wokół klasztoru

Metr po metrze, samotnie przeżywana specyficzna lekcja wrażliwości, intymnego obcowania z przejmującym zimnem, z lodowato wyszlifowanym, onirycznym krajobrazem wspomnień.

Powoli nadciągał zmierzch, zbliżał się pierwszy nocleg na trasie.

Ponieważ nie zabrałem ze sobą namiotu, w grę wchodziła nocka pod gołym

niebem albo wizyta w wiosce i prośba o zatrzymanie się pod dachem. Wybrałem pierwszą opcję, tyle że nie do końca pod chmurką, zatrzymałem się bowiem przy opuszczonych zabudowaniach i rozłożyłem posłanie w zadaszanej szopie. Miałem kuchenkę, mogłem przygotować sobie ciepły posiłek i wypić gorącą herbatę.

Pomimo wszystkich warstw ubrań, jakie miałem na sobie, było mi trochę zimno. Zagrzebałem się więc częściowo w śpiworze i tak okutany, siedząc na karimacie, wciągałem ze smakiem makaron z mięsną konserwą. Ciepły płyn rozkosznie drażnił podniebienie i błogo rozplýwał się w przelyku. No, to pierwszy dzień mamy za sobą, pomyślałem. Jeszcze kilkanaście podobnych i jesteśmy w domu. Choć ciągle *it's a long way to Tipperary*.

Nocą dwukrotnie musiałem się wygrzebać z namiotu za potrzebą. Trzeba będzie mniej pić wieczorem, myślałem z rana, kiedy trzęsąc się z zimna, zgrabiętymi palcami rozpałałem kuchenkę. Byle do Shigatse, pocieszałem się, tam kupię puchową kurtkę i rankiem nie będę przeżywał takiego temperaturowego szoku.

Ciepła herbata i płatki z gorącym mlekiem przywróciły mi dobry humor i wiarę w powodzenie podróży. Siedziałem na karimacie, w połowie zagrzebany jeszcze w śpiworze, siorbiąc ciepłe płyny i chuchając na zziębnięte dłonie. Śpiwór Yeti, który wypełniał prawie całą jedną sakwę, sprawdził się doskonale. Pomimo dwudziestostopniowego mrozu, wcale nie było mi zimno, a spałem tylko w polarowej bieliźnie i grubych skarpetach.

W dalszą drogę ruszyłem bardzo wcześnie, co było o tyle zasadne, że pomimo tęgiego mrozu, przez kilka następnych godzin mogłem liczyć na prawie bezwietrzną pogodę. Silnie wiać zaczynało około jedenastej i mocne podmuchy lodowatego wiatru utrzymywały się praktycznie do wieczora. Podczas dalszej drogi podobne warunki okazały się, niestety, normą.



Stara część Shigatse z górującą nad miastem dawną siedzibą królów

W ciągu dnia kilkakrotnie zajeżdżałem do wiosek, prosząc o nalanie herbaty do termosu, za którą zostawiałem kilka juanów. Zdarzało się, że nie chciano przyjąć ode mnie pieniędzy, ale zazwyczaj mieszkańcy wydawali się zadowoleni z możliwości nieoczekiwanego zarobku. O ileż przyjemniej dać im zarobić w ten sposób, niż rozdawać pieniądze za nic, przygodnie spotkanym dzieciom, nie mówiąc o dorosłych. Przecież poprzez takie postępowanie tylko krok do uczynienia z nich żebraków. Po co pracować i po co się męczyć, skoro zaraz pojawi się wycieczka z białymi i większość jej uczestników rozda tubylcom pieniądze?

Zapraszany, wchodziłem na moment do środka, rozkoszując się ciepłem wypełniającym wnętrza, rozgrzewając się miseczką gorącego *czaju*, próbując odpowiadać na pytania, co tu robię w środku zimy na rowerze...

W Shigatse zatrzymałem się w hotelu Tenzin, w tym samym, w którym od przedsiębiorczej pani Dicki kupiłem *travel permit*. Kiedy wychodziłem na targ z zamiarem nabycia puchowej kurtki, natknąłem się na Dicki w recepcji. O dziwo, kobieta mnie poznała. Co więcej, próbowała mnie namówić na kupno nowego pozwolenia. Drugi raz nie dałem się nabrać, choć musiałem wysłuchać jeszcze kilku morałów o konsekwencjach bycia przyłapanym na „nielegalnej jeździe” w drodze do Katmandu.

Na tybetańskim targu, za równowartość trzydziestu złotych, kupiłem grubą, puchową kurtkę i spodnie. Sprzedający mężczyzna miał taki wyraz twarzy, jakby ubił interes życia. Może rzeczywiście kurtka nie była najładniejsza, najtrwalsza i najlżejsza, ale była baaardzo gruba i na pewno ciepła.

Myślałem jeszcze o odwiedzeniu poznanych rok wcześniej Tybetańczyków z Shigatse, ale koniec końców postanowiłem jak najszybciej opuścić miasto i ruszyć na zachód. Czas upływał nieubłaganie, a po drodze wszystko mogło się wydarzyć.

Monotonny, bezśnieżny krajobraz, urozmaicany wizytami w przydrożnych wioskach, towarzyszył mi przez następne dni podróży. Czas płynął miękko, spokojnie, bezgłośnie, od mroźnego poranka, poprzez bardzo wietrzne popołudnia, do pogłębiającego się, przesywającego zimna nocy. Jadąc uparcie na zachód, pokonywałem kolejne kilometry, dzielące mnie od granicy i cieplejszego zapewne Nepalu.

Temperatura nawet w dzień mocno spadała, pewnie częściowo też ze względu na wysokość bezwzględna, na której się znajdowałem. Najgorsze były okolice samych przełęczy i wiejący na nich wiatr. Smagał po twarzy, tamował oddech, na wskroś przejmował zimnem i często musiałem pchać przed sobą rower, chwiejąc się i uginając jak żagiel pod uderzeniami nielitościwych podmuchów, ciskających we mnie drobinki szczypiącego w policzki, zmrożonego śniegu, chociaż tego ostatniego ciągle było jak na lekarstwo.



Bezśnieżny krajobraz na zachód od Shigatse



W okolicach Baipy

W Baipie zrobiłem sobie dzień przerwy w znajomym już Szahwan Good Luch Restaurant Hotel. Właściciel poznał mnie i dosłownie złapał się za głowę, widząc mnie znów na rowerze. Ciekawe, co sobie pomyślał. Może, że pojechałem w tym czasie do Australii i przez zmarznięty Tybet wracam teraz do domu.

Chciał mi coś przekazać, ale niczego niestety nie rozumiałem. Dostałem ten sam pokój, co pół roku wcześniej. Poza temperaturą niewiele się zmieniło. Kilka wspomnień wpadło na moment do pokoju, uśmiechnięta twarz Jamesa i grająca na gitarze Karina, Koreańczycy przy obiedzie i skradziona z sakwy butelka... Tego wieczora długo nie mogłem zasnąć, złapał mnie dziwny ból głowy, a myśli wypełnił jakiś nieuzasadniony, bezpodstawny strach przed czymś zupełnie nieokreślonym, niewiadomym. Do tego w nocy bardzo mocno spadła temperatura. Pomimo tego, że spałem w polarze i dwóch parach spodni, zmarzłem w nocy porządnie.

Wyprane wieczorem ubrania znalazłem rankiem zupełnie zamrożone. Skarpetkami można byłoby gwoździe wbijać. Małe rękawiczki, który dostałem razem z miską poprzedniego dnia, też zamroził. Na zewnątrz termometr wskazywał minus trzydzieści stopni Celsjusza, wewnątrz było niewiele cieplej.

Pocieszyłem się, że zostały jeszcze dwie duże przełęcze i potem czekał mnie jeden z najdłuższych zjazdów na świecie – prawie sto siedemdziesiąt kilometrów w dół do Nepalu.

Pożegnałem gościnnych gospodarzy, tym razem chyba na dłużej i ruszyłem dalej na zachód. Za Baipą znów pojawił się asfalt, a droga jednostajną, długą

prostą, na odcinku sześćdziesięciu kilometrów wspinała się aż do Tingri. Tam spędziłem kolejną mroźną noc.

Ranek przyniósł zmianę pogody. Naciągnęły chmury, z których powoli zaczął sypać śnieg. Do południa całun zimy pokrył drogę aż po rozległy horyzont. Nic, poza wiatrem, nie burzyło bezgłosu bezkresnej bieli.

Aby nie nocować na śniegu, starałem się dojechać do kolejnej wioski. Po południu wiał tak silny wiatr, że ostatnie pięć kilometrów pchałem rower po prawie płaskiej drodze.

Zajechałem do pierwszych zabudowań, jakie pojawiły się przy drodze. W niskim, zbudowanym z kamienia domu, mieszkała kobieta ze starszym mężczyzną. Najpierw myślałem, że dom jest pusty i wszedłem do środka bez pukania. Tam jednak, na rozgrzanym piecu, gotowała się w czajniku woda. Ktoś musiał na moment wyjść i na pewno zaraz wróci. Zrobiłem w tył zwrot, aby poczekać na zewnątrz i prawie zderzyłem się z wchodzącymi właśnie domownikami. Nie wyglądali na przestraszonych, może zauważyli mnie, jak wchodziłem. Na migi pokazałem, że chciałbym u nich zostać i z ich gestów odczytałem, że chętnie mnie przyjmą na noc. Usiadłem na kamiennej ławie, przykrytej niezliczoną ilością tkanin. Dostałem dwa termosy ciepłej, tłustej, słonej herbaty i miseczkę *campy*. Już latem dostrzegłem zalety tego płynu, ale teraz, zimą, wydawał mi się wręcz stworzony do gaszenia pragnienia i uzupełniania kalorii i traconych soli mineralnych.

Cały pokój był wręcz zawałony workami z jedzeniem i opałem. Przypominał mi trochę wnętrze jurt. W kątach stały duże worki z ryżem i mąką, na półkach butelki z olejem, puszki z fasolą, ziemniaki w drewnianej skrzyni, jajka, przyprawy i mnóstwo plastikowych butelek.

Gospodyni przygotowywała posiłek, a mężczyzna usiadł obok mnie i próbował ze mną porozmawiać. „Konwersacja” zakończyła się po kilku zdaniach. I tak chyba udało mi się przekazać najważniejsze informacje. Że jadę z Lhasy, że jestem sam, że jadę do Nepalu, że lubię Tybet, że jem *campę* i smakuje mi herbata z solą i masłem.

Mężczyzna długo obmacywał moje sakwy i rzeczy, kurtkę, spodnie, ale szczególnie zaintrygowały go moje powiększone kolana. Rzeczywiście, wyglądały dziwnie. Dla ochrony kolan przed zimnem bowiem, pomiędzy jedną a drugą parą spodni upchałem koszulki, przez co wyglądałem trochę jak mutant, do tego ciągle, pomimo ciepłego wnętrza, siedziałem w puchowej kurtce.

Kilka miseczek herbaty rozgrzało mnie i mogłem się trochę rozebrać. Zdjąłem puchówkę i jedną parę spodni, wygrzebując koszulki i dwa szaliki. Mężczyzna z uśmiechem tłumaczył coś kobiecie.

– Zobacz, co biały miał w nogach, a ja myślałem, że to jakieś super ochraniacze na kolana – być może tak brzmiało zdanie, bo oboje gromko się

roześmieli.

W pokoju cudownie rozchodził się zapach smażonego ryżu z ziemniakami. Po kilku godzinach jazdy w prawie trzydziestostopniowym mrozie i porywistym wietrze, smak półsurowego ziemniaka z tybetańskiej lepianki urasta do najbardziej wyrafinowanych, najwspanialszych smaków świata, stając się szczytem kulinarnego wyuzdania.

Siedzieliśmy na ławie, zajadając z miseczek ciepły posiłek. I znów przeżywałem chwilę, kiedy nie potrzebowałem niczego więcej, absolutnie niczego. Było ciepło, cicho, bezpiecznie. Czulem, po prostu czulem, że nic mi w tym miejscu nie grozi, że trafiłem do prostych, szczerych, dobrych ludzi, którzy goszczą mnie, jakbym od lat był ich przyjacielem, znajomym, którzy traktują mnie jak kogoś, komu oddałoby się wszystko, samemu posiadając niewiele.

Po posiłku wyjąłem notatnik i przewodnik. Pokazałem go mężczyźnie, szczególnie zdjęcia z tyłu książki. Widziałem, ile radości sprawiało mu rozpoznawanie znanych miejsc. Nam Tso, Lhasa, pałac Potala, Yamdrok Tso, Tashilumpo.

Kobieta zmyła naczynia i przysiadła się do nas. Na pierwszej stronie krótki wstęp napisał sam Dalajlama. W przewodniku nie było jego zdjęcia, ale kobieta dziwnie długo wpatrywała się w stronę zapisaną nieczytelnymi dla niej literkami. Chociaż... Spojrzała na mężczyznę, potem na mnie, po czym wstała i podeszła do obrazu na ścianie. Z tyłu ramy wyjęła małe zdjęcie. Spojrzałem. Z fotografii patrzył na mnie duchowy przywódca Tybetu, Dalajlama.

Wiedziałem, że posiadanie jakiegokolwiek jego wizerunku było nielegalne.

Nic nie powiedziałem.

Co miałem powiedzieć?

Wszystko wyrażały oczy kobiety.

Był w nich cały wszechświat.

Właśnie tak. Cały świat.

Kiedy żegnałem się rankiem z domownikami, ogarnął mnie ocean smutku. Nie chciałem stamtąd wyjeżdżać. Chciałem zostać jeszcze kilka dni albo dłużej, zostać w pokoju przenikniętym spokojem i ciepłem, zjeść półsurowego ziemniaka na obiad i zapomnieć o obcych mi światach. Nikt mnie nie trzymał. Dlaczego więc nie zostałem?

Nie byłem jeszcze na to gotowy. Może kiedyś.

Droga tego dnia ciągnęła się mozolnie w górę, wiatr nie odpuszczał, śniegu było coraz więcej, a ja czulem, że powoli tracę siły. Cały dzień myślałem o pozostawionym za plecami domu, o oddalaniu się od jednego świata i zmierzaniu do drugiego.

Zostały jeszcze dwie przełęcze.

Coraz bliżej do granicy. Dam radę.

Przed ostatnią przełęczą, z oddali, wydawało mi się, że dostrzegłem jadącego przede mną rowerzystę. Ponieważ podjazd był bardzo wyczerpujący, stosunkowo powoli zbliżałem się do coraz wyraźniej widocznej postaci. Dystans jednak zmniejszał się i po jakimś czasie mogłem już wyraźnie rozpoznać, kto jedzie przede mną. Właściwie nie jedzie, tylko idzie. Otóż, na przełęcz wspinał się mnich, ciągnąc na dyszlu ponad stukilogramowy wózek.



Nocleg u Tybetańczyków w okolicach Tingri

Mężczyzna, a właściwie jeszcze chłopiec, siedł tak już od ponad roku, a zmierzał do Nepalu i potem do Indii, do siedziby tybetańskiego rządu na uchodźstwie. Nie miał paszportu i martwił się, czy uda mu się przekroczyć granicę, ale twierdził, że będzie próbował.

Dwóch wariatów pożyczycyło sobie nawzajem szczęścia, zrobiło wspólne

zdjęcie, po czym każdy wrócił do swojej własnej walki z wiatrakami, ustawicznej walki, pozwalającej poznać prawdziwą wartość życia.

Spojrzałem z czułością na swój rower i na kierownicę, z której dyndali wesoło Rafineria z Kermitem. Poklepałem ich głowy, przykryte cienką warstwą śniegu i pocieszyłem, żeby się nie martwili. Dojedziemy.

Szaleńczego, tak długo oczekiwanego zjazdu z ostatniej przełęczy jednak nie było. Co prawda, droga prowadziła w dół, ale zasy uniemożliwiały szybką jazdę. Musiałem jechać bardzo ostrożnie, nie więcej niż dwadzieścia kilometrów na godzinę, w przeciwnym razie koła ślizgały się i od razu lądowałem na ziemi.

Tego dnia zależało mi bardzo na tym, aby dotrzeć do Nyalam, stamtąd powinienem w jeden, maksymalnie dwa dni dojechać już do granicy. Czas upływał nieubłaganie. Po południu zaczęło bardzo intensywnie padać, zmrożony śnieg ciął policzki, wciskał się między gogle, tamował oddech. Jechałem w dwóch czapkach, kominiarce i grubym kapturze. Twarz dodatkowo chronilem ogromnym szalikiem, zrobionym przez moją babcię z trzech kłębow włóczki, specjalnie na potrzeby wyprawy. Babciu, jesteś najlepszą babcią na świecie! Dzięki twojemu szalikowi nie odmroziłem sobie zupełnie policzków i nosa!

Szalik szalikiem, babcia babcią, ale nawet ona nie uchroniła mnie przed prawie katastrofą. Kilkadziesiąt kilometrów przed granicą, w okolicach wioski Nesar, zerwałem łańcuch. Ot, na kolejnym wzniesieniu nacisnąłem trochę mocniej na pedały i łańcuch stwierdził, że ma dość. Nie byłoby w tym nic strasznego, gdybym był akurat na plaży w Międzyzdrojach albo gdziekolwiek, gdzie świeci słońce i niedaleko jest serwis rowerowy. Ja jednak byłem w ciemnej D, nie miałem skuwacza, byłem przemarznięty i lekko przestraszony, że śnieg w godzinę robi ze mnie bałwana.

Należało działać. Za pomocą kamieni i wąskiego klucza próbowałem spiąć rozerwane ogniwo. Bez rezultatu. Już zastanawiałem się, czy lepiej pchać rower do wioski, czy zostać w zaspie na noc, kiedy na drodze pojawił się ciągnik z Tybetańczykami.



Spotkany po drodze mnich, zmierzający od roku do Nepalu

Zatrzymali się obok mnie i z przejęciem obejrzeni rower. Na migi pokazali, abym zabierał się z nimi. Wrzuciłem rower na przyczepkę i ruszyliśmy do wioski. Tam, jeden z mężczyzn, trzymając łańcuch w ogromnych, silnych jak imadło dłoniach, z pomocą gwoźdź i młotka spiął rozerwane ogniwo. Nie posiadałem się z radości. Mężczyzna nie chciał wziąć pieniędzy, niczego do rozdania nie miałem, sam jechałem prawie bez jedzenia, zdjąłem więc kurtkę puchową i powtórzyłem kilka razy *gift*.

Początkowo się wzbraniał i kręcił głową, ale w końcu wziął i przyłożył do ogromnej klatki piersiowej. Pasowała.

Mężczyzna zapraszał, abym poszedł z nim do domu, ja jednak nie chciałem tracić ani minuty dłużej z kończącego się powoli dnia. Na drodze były coraz większe zasy, wolałem jechać, dopóki jeszcze było to możliwe...

Do Nyalam dotarłem już nocą. Marzyłem tylko o jednym. Zagrzebać się w ciepłym śpiworze. Byłem zbyt zmęczony, aby cokolwiek jeść i pić.

Został jeden dzień do granicy. Tylko to się liczyło.

Wreszcie miałem swoją wytęsknioną zimę. Rankiem, w przepięknej scenerii iskrzącego się dookoła śniegu, mieszkańcy odkopywali zasypane samochody, odgarniali zasy z chodników i drogi i generalnie próbowali się w tym śnieżnym chaosie jakoś odnaleźć.

Zjadłem śniadanie i przedarłem się przez zasy na sam koniec miasta.

A to co? Chyba jakaś zapora, pomyślałem, kiedy doszedłem do rozłożonego wzdłuż drogi łańcucha. Obok stali dwaj żołnierze.

– Dzień dobry – zagadnąłem ich z pewną miną, wietrząc nosem nadciągające kłopoty.

– A ty dokąd? – odpowiedzieli lekko skonsternowani.

– Do granicy.

– Nie można, droga zablokowana.

– Jak to zablokowana? – powoli docierała do mnie groza sytuacji.

– Zablokowana, zasypana, na razie nie da się jechać.

– Ale ja dam radę, mam rower.

– Na tym? – odburknął jeden z nich kpiąco i rzucił coś w stronę kolegi.

Zaśmieli się głośno i pokiwali głowami.

Piotruś, tylko spokojnie, nie denerwuj się i nie denerwuj panów mundurowych. Musisz im grzecznie wytłumaczyć, że jak cię nie przepuszczą, to będziesz w tych górach zimował, zamienisz się w Yeti i będziesz ich straszył po nocach.



Na przełęczy Lalung



W drodze do Nyalam

Na nic zdało się tłumaczenie, że za kilka dni mam powrotny samolot do Polski i muszą mnie przepuścić. Zrezygnowany, miałem już wrócić do centrum i obmyślać jakiś sprytny objazd, gdy nagle zobaczyłem nadciągający od strony miasta pług.

Trochę trudu kosztowało mnie przekonanie żołnierzy, że dam radę przejechać rowerem po śniegu i mogę jechać za pługiem. Pierwsze dziesięć kilometrów rzeczywiście jakoś sobie radziłem, choć było bardzo ślisko, więc co jakiś czas zaliczałem niegroźną wywrotkę na białym puchu. Jeszcze kilka kilometrów zjazdu i oczom moim ukazała się wielka góra śniegu, z którą nie mogłem poradzić sobie napierający pług. Prawdopodobnie z pobliskiego zbocza zeszła potężna lawina i w poprzek przecięła drogę.

Zsiadłem więc z roweru i chcąc nie chcąc, przypatrywałem się, ciekawemu skądinąd, spektaklowi bezkrwawej walki techniki z żywiołem, od której odstąpili w końcu panowie z pługa. Maszyna napierała, prychała, dyszała, posapywała, tchnęła mechaniczną mocą, aż w końcu, stanąwszy pod niebezpiecznie wyglądającym kątem pośrodku białej góry, wydała z siebie jakby ostatnie tchnienie, zakończone nadludzkim, tubalnym ŁUP!

Łudziłem się jeszcze przez chwilę, że może to tylko tak na przerwę obiadową pług wyłączono, ale niestety, trzej panowie wyraźnie dali mi do zrozumienia, że na dzisiaj rezygnują z kolejnej próby podjęcia nierównego pojedynku.

Nie miałem wyjścia. Musiałem jechać dalej. Ruszyłem przez zasy

z rowerem jako pługiem. Do Nepalu zostało dwadzieścia kilka kilometrów. Marsz był jednakże o wiele cięższy, niż się spodziewałem. Śnieg oblepiał rower, koła z trudem się obracały i nie było mowy o jakiegokolwiek jeździe. Z trudem pchałem rower po zaspach. Co kilkaset metrów musiałem się zatrzymać na porządny odpoczynek.

Chwilami naprawdę miałem już wszystkiego dosyć i myślałem, aby zostawić rower pod skałą i dalej iść z samymi sakwami i plecakiem. Coś pchało mnie jednak do przodu.

I nagle, za którymś z zakrętów, zobaczyłem smużkę dymu. Jest dym, będą ludzie, pomyślałem i zmusiłem się jeszcze, przez te ostatnie kilkaset metrów, do przepchania roweru po zaspach.



Pług nie dał rady ...



... a ja musiałem jechać dalej

Wszedłem do dużego budynku, wyglądającego jak opuszczona siedziba wojewódzkiego komitetu partyjnego i skierowałem się w stronę dobiegających z jednego z pomieszczeń głosów. Stałem w miejscu, gdzie kiedyś pewnie były drzwi i lekko chrząknąłem. Myślę, że gdyby domownicy zobaczyli samego Mao, nie zdziwiliby się bardziej. Kilkanaście twarzy patrzyło na mnie z mieszaniną szoku, przerażenia i osłupienia.

Po chwili jednak wszyscy, nawzajem się przekrzykując, zaczęli gestami zapraszać mnie do środka. Dopiero w ciepłym, bezpiecznym pomieszczeniu poczułem, jak bardzo byłem zmęczony i przemarznięty. Wszystko, co miałem na sobie, było mokre. Ubrania od potu, buty, skarpety i spodnie od śniegu.

Wskazano mi miejsce przy piecu i podano herbatę. Powoli odmarzałem. Zdjąłem buty i skarpety i położyłem blisko ognia. To samo zrobiłem z resztą mokrej garderoby. Przebrałem się w jedyną suchą bluzę, jaka mi została i zamiast spodni, założyłem kalesony. Nie były pierwszej czystości, ale otaczający mnie domownicy także wyglądali, jakby nie widzieli wody przynajmniej od Bożego Narodzenia.

Kiedy ja przebierałem się przy piecu i ogrzewałem przemarznięte stopy i dłonie, pani domu próbowała coś mi wylewnie wytłumaczyć, energicznie wtórując sobie rękoma i co jakiś czas kwitując swój monolog siarczystem splunięciem. Machałem na wszystko głową, na znak przyzwolenia albo zgody,

mając nadzieję, że nie zgadzam się właśnie na coś, czego bym potem żałował i że nie przytakuję czemuś, co jest niezgodne z prawdą, ale potakiwać wydawało mi się kulturalniej niż zaprzeczać.

Kiedy kobieta wreszcie zmęczyła się wymachiwaniem i przydługim monologiem, z piersi wyrwał jej się podsumowujący wszystko głęboki bek, co wywołało wielki wybuch śmiechu wśród reszty.

Cały dzień przesiedziałem przy piecu, uzupełniając notatki, bawiąc się trochę z dziećmi i próbując co nieco o sobie opowiedzieć. Na zewnątrz uśmiechałem się i cieszyłem, w środku jednak martwiłem o dalszą drogę do granicy. Ostatecznie, poproszę następnego dnia domowników o pomoc w przeniesieniu bagaży, zaproponuję jakąś sumę, na którą jeszcze mnie stać i jakoś damy radę przejść dwadzieścia kilometrów. Choć pewnie będę musiał zostawić rower... Znów...

Na szczęście, kolejny wyjazd do Tybetu, w celu odzyskania roweru, okazał się niepotrzebny. Wieczorem, kiedy już prawie wszyscy byli gotowi do snu, usłyszeliśmy charakterystyczne *brum brum* i na drodze pojawił się pług, za którym ciągnął sznur jeepów i ciężarówek. Najchętniej od razu, aby uniknąć kolejnych niespodzianek, spakowałbym rzeczy i pomknął za tym nocnym, kuriozalnym korowodem, ale śnieg już nie padał, więc rankiem droga powinna nadawać się do jazdy.

W nocy znów nie mogłem spać, martwiłem się bardzo, czy nie zasypie drogi, czy przekroczę bez problemów granicę, czy zdążę na samolot...





Odmrażanie z tubylcami

Wstałem bardzo wczesnie, pożegnałem się z domownikami, zostawiłem parę papierków z Mao i pomknąłem w dół do granicy. Droga była bardzo stroma, śliska i niebezpieczna, do tego prawie zupełnie starłem ostatnią parę klocków hamulcowych, często więc po prostu hamowałem swoimi potężnymi buciorami. Kiedy wreszcie śnieg się skończył, rozpocząłem brawurowy, szaleńczy zjazd do granicznego Zhangmu (Dram).

Na samej granicy nie miałem żadnych problemów z załatwieniem wizy, wydano mi ją właściwie od ręki. Znajdowałem się na wysokości niewiele ponad 2000 m n.p.m., w burozielonym, bezśnieżnym krajobrazie. Płaskowyż Tybetański oddalił się bardzo, w przestrzeni i w wyobraźni – czy ja tam naprawdę byłem?

Wreszcie Nepal, gdzie straciłem już resztę pozostawionej odrobiny rozsądku i pędziłem na złamanie karku po muldach, kamieniach i wybojach, za hamulec mając grube podeszwy od trekkingowych butów. Kiedy wreszcie postanowiłem zwracać baczniejszą uwagę na doły, psy, krowy, świnię oraz inne przeszkody pojawiające się coraz liczniej na drodze, oczom moim ukazał się wielki głaz, dokładnie na trajektorii mojego szaleńczego zjazdu i nie zdążyłem już nic więcej zrobić, jak tylko pochylić się lekko i skręcić w ostatnim ułamku sekundy, ale było już za późno – zawadziłem nieznacznie pedałem i wyskoczyłem do góry jak z procy. Po pięknym locie, godnym Adama Małysza, pozbawionym jednak stylowego lądowania z przysiadem, przywitałem ponownie kamienistą drogę i wykorzystując skórę dłoni i kolan jako papier ścierny, wytarłem nepalską ziemię

z brudu i kurzu na odcinku kilku metrów.

Atrakcji na ten dzień miałem już dosyć. Zatrzymałem się w małej wiosce i za równowartość pięciu złotych przenocowałem w dusznym, klaustrofobicznym pokoju. Byłem w Nepalu, ale ciągle denerwowałem się, czy uda mi się zdążyć na czas na samolot i czy wrócę do domu z rowerem.

Zostały trzy dni do wylotu.

Ranek był wyjątkowo zimny i deszczowy. Nie tylko mnie wydawało się, że powinno być cieplej. Właściciel noclegowni powiedział, że od lat w okolicy nie notowano tak niskich temperatur. Zazwyczaj o tej porze roku jest kilkanaście stopni ciepła, mówił. Termometr pokazywał zaledwie cztery stopnie na plusie, a byliśmy na wysokości trochę ponad 1000 m n.p.m.

Aby już nie ryzykować zjazdów bez hamulców, zdecydowałem się na podjechanie do Katmandu autobusem. Ruch na ulicy był dość duży, co chwilę zatrzymywały się jakieś pojazdy, do których wsiadali zziębnięci ludzie. Większość busów była jednak wypełniona po brzegi, łącznie z dachami, na których razem z pasażerami podróżował żywy inwentarz: owce, świnie, kury, kaczki...



Pląg przetarł drogę aż do samej granicy



Szok termiczny, czyli już w Nepalu

Wreszcie, w kolejnym autobusie, znalazło się miejsce i dla mnie, i dla roweru. Wepchnąłem się do środka, a rower powędrował na dach, do przestraszonych owiec i baranów.

Wszystko mogło skończyć się tragicznie, gdyż kierowca stracił panowanie nad pojazdem i spowodował wypadek, zjeżdżając nagle na lewo do przydrożnego rowu. Całe szczęście, że wybrał właściwą stronę. Gdyby skręcił w prawo, autobus stoczyłby się zapewne po bardzo stromym zboczu do głębokiego na kilkaset metrów wąwozu.

Byłem w takim szoku po wypadku, że prawie zapomniałem o rowerze, przypiętym na dachu pojazdu. Na szczęście i mnie, i jemu nic się nie stało. Gorzej wyglądały owce i barany...

Miałem dość komunikacji publicznej. Dalszą część drogi do Katmandu pokonałem rowerem. W ulewnym deszczu około szesnastej dojechałem do miasta.

Dojechałem.

Zameldowałem się w małym hoteliku w dzielnicy Thamel i wyszedłem na kolację. Tłumy ludzi, nieprzyjemna masa, od której już zdążyłem się odzwyczaić. Jeszcze dwie noce i koniec podróży.

Trochę smutno, mimo wszystko.

Wytarty z myśli i wyczuty z pragnień, wróciłem do pokoju i poszedłem spać.

Rankiem niespodzianka. W mieście spadł śnieg, pierwszy od sześćdziesięciu dwóch lat w całej kotlinie Katmandu! Co prawda promienie słoneczne roztopiły go

do południa, ale nadal było bardzo zimno i pogoda nie zachęcała do spacerów. Miałem jednak jeszcze kilka rzeczy do załatwienia, między innymi musiałem zdobyć pudło na rower. Owszem, pudła były, ale żądano za nie ode mnie astronomicznych pieniędzy.

Na nic się zdały tłumaczenia, że w moim kraju mogę taki karton dostać za darmo, więc tutaj jeszcze im robię przysługę, chcąc za niego zapłacić. Cóż, w Nepalu jest towarem deficytowym i można na nim, jak widać, nieźle zarobić.

Znalazł się wreszcie jakiś uczynny Nepalczyk, który zaproponował, że zaprowadzi mnie do krawca, który w kilka godzin, za niewielką opłatą, uszyje mi wspaniały pokrowiec. Naiwnie poszedłem za „wybawcą”. Podejrzenie moje powinno wzbudzić już to, że krawiec okazał się być pracownikiem sklepu z biżuterią, a podobnych sklepów odwiedziliśmy kilka. Każdy z właścicieli był kolejnym „kuzynem” mojego nowego znajomego. Przez każdego byłem bardzo gorąco i wylewnie przyjmowany, przy okazji częstowany koniaczkiem i pysznymi słodyczami.

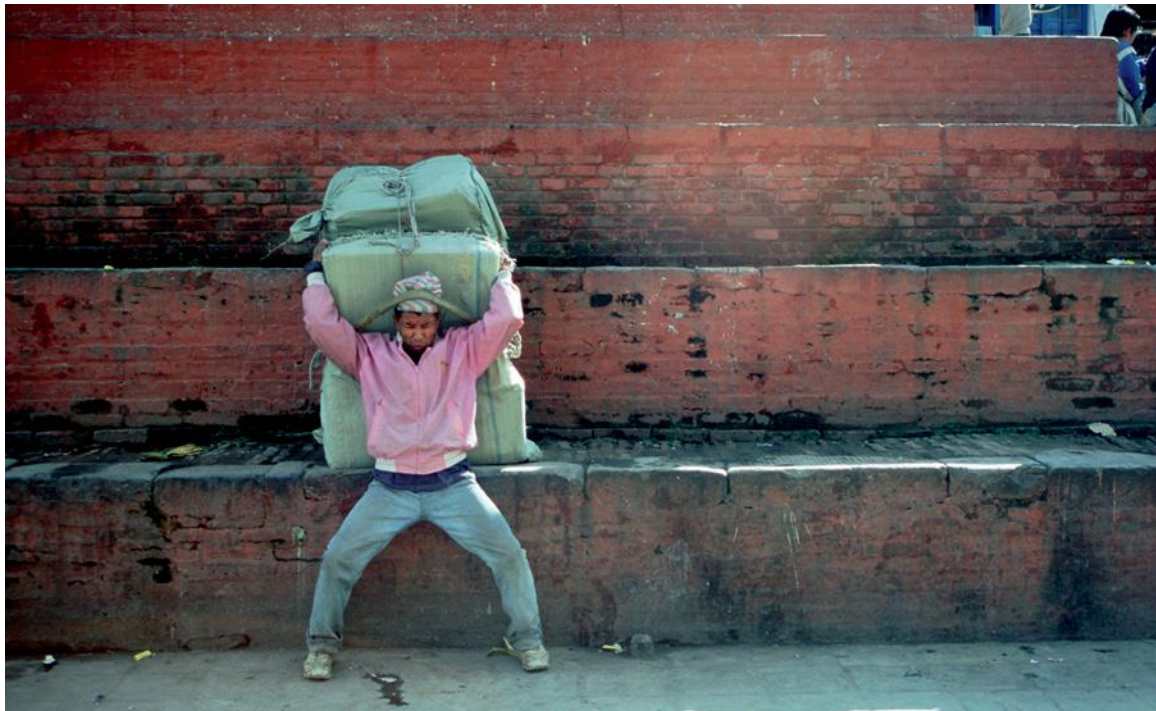


Dzieci gospodarza hotelu





W Katmandu



Kiedy wreszcie przejrzałem na oczy i domyśliłem się, że oni w ten pokrowiec chcą wszyć jakieś kamienie, było już za późno. Zauważyłem, że i oni zorientowali się, że ja wiem, a wtedy, bez pardonowo i otwarcie zaproponowali przewóz kamieni, dzięki czemu miałem zarobić, bagatela, pięćdziesiąt tysięcy euro. W szczególności nie wnikałem. Koniaczek pomógł dyplomatycznie się wycofać.

Zgrabnie udałem zainteresowanie i umówiłem się na wieczorne spotkanie u jednego z „kuzynów”. Wszyscy wydawali się zadowoleni. Wyszedłem na ulicę i pomknąłem do hotelu, mając nadzieję, że szukać mnie tam nie będą. Na szczęście Katmandu jest duże, a ja nie powiedziałem, w którym hotelu się zatrzymałem. Koniaczek wyostrzył zmysły, przez co miałem wieczorem trochę kiepski nastrój.



Święty Mąż z Rafinerią

Rankiem za astronomiczną sumę kupiłem pudło, a raczej karton i włożywszy go pod pachę, ruszyłem na lotnisko. Przyzwyczajony do problemów z przewozem roweru samolotem i tym razem oczekiwałem jakichś nowych kłopotów. Ku mojemu zdziwieniu, wszystko odbyło się bez żadnych niemiłych niespodzianek. Odprawa przebiegła wyjątkowo sprawnie i szybko. Ponieważ najpierw leciałem do Delhi, musiałem jeszcze zatroszczyć się o przełożenie bagażu na indyjskim lotnisku do odpowiedniego samolotu, gdyż z niewiadomych mi przyczyn nie mogłem nadać pakunków od razu z Katmandu do Polski.

Kiedy odbierałem w Warszawie rower, owinięty w oblepione nalepkami *security checked* strzępy kartonu, wydawało mi się, że białą rysą na tle zakurzonego lakieru, uśmiecha się on o wiele szerzej ode mnie.

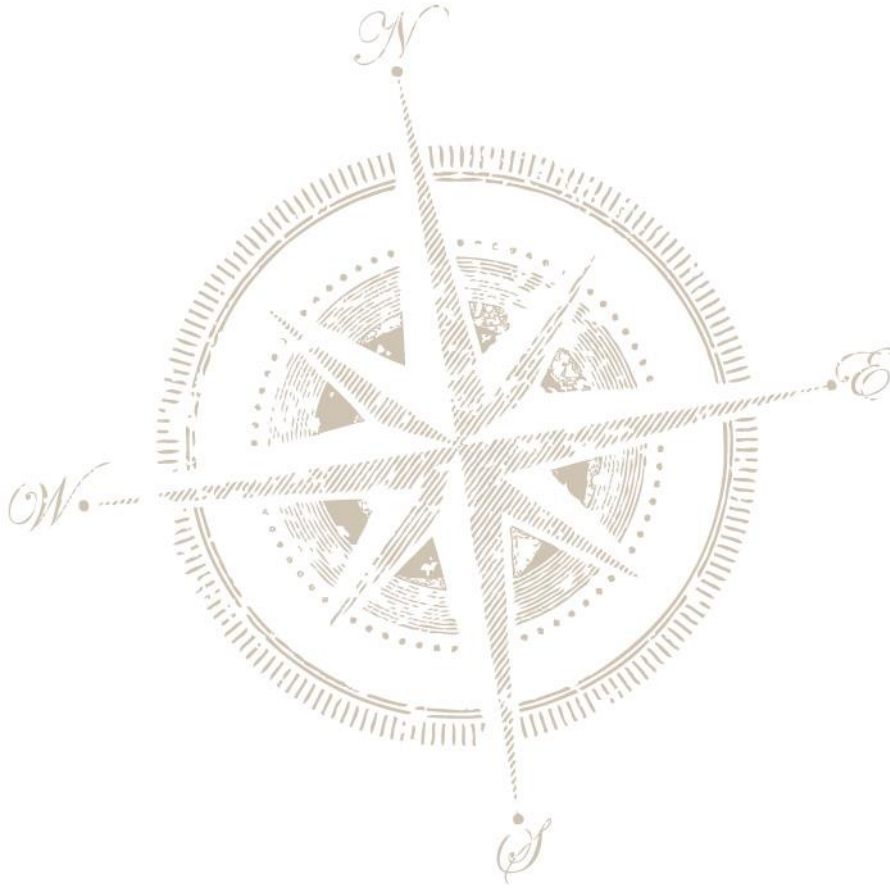
1 T. Terlecki, *Zaproszenie do podróży*, Gdańsk 2006, s. 265.

2 *Tybet. Stare duchy, nowe duchy*, red. Agata Bareja-Starzyńska i in., Helsińska Fundacja Praw Człowieka, Warszawa 2000, s. 367.

3 M. Olszewski, *Zapiski na biletach*, Warszawa 2010, s. 30.

4 B. Grąbczewski, *Podróże po Azji Środkowej 1885–1890*, Warszawa 2010, s. 633.

5 B. Grąbczewski, *tamże*, s. 631.



Garść informacji praktycznych:

Jak dojechać

Najprościej samolotem, bezpośrednio do Lhasy, oczywiście z przesiadkami. Wybór linii i trasy lotu zależy od zasobności portfela i aktualnie dostępnych promocji. Można wybrać się do biura podróży (biura często mają zniżki na określone linie lotnicze) lub bezpośrednio do przedstawicielstwa danej linii, można również spróbować samemu poszperać w Internecie. Jak to zwykle bywa, im wcześniej zaplanujemy podróż, tym mniejsze będą koszty, ale nie jest to regułą.

Podczas kupna biletu nie zapomnijmy dodać, że zamierzamy wziąć rower i dowiedzmy się, jakie są warunki jego przewozu (a różnią się one znacznie między liniami), aby potem uniknąć przykrych niespodzianek na lotnisku.

Niektóre linie lotnicze mają zryczałtowane opłaty za przewóz sprzętu sportowego, inne nie i wtedy trzeba dopłacić za każdy dodatkowy kilogram ponad dopuszczalny limit.



Małe dzieci i niemowlęta są najczęściej noszone na plecach w chustach

Noclegi

Najlepiej zabrać namiot i być niezależnym, szczególnie jeśli planujemy odwiedzić dzikie i odludne miejsca, z dala od głównej drogi Lhasa–Katmandu. W wioskach bez problemu znajdziemy nocleg u tybetańskiej rodziny, a w większych miastach wybór hoteli jest bardzo duży. Za równowartość kilkunastu złotych dostaniemy całkiem przyzwoite łóżko, często nawet z działającym od czasu do czasu prysznicem.

Oczywiście, dla osób zamożniejszych i lubiących wygodę, w miastach znajdują się również odpowiednio wyposażone, komfortowe hotele.

Woda

Bez problemu można kupić butelkowaną, która jest zupełnie bezpieczna. Jeśli ktoś ma ochotę pić wodę ze strumieni, na wszelki wypadek dobrze jest zabrać coś do odkażania albo sprzęt do gotowania.

Jedzenie

Podstawowe pożywienie Tybetańczyków to *campa*, czyli mąka jęczmienna ugniatana z herbatą lub wodą na ciasto i jedzona rękoma prosto z miseczki. Czasem z dodatkiem cukru albo mięsa. Mąka ta towarzyszyła mi przez całe dwa miesiące i żołądek dobrze ją tolerował, ale wiem z opowieści innych turystów, że nie wszyscy ją bezboleśnie przyswajali, pomijając jej nijakie walory smakowe. Do *campy* często dodawana jest herbata – słona i tłusta, bo z dodatkiem masła. To doskonały napój dla rowerzysty, bowiem poza dostarczeniem organizmowi jakże ważnych kalorii, pozwala również na uzupełnienie niedoboru soli (rzecz bardzo ważna, nie tylko na dużych wysokościach).

Poza *campą* jadłem głównie ryż albo makaron z jajkiem i warzywami, czasem z mięsem. Jedzenia po drodze nie ma zbyt wiele i człowiek je to, co się trafi.

Stołując się w restauracjach, które nie posiadają angielskiego menu, warto zapytać o cenę przed zamówieniem posiłku. Zazwyczaj w większych wioskach, nie wspominając o miastach, jest pewien wybór restauracji, idźmy więc tam, gdzie mają angielskie menu. Zdarzało się bowiem, że za kawałek twardego jak stara podeszwa mięsa i łykowatego zielska lub gumowatych pierogów płaciłem jakieś zupełnie zwariowane pieniądze.

Ze względu na jednostajną i ubogą dietę trzeba zabrać z Polski dodatkowy zestaw witamin.

Aklimatyzacja

Przebywanie na dużej wysokości i pokonywanie jej zbyt szybko może doprowadzić do obrzęku płuc lub mózgu, a w konsekwencji do śmierci, stąd niezmiernie ważna jest odpowiednia aklimatyzacja. Podczas przebywania na dużej wysokości może pojawić się przyspieszony, płytki i nieregularny oddech, lekki ból głowy, zwiększone wydalanie moczu. Przy zdobywaniu coraz większych wysokości, wszystkie te dolegliwości są zazwyczaj nieuniknione. Należy podejżdzać stopniowo, spędzając kolejną noc nie wyżej niż trzysta metrów od poziomu poprzedniego noclegu. W razie wystąpienia objawów choroby wysokościowej (do których należą: brak apetytu, mdłości, wymioty, osłabienie, ból

głowy i kłopoty z zaśnięciem), należy zostać na tej samej wysokości tak długo, aż objawy ustąpią albo najlepiej zjechać kilkaset metrów. Oczywiście podczas podróży zdarza się często pokonać nawet kilometr lub więcej wysokości w przeciągu kilku godzin, ale ważne jest aby zjechać wtedy możliwie jak najniżej i w żadnym razie nie spędzać nocy blisko przełęczy.

Szczepienia i lekarstwa

Nie są wymagane, ale zalecane. Przede wszystkim na żółtaczkę WZWA/B, dur brzuszny, tężec, polio. Do tego na wszelki wypadek na zapalenie opon mózgowych. Szczepienia są dość kosztowne i warto rozpocząć je odpowiednio wcześniej przed wyjazdem, ponieważ niektóre z nich otrzymuje się w kilku dawkach wymagających przerw w podaniu.

Podróżowanie rowerem po Tybecie i specjalne „pozwolenia”

Swoją podróż odbyłem w latach 2006 i 2007. Od tamtego czasu mogło się wiele zmienić i informacje, które uwzględniłem w treści książki mogą się już okazać nieaktualne. Nadmienię raz jeszcze, że nikt nie sprawdzał mojego pozwolenia na podróż po Tybecie, wydawanego przez Biuro Bezpieczeństwa Publicznego, które to pozwolenie kupiłem od pani Dicki w hotelu Tenzin w Shigatse. Na wszystkich posterunkach sprawdzano tylko mój paszport i wizę.

Przewodniki

Korzystałem z nieocenionego rowerowego przewodnika *Tibet Overland* autorstwa Kyma McConnell'a, zawierającego mnóstwo praktycznych informacji, łącznie z profilami tras i bardzo dokładnymi opisami kilkunastu szlaków.



Rzeka Bum w okolicach miejscowości Tsogo

